



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: "Mój skarb wewnętrzny dla mnie najcenniejszy" : wybór pism tatrzańskich

Author: Seweryn Goszczyński ; Anna Krysztofiak (oprac.)

Citation style: Goszczyński Seweryn; Krysztofiak Anna (oprac.). (2010).
"Mój skarb wewnętrzny dla mnie najcenniejszy" : wybór pism tatrzańskich.
Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego

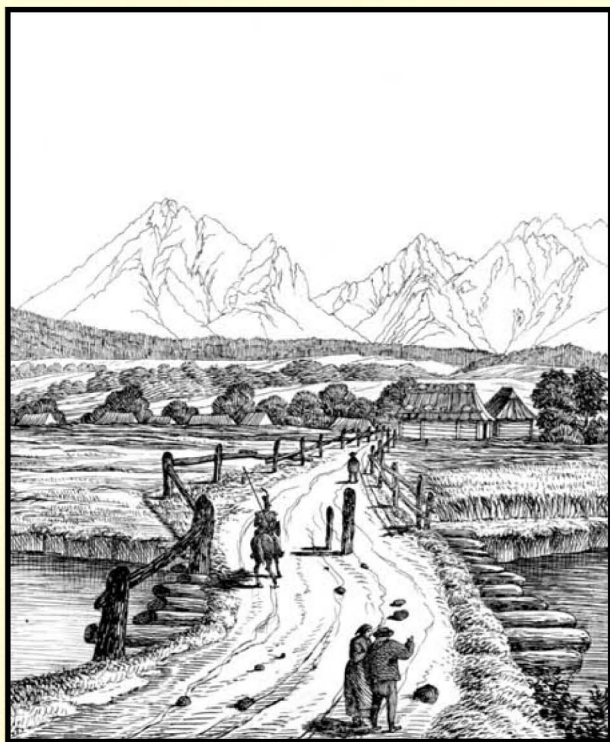


Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Seweryn Goszczyński

„Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”

Wybór pism tatrzańskich

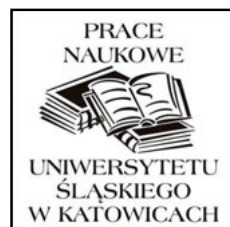


WYDAWNICTWO UNIwersYTETU ŚLĄSKIEGO * KATOWICE 2010

„Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”

Wybór pism tatrzańskich

*Marysi, Markowi i Witkowi —
współtowarzyszom podróży
nie tylko po Tatrach*



NR 2636

Seweryn Goszczyński

„Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”

Wybór pism tatrzańskich

Opracowała
Anna Krysztofiak



Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Katowice 2010

Redaktor serii: Edytorstwo Naukowe
Jan Jakóbczyk

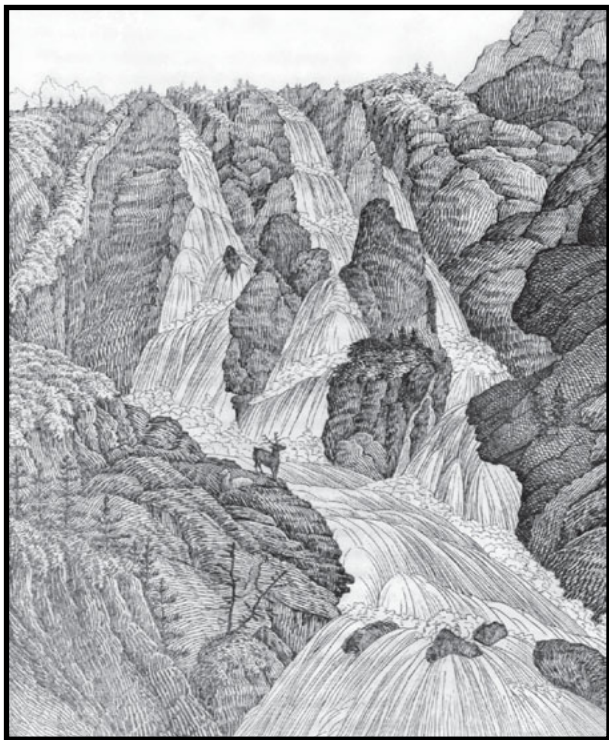
Recenzent

Danuta Paluchowska

Publikacja będzie dostępna — po wyczerpaniu nakładu — w wersji internetowej:

Śląska Biblioteka Cyfrowa
www.sbc.org.pl

Wprowadzenie



Wstęp

Seweryna Goszczyńskiego w Tatry rzuciły dzieje. Po klęsce powstania listopadowego, w którym brał udział, skorzystał z oferty gościny złożonej mu przez Józefa Tetmajera, także walczącego poety, i wraz z nim wyruszył do Mikołajowic oraz Łopusznej. Galicja była bezpiecznym schronieniem dla tułaczy, gdyż Austria wówczas niezbyt przejmowała się bolączkami Rosji — akurat znajdowała się z nią w konflikcie. Przybył, zobaczył wymarzone niegdyś góry i nie doznał rozczarowania, o jakie łatwo było, gdy romantycy swe dawne marzenia konfrontowali z rzeczywistością. Goszczyński czerpie z gór inspirację, tworzy swój mityczny świat. Jego dokonania bywają różnie oceniane: od zachwytów nad *Dziennikiem podróży do Tatrów*, przez aprobatę — choć nie bez wyjątków — *Sobótki*, po krytykę powieści *Oda*. Pierwsza połowa XIX wieku to czas, kiedy — po pionierskiej pracy Stanisława Staszica *O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin Polski* — Tatry wkraczą do literatury. Teksty te najczęściej przyjmowały formę dziennika podróży¹. Taki też kształt ma najbardziej znane dzieło Goszczyńskiego spośród tych poświęconych górcom. Osobiste doświadczenie styka się tu z tendencjami charakterystycznymi dla epoki.

O górach marzył poeta — według jego własnej relacji w *Dzienniku podróży do Tatrów* — już w dawnych latach:

Dziwny pociąg rwał mię zawsze ku górcom, ku życiu w górach. W mojej szkolnej młodości nie było nic dla mnie przyjemniejszego, nic pożądanszego, jak wśród stepów ukraińskich napotkać lada skałę, drapać się po niej, przesiadywać na niej po całych godzinach, marzyć wielką część

¹ Obszerną charakterystykę piśmiennictwa poświęconego Tatrom można znaleźć w pracy J. Kolbuszewskiego: *Tatry w literaturze polskiej. Część pierwsza (1805—1888). Część druga (1889—1939)*. Kraków 1982.

nocy marzeniem góralskim. Nigdy nie zapomnę skalistych brzegów Tykicza; nigdy nie zapomnę jaskiń Zofiówki! Były mi one jakby szkołą góralskiego życia; tam zaprawiałem do gór i głowę, i odwagę; tam myślałem wtajemniczałem się w świat rzeczywiście górski. Były to mniej niż Pigmeje obok Tatrów, a ja wśród nich czułem się już innym. Nic tak nie wyzwalało, nie podnosiło mojej wyobraźni, jak choćby tylko myślenie o górach. Z niecierpliwością czekam dnia, który mnie skieruje ku Tatrom².

Kiedy poznał już Tatry, poczuł się olśniony ich widokiem, bogactwem góralskich opowieści, pragnął cały przeniknąć życiem gór. Twierdził również, że zmieniają go one jako twórcę. Wtedy właśnie napisze w *Dzienniku podróży do Tatrów* o inspiracji, jakiej mu dostarczają: „mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”³.

Pierwszym z tekstów Goszczyńskiego, w którym wprowadza on motyw Tatr, jest wierszowana, jedenastostroficzna opowieść o losach Polski, nosząca tytuł *Orzeł biały*⁴. Utwór o klasycznej formie przedstawia Tatry jako kolebkę Polski:

Z łona Chorbatów ziemicy
Urodził się na Krywaniu
Piękny orzeł w chmur posłaniu:
Oczy wziął od błyskawicy,
Szpony nasadził gromami,
Skrzydła upierzył wiatrami,
A pióra potrząsł Krępaku śniegami.

W szeregu alegorycznych obrazów Goszczyński ukazuje historię Polski: majestat, władzę, godność orła białego, ale także jego późniejszą pychę, zgnęśnienie, upadek, co doprowadziło do zdrady rodaków (prawdopodobnie mowa tu o targowicy), pomoc „orła zachodu” — Napoleona — oraz podstępne manewry dwugłowego bękarta, czyli Rosji. Opis kończy się obrazem walki orła białego i orła dwugłowego, walki jeszcze nieskończonej. Wiersz powstał w roku 1830, zanim Goszczyński zobaczył na własne oczy

² S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów*. Petersburg 1853, s. 9—10.

³ Rozdz. *Z Turnisk — głębia Tatrów*.

⁴ Wiersz ten zamieścił potem autor w tomiku poezji *Trzy struny*.

Tatry, więc Krępak odmalowany został oszczędnie, a alegoryczna forma utworu sprzyjała położeniu nacisku wyłącznie na symboliczną, „państwowotwórczą” rolę miejsca, skąd pochodził, według poety, symbol Polski — biały orzeł⁵.

Podobną funkcję pełnią Tatry w nieukończonym poemacie *Proroctwa księdza Marka* (autor rozpoczął pracę w 1833 roku). Goszczyński przywołuje w tekście jeden z najczęściej opisywanych tatrzańskich szczytów — Łomnicę. Góra ta to — zgodnie z tradycyjną symboliką — miejsce spotkania z *sacrum*, przestrzeń, gdzie jest się bliżej Boga, a także miejsce samotnego przeżywania cierpień. W jednym z opisów następuje hiperbolizacja obrazu, prorok wzywa szczyt do wznoszenia się ku Bogu, aby w chwili śmierci kontakt był jak najbliższy. Góra stanowi jednocześnie symbol terytorium, na którym panuje nieśmiertelność (w opozycji do rozciągającej się u jej stóp ziemi), właśnie ze względu na ów kontakt z *sacrum*. Łomnica przyrównana została do Synaju, gdzie Mojżesz zawierał przymierze z Jehową. Ksiądz Marek na szczycie toczy rozmowę z Bogiem, wyznaje swe winy i uzyskuje przebaczenie Boga. Na tle Karpat ukazany jest jeszcze jeden z obrazów — to tu wstaje z grobu widmo rycerza-dziewicy. Goszczyński tworzy jednak symboliczną wizję, poza górami wspomina także puszcze i stepowe trawy, odwołując się do różnorodnych elementów ojczystego krajobrazu.

Sposób wykorzystania motywu gór w *Proroctwach księdza Marka* bliski jest przywołanemu wcześniej szeregowi alegorycznych obrazów w wierszu *Orzeł biały*. Tam mieliśmy do czynienia z poetyką wywodzącą się z klasycyzmu, tu dominuje romantyczny sposób obrazowania. Przewagę zyskuje symbolika, nie alegoryczność, pojawiają się wizyjne obrazy. W opowieść o historii Polski wpleciona zostaje historia zmagania proroka z własną duszą i powinnościami. Do opisu dziejów państwa i narodu wkracza mistycyzm i mesjanizm. Jednak nadal Tatry są tylko pretekstem do mówienia o innych sprawach. Ich obrazy są zdawkowe. Goszczyński przywołuje skały lodowe, wichry, mgły, zamiecie, przepaście, chmury — typowy zestaw „górskich atrybutów”, w dodatku wspomnianych w nielicznych wersach. Na ich tle wyróżnia się oryginalno-

⁵ Bielik nie ma gniazd w Tatrach, a jedynie sporadycznie przylatuje, natomiast żyje tam orzeł przedni.

ścią jedynie obraz utożsamiający Łomnicę z duszą w chwili wypowiedzenia proroctwa:

Te same strony, te same góry,
Nieprzejrzyistymi odziane chmury,
Taż skroń Łomnickiego szczytu,
Promienna, wolna od mgłów powodzi,
Jak moja dusza, gdy po niej przechodzi
Gwiazda proroczego bytu.
Ziemia, jak wprzód, dla oczu
Mgłą północnej ćmy zakryta,
A niebo coraz wyraźniej świta.
Już w światłym jego przeźroczu
Postrzegam migot brylantowych zbroi,
W które pan nieba święte hufce stroi⁶.

W odmienny sposób posługuje się Goszczyński motywem Tatr w pozostałych utworach. Łączy się to ze stosunkiem poety do problematyki ludowości w literaturze. Autor *Zamku kaniowskiego* w sporze romantyków o folklor opowiada się po stronie Zoriana Dołęgi Chodakowskiego i Maurycego Mochnackiego, wiążących narodowość z ludowością. Narodowość, zarówno w duchu poezji, jak i w jej formie, uważa Goszczyński nie tylko za najistotniejszą zaletę twórczości, ale jest ona, według niego, „jedynym warunkiem dobrze przyjętego jej [działalności artystycznej — A.K.] powołania”⁷. W czasie pobytu w Galicji Goszczyński przystępuje do działającej tu w latach 1832—1838 grupy literackiej Ziewonia. Maria Janion twierdzi, że program Ziewonii można ująć w hasłach: ludowość, słowianofilstwo, historyzm⁸.

Nieco wcześniej niż *Proroctwa księdza Marka*, bo w 1832 roku, powstał *Dziennik podróży do Tatrów*, jednak nie otrzymał wtedy ostatecznej for-

⁶ S. Goszczyński: *Proroctwa ks. Marka*. W: Idem: *Dzieła zbiorowe*. T. 1: *Poezje liryczne*. Wyd. Z. Wasilewski. Lwów 1910, s. 286.

⁷ S. Goszczyński: *Nowa epoka poezji polskiej*. W: Idem: *Dzieła zbiorowe*. T. 3: *Podróże i rozprawy literackie*. Lwów 1910, s.192. Rozprawa powstała w 1835 roku.

⁸ M. Janion: *Poezja w kraju. Próba syntezy*. W: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831—1863*. Red. M. Janion, B. Zakrzewski, M. Dernałowicz. T. 1. Kraków 1975, s. 59.

my, pewne poprawki wprowadzał do niego Goszczyński w czasie, gdy był związany z Towiańskim⁹. To jedyny szerzej znany utwór poety, poświęcony Tatrom. Zadziwia do dziś rozległością tematyki, liczbą zebranych informacji, zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, jak krótko poeta poznawał góry i górali. Należy jednak przypomnieć, za Jackiem Kolbuszewskim, iż uznaniem powinniśmy także obdarzyć informatora Goszczyńskiego, którym był Ludwik Kamiński¹⁰. Poeta opisuje w *Dzienniku*... okolice, jakie poznał w czasie pobytu u Tetmajerów¹¹, swoje wrażenia z wypraw w góry, wygląd i obyczaje górali, ich świat duchowy, podania o błakającej się głowie, kwieciu florecyny, ich wiarę w obecność w świecie strzyg, upiórów, wilkołaków czy dziwożon, ale także wspomina o szacunku dla chrześcijańskich świętych, tworzy słowniczek języka Podhalań, przytacza pieśni góralskie¹². Tworzy barwną relację, w której przekonanie o wadze podjętego tematu sąsiaduje z mistycznymi rozważaniami o duchu, relacją etnograficzną czy opisem konsekwencji spożywania żętycy (jak definiuje autor — rodzaju serwatki) przez osoby nieprzyzwyczajone do niej.

Stanisław Sierotwiński uznał, że *Dziennik*... „ma po trosze z reportażu, monografii turystycznej, rozprawy etnograficznej, felietonu literackiego i staroświeckiej gawędy. Nie nawiązuje swą formą, zawartością, tematem do żadnej tradycji literackiej, raczej ją stwarza, i to od razu w kilku kierunkach. Jest to jego największą wartością, zwłaszcza na tle piśmiennictwa ta-

⁹ O wpływie Towiańskiego na myśli zawarte w *Dzienniku*... pisze S. Sierotwiński (Wstęp. W: S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów*. Oprac. S. Sierotwiński. Wrocław 1958, s. L—LI).

¹⁰ Zob. J. Kolbuszewski: Wstęp. W: L. Kamiński [vel Kamiński]: *O mieszkańcach gór tatrzańskich. Najdawniejsza monografia etnograficzna Podhala*. Oprac. J. Kolbuszewski. Kraków 1992, s. VI—VII. Autor wspomina również nazwiska innych badaczy, wskazujących zależność dzieła Goszczyńskiego od Kamińskiego: Anny Kowalskiej-Lewickiej, Jana Reychmana oraz Witolda H. Paryskiego.

¹¹ O rodzinie Tetmajerów pisał z poczuciem głębokiej wdzięczności w innej autobiograficznej relacji: „[...] przez długi czas zastępowała miejsce mojej własnej z miłością niewysłowioną”. (S. Goszczyński: *Podróż mojego życia*. Oprac. S. Pigoń. Wilno 1924, s. 68).

¹² L. Długołędzka i M. Pinkwart podkreślają, że Goszczyński nie starał się upiększać folkloru przez nadawanie mu literackiego poloru, tłumaczenie gwary, „tylko notował je tak, jak słyszał”. (Zob. L. Długołędzka, M. Pinkwart: *Muzyka góralska*. Warszawa—Kraków 1992, s. 8).

trzańkiego [...]”¹³. Czesław Niedzielski dodawał, że według XIX-wiecznych kryteriów dzieło Goszczyńskiego jest „relacją podróżniczą, należącą do »literatury potocznej«”¹⁴. Termin Michała Grabowskiego miał oznaczać literaturę odpowiadającą naukowej, ale nią nie będącą. Janina Kamionka-Straszakowa dopatruje się w *Dzienniku*... znamion podróży kreacyjnej, w której autor przybiera postać lirnika i wędrowca, a także podróży życia — *peregrinatio vitae*¹⁵.

Wiele zawdzięczamy Goszczyńskiemu, np. pierwszy w naszej literaturze opis polowania na kozice, zebranie pieśni i podań Podhala, próbę stworzenia słownika gwary. Sierotwiński nie bez powodu podkreślał wiarygodność dzieła Goszczyńskiego¹⁶. Poeta patrzy na Tatry własnym spojrzeniem, nie wahać się przyznać, że — modne już wówczas — Morskie Oko nie robi na nim wrażenia. Bardziej pociąga go Dolina Pięciu Stawów. Wynika to prawdopodobnie z upodobania Goszczyńskiego do wyrazistego, mocnego pejzażu. Morskie Oko wydało mu się zapewne spokojne i ładne, kontrastując z surowym pięknem głazów pokrytych porostami i wielością jezior przeplatanych kosodrzewiną w Dolinie Pięciu Stawów. Tym, co nadaje temu tekstowi wyjątkowy walor, jest — oprócz wspomnianych wartości naukowych — niezwykła pasja Goszczyńskiego. Z kart *Dziennika*... emanuje autentyczny zachwyt nad górami i góralami. Uzupełnia go niepohamowana ciekawość poety, uzewnętrzniona nie tylko w odważnym, trzykrotnym, penetrowaniu jaskini pod Pisaną. Nie zrażają go trudności, gasnąca świeca, zamoknięte zapałki. To zaangażowanie niewątpliwie ubarwia wypowiedź, czyniąc ją wyjątkową na tle ówczesnych relacji z podróży¹⁷. Dusza odkrywcy ujawnia się w tym dziele ciągle. Goszczyńskiego cieszy każda zapisana piosenka, każde opowiedziane

¹³ S. Sierotwiński: *Wstęp*..., s. LXXI.

¹⁴ C. Niedzielski: *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej (podróż — powieść — reportaż)*. Toruń 1966, s. 58.

¹⁵ J. Kamionka-Straszakowa: „Do ziemi naszej”. *Podróże romantyków*. Kraków 1988, s. 39—46.

¹⁶ S. Sierotwiński: *Wstęp*..., s. C—CII.

¹⁷ Na znaczenie Goszczyńskiego — z pewną przesadą — jako ojca turystyki tatrzańskiej, który „chciał po prostu poznać ten piękny i tak sówicie wyposażony przez naturę zakątek kraju”, wskazywał S. Piotrowski: *Skalne Podhale w literaturze i kulturze polskiej*. Przedmowa J. Krzyżanowski. Warszawa 1980, s. 73.

mu podanie, każda wyprawa w góry. I zachwyt ten niewątpliwie udziela się czytelnikom. Poeta niejednokrotnie wyraża żal, że nie zdoła poznać gór, choć chciałby odkryć wszystkie ich bogactwa, które „leżą przed okiem ducha, jak te skarby w powieściach góralskich” (rozdz. *Z Turnisk — głębia Tatrów*). Ukazuje mistykę gór, mniej udalnie we fragmentach, w których odwołuje się do religijnego wymiaru pobytu na górze, obecnego w różnorodnych kulturach, a bardziej interesująco tam, gdzie opisuje własne odczucia. Jest przekonany, iż pobyt w górach zmieni jego życie, gdyż mają one niezwykle wpływ na ducha i ciało — wraca zdrowie, swoboda, myśli stają się jaśniejsze, doznaje się poczucia harmonii.

Goszczyński zdawał sobie sprawę z trudności związanych z próbą ukazania specyfiki góralskiego ducha i życia Podhalan. W *Dzienniku...* pisał:

Przez wdzięczność chcę zachować ich obraz, bardzo niezupełny, niewykończony, ale ufam, że wierny, o ile go schwycę. Nie przyrzekam więcej. Znam całą trudność poznania i odmalowania narodu¹⁸.

Autor miał świadomość tego, że przebywa na Podhalu krótko, że niewiele będzie miał czasu na poznanie górali i — przede wszystkim — że jest człowiekiem przybywającym z zewnątrz, który nigdy nie zdobędzie pełnego zaufania tamtejszego ludu. Co więcej, w reportażowo-etnograficznym *Dzienniku...* Goszczyński nie stara się o obiektywizm. Owszem, zbiera podania, pieśni, ale nie czuje się etnografem i nie dla etnografii to czyni. We wstępie zastrzega, pisząc o sobie:

Jakkolwiek nieobojętnym jest autorowi rozszerzenie sfery naukowych wiadomości, pomnożenie prawdziwych pojęć w tej sferze, zajmował się jednak najgłówniej tym, do czego czuł się najzdolniejszym, pisał wiele z serca i dla serca, wiele w ocknieniu się głębszego swego czucia dla obudzenia głębszego czucia w innych [...] ¹⁹.

Zapowiada więc narrację zsubiektywizowaną i ulirycznioną, a i utrwalanie tego, co przemija, ma służyć — według Goszczyńskiego — przede wszystkim celom artystycznym. Gdy więc дума w ruinach czorsztyńskie-

¹⁸ S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów...*, s. 105.

¹⁹ Ibidem, s. II.

go zamku, marzy o tym, aby powstał topograficzny rysunek tego miejsca, z którego już artyści zrobiliby „piękny użytek”. Traktuje historię zamku, przechodzącego w ręce Zawiszy Czarnego, „łotrów góralskich” i Kostki Napierskiego, za materiał dla ducha poety, a myślom o wrażliwym na piękno założycielu zamku towarzyszy przykra refleksja o braku estetycznego zmysłu XIX-wiecznego właściciela, który porozsadzał „po gruzach niedźwiedzie z drewna”²⁰. Żałuje, że nie potrafi zapisać melodii ludowych pieśni, gdyż przyniosłoby to pożytek poetom i muzykom. Ale nie jest to jedyna pobudka Goszczyńskiego:

Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesady i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamycki mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej — nie! Wziąłem je z łona życia, jako żyjące czucie ludu i za rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki²¹.

Sztuka narodowa powinna czerpać inspirację z miłości do ludu i dbać o jego „podnoszenie”, rozbudzać w ludzie odczucie polskości, pomagać mu przetrwać niewolę i budzić myśl o wolnej przyszłości²². Goszczyński jako utwory słowiańskie traktuje nie tylko pieśni, które nazywa starożytnymi, ale też „nowoczesne, natchnione przez ducha powyższych”²³. Warunkiem tworzenia takiej poezji jest prawda, utożsamiana przez autora w *Nowej epoce poezji polskiej* z miłością do ziemi, a w *Dzienniku...* także z wiarą w realność przedstawianego świata. Poeta traktuje świat górali jako skarbnicę inspiracji dla poezji, dopatruje się artyzmu w myśli ludu, prawdy uczuć w jego utworach. Obrazy, przywołane w *Dzienniku...*, powrócą wielokrotnie w jego kolejnych tekstach, gdyż w swoim pobycie w górach dopatruje się Goszczyński celowego działania Boga, czuje, że góry dały mu siły i wiedzę, którą będzie mógł spożytkować, przekazać innym.

²⁰ Właścicielem była rodzina Drohojowskich.

²¹ S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów...*, s. 157—158.

²² Idem: *O potrzebie narodowego polskiego malarstwa*. W: Idem: *Dzieła zbiorowe*. T. 3: *Podróże i rozprawy literackie*. Wyd. Z. Wasilewski. Lwów 1910, s. 331.

²³ S. Goszczyński: *Nowa epoka poezji polskiej*. W: Idem: *Dzieła zbiorowe*. T. 3..., s. 202.

Tatry opisuje Goszczyński dokładnie w trzeciej części swego dzieła i ta właśnie została zamieszczona w niniejszej antologii. Wywędrował w góry Goszczyński z altanki (dziś już niemal całkowicie zniszczonej), znajdującej się obok dworu Tetmajerów w Łopusznej, jedynie na trzy wycieczki. Wrócił w Tatry dopiero w latach siedemdziesiątych i znów zasłużył się dla literatury, ale inaczej niż dawniej. Pisała o tym Julia Tetmajerowa: „[...] razem byliśmy w Zakopanem, gdzie nawet uratował może życie małemu naszemu synkowi, przyjmując go w swoje objęcia spadającego ze stromej góry, a uratował dzisiejszego poetę Kazimierza, którego zawsze nazywał hetmanem”²⁴.

Przekonany o znaczeniu ludowych podań, pieśni, o wadze współdziałania z ludem, tworzenia wraz z nim historii, podejmuje Goszczyński próbę napisania eposu z dawnych dziejów górali. *Kościelisko*, nad którym pracę autor rozpoczął w 1833 roku, nigdy nie zostało ukończone. W rok później opublikowano w almanachu „Ziewonia” jedynie fragment zatytułowany *Sobótka*. Poza nim Goszczyński pozostawił zaledwie kilka dłuższych lub krótszych urywków poematu. Poeta zamierzał przedstawić dwa epizody z dziejów Polski, sięgnął do czasów najazdów tatarskich oraz potopu szwedzkiego, a mianowicie do trzeciego najazdu tatarskiego na ziemie polskie, gdy w 1287 roku walki toczyły się pod Nowym Sączem (Goszczyński mylnie podaje, że działo się to za panowania Bolesława Wstydliwego, mając na myśli drugi najazd), oraz do zdobycia Nowego Sącza przez Szwedów w roku 1655. W pozostawionych fragmentach czas zdarzeń obejmuje oba wspomniane okresy — pierwotne fragmenty opowiadają, jak Kasia zachęcała Janosza (nazywanego wtedy jeszcze Garaszem) do walki ze Szwedami, w *Sobótce* akcja przenosi się do wieku XIII. Ostatecznie, jak wynika z pozostawionego planu poematu, autor zamierzał najpierw zarysować sytuację zagrożenia czyhającego ze strony Szwedów, a potem wprowadzić postać wędrownego kobziarza, który miał pobudzić ducha zatrwożonych pasterzy opowieścią o walkach górali z Tatarami i o bohaterskim zbójniku

²⁴ Cyt. za: Z. Wasilewski: *Pieśń w górach*. Warszawa 1930, s. 83. Kazimierz Tetmajer twierdził, że zdarzenie to miało miejsce w Dolinie Strążyskiej: „Kiedy miałem lat dziewięć, złapał mnie lecącego w Strążyskach z uboczy do wyschłego koryta potoku, gdzie byłbym się na nic rozbił; on mię potem do poezji pchnął”. (K. Tetmajer: *Na Skalnym Podhalu*. Wstęp A. Łempicka, oprac. R. Hennel. Kraków 1987, s. 48).

Janoszu²⁵. Skąd autor powziął pomysł, aby przenieść czas akcji? Opowieść o Szwedach wydawać by się mogła bardziej odpowiednia, biorąc pod uwagę ideę, którą chciał przekazać Goszczyński. Najazd tatarski zakończył się przecież w rzeczywistości spustoszeniem południowej Polski, tymczasem w czasie potopu szwedzkiego Nowy Sącz został wyzwolony przez chłopów. Jednak istniały pewne przesłanki, uzasadniające koncepcję poety. Przeniesienie akcji do XIII wieku powoduje, że bardziej wiarygodne wydaje się powiązanie świata pogańskiego, świata dziwów ze światem realnym. Motyw dodania otuchy przed walką zostaje podwojony — w legendarnej opowieści o pokonaniu Tatarów i w pełni historycznym przekazie o odbiciu Nowego Sącza w czasie potopu, nawet jeśli ten ostatni wątek Goszczyński pozostawiłby tylko domysłem czytelników. Z kolei wprowadzenie podania o zwycięstwie nad Tatarami w Dolinie Kościeliskiej, któremu to zdarzeniu — według legendy — zawdzięczamy nazwę doliny, podkreślało związek Tatr z Polską, rolę górali w historii państwa, ich patriotyzm, poczucie narodowości, czyli to, co, według Goszczyńskiego, powinni w sobie kultywować, i to — jak będzie potem pisał w powieści *Straszny Strzelec* — co emisariusze powinni w nich wpajać. W *Dzienniku*... wspominał:

Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud tej okolicy; nie ma on na scenie publicznego życia takiej głośności jak mieszkańcy innych naszych okolic. Szczególnym przeznaczeniem jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu, odpowiedniego ruchowi dokoła, otaczały zawsze ten zakąt. Nie potępiajmy jednak za to naszych górali! Ich byt nie przeminął jeszcze. Jest jeszcze przed nimi przyszłość i kto wie, jak długa, jak wielka²⁶.

Goszczyński zdawał sobie sprawę z niewielkiego znaczenia tych terenów dla historii państwa, zarazem jednak był przekonany, że w Tatrach jest źródło polskości (przypomnijmy choćby wiersz *Orzeł biały*). Wierzył zarazem w rolę, jaką mogliby odegrać górale po klęsce listopadowej, w przyszłych walkach o Polskę, więc postanowił stworzyć na kanwie góralskich podań i wierzeń historię zwycięskiej walki z najeźdźcami.

²⁵ S. Pigoń zwraca uwagę, że tego pomysłu poeta nie spróbował jednak zrealizować w napisanych fragmentach. Zob. S. Pigoń: „Kościelisko” S. Goszczyńskiego. *Powstanie i zakrój pomysłu*. W: Idem: *Studia literackie*. Kraków 1951, s. 222.

²⁶ S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów...*, s. 106.

W tej opowieści o góralach współistnieją ze sobą dwa światy: realny oraz sfera istot niematerialnych. Do ostatniej należą zjawy wywodzące się z ludowych podań: dziwożony — tajemnicze, niekiedy groźne i niezbyt piękne, bo kosmate, niewiasty, noszące czerwone czapeczki z gałązką paproci, bardzo często złośliwe, porywające dzieci, a nawet młode kobiety; Mnich — w *Sobótce* ukazany jako postać przynosząca nieszczęście temu, kto go zobaczy; król węży — wąż niezwyklej piękności, barwnie umaszczony, z diamentowym grzebykiem na głowie, napadniętemu, na jego gwizd, przybywają z pomocą tłumy węży; ucięta głowa — błakająca się po Jaworzynie Kamienickiej długowłosa głowa, zawsze tam wracająca, gdy ją ktoś przeniesie, obcięta przez zawistnego herszta zbójców jednemu z jego podwładnych, biegleszemu — na jego nieszczęście — w zbójckim rzemiośle²⁷. Goszczyński przedstawia w *Kościelisku* XIII wiek jako czasy, gdy istoty nadprzyrodzone pilnują ludzi. Autor swobodnie łączy świat wierzeń pogańskich i chrześcijańskich. Mnich jest reprezentantem sił boskich, pośrednikiem między ludźmi a Bogiem. Obejmuje też przywództwo wśród postaci nadprzyrodzonych, to on jest głównym organizatorem działań mających przynieść zwycięstwo góralom. Współczucie zjaw dla ludzi wywodzi się ze ścisłego jeszcze wówczas — czyli w średniowieczu — kontaktu, jaki ludzie mieli z przyrodą. Goszczyński podkreśla „staroświeckość” opisywanego w poemacie XIII wieku. Tę łączność ze światem pogańskim, światem bóstw związanych z przyrodą, widać również w wyborze sobótki jako czasu akcji istotnych fragmentów utworu. Poeta przedstawia noc świętojańską nie do końca zgodnie z jej ideą. Ukazując ogień, nacechował go negatywnie; pojawiają się określenia: „jad”, „smolna krew”, „rozjadły ogień”, „żądła węzowe” (tylko jedno jest pozytywne: „sztandary ognia”), a ponadto ogień został zobrazowany jako władca, którego pokrozić chce góralska młodzież, „od płomieni pędza”. Tymczasem ogień miał pomagać Słońcu ustępującemu miejsca Księżycowi²⁸. Wydaje się jednak, że Goszczyński co najmniej intuicyjnie wyczuwał związek sobótki

²⁷ Postacie te opisuje Goszczyński także w *Dzienniku podróży do Tatrów*, a L. Siemieński w zbiorze podań — autor wykorzystał notatki Goszczyńskiego (L. Siemieński: *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*. Wybór, wstęp i oprac. K. Pamuła. Słowo wstępne J. Krzyżanowski. Warszawa 1975).

²⁸ Zob. W. Kopaliński: *Słownik mitów i tradycji kultury*. Warszawa 1985, s. 1082—1083.

z kołem, jakie zakreśla los: życie przekształca się w śmierć, a śmierć przeobraża się w życie²⁹. Życie staje się dla Kasi, porwanej i utopionej przez dziwożony, jedynie snem przed życiem następującym po śmierci. Istoty nadprzyrodzone przedstawia Goszczyński jako postacie mające świadomość narodową niejednokrotnie równą ludziom; to kolejny, oprócz silnej więzi z przyrodą, czynnik łączący te dwa światy. Dziwożony mieszkają w baśniowych pieczarach zbudowanych z kosztowności: alabastrów, kryształu, pereł, diamentów i złota. Boginki te bywają złośliwe, jednak Tatry są tak piękne właśnie dzięki temu, że przebywają w nich dziwożony. To tam „nasz kraj się kluje”, a dziwożony odgrywają rolę opiekunek gór i ich strażniczek.

Oprócz zjaw nadprzyrodzonych o los ziem tatrzańskich troszczą się też górale, oni także powstają przeciw Tatarom. Najbardziej zaszczytne miejsce przypada tu Janoszowi, jednak jego droga do wielkości nie była łatwa. Goszczyński przeznaczył mu los pełen niespodziewanych zwrotów, przedstawiony w różnorodnych stylizacjach, niewątpliwie ze szkodą dla artyzmu utworu³⁰. Janosz pierwotnie jest sentymentalnym kochankiem, pasącym owieczki, przygrywającym na flecie do śpiewu ukochanej Kasi, całującym się z nią pod brzošką. Kochankowie żyją tak, jakby „w świecie żyli tylko sami”. W tatrzańskiej arkadii, podobnie jak w sielankach Franciszka Karpińskiego, to nastrój bohaterów tworzy idyllę. Po utracie Kasi Janosz, dotychczas najlepszy wśród pasterzy, bogaty, zaradny, zdolny, zupełnie nie może się odnaleźć. Wraz z jego coraz gorszym samopoczuciem zmienia się także otoczenie, staw już nie jest tak czysty i pełen ryb, jak dawniej. Jednak nie tylko rzewność obejmują emocje Janosza, po okresie szlochów i żalu staje się romantycznym nieszczęśnikiem. Nie wie mu się w gospodarstwie, staje się kłótlivy. Posuwa się także do buntu przeciwko życiu: zaczyna przeklinać ziemię, pali własną chatę, niczym Hamlet zadaje pytania o sens życia. Następnie, z tragicznego kochanka, rozdzielonego z ukochaną, przeobraża się w egzotyczną, stojącą ponad prawem postać — dośyć niespodziewanie, choć w zgodzie z romantyczną modą literacką, zostaje zbójcą. Teraz ujawnia się jego charyzma, to on okazuje się przywódcą.

²⁹ A. Gieysztor: *Mitologia Słowian*. Warszawa 1986, s. 212.

³⁰ O przemianach Janosza pisała również K. Poklewska, wskazując motyw historii wkraczającej do arkadii i przemianę Gustawa w Konrada. Zob. K. Poklewska: *Galicja romantyczna (1816—1840)*. Warszawa 1976, s. 241—242.

Dysponuje nadludzką siłą, ma także władzę nad przyrodą, staje się więc bohaterem mitycznym. Nadal jest jednak wyobcowany ze społeczeństwa, które nie rozumie, że można z powodu smutku wywołanego utratą kobiety zniszczyć swoje dotychczasowe życie. Tę alienację potęguje zbójcecki proceder Janosza.

Bohater *Sobótki* jest wybrańcem, początkowo jako jedyny spośród górali ma kontakt ze światem nadprzyrodzonym, dzięki czemu wcześniej od innych dostrzega niebezpieczeństwo grożące ludziom — tatarski najazd. Przewiduje nieszczęście, jednak kolejna przemiana dokonuje się w nim nie z wewnętrznej potrzeby, lecz dzięki interwencji Mniha, który nakazuje Kasi rozmowę z Janoszem. Karą za zbójowanie ma być dla niego wyprawa do podziemnego świata. Przypłaci ją życiem, lecz obudzi siły nadprzyrodzone — ducha-potwora, żyjącego u źródeł Czarnego Dunajca. Duch ten posiada niezwykle skarby, ale przede wszystkim tajemnicę nieśmiertelności; jego przebudzenie wywoła katastrofalne skutki: niezwyklej siły ulewy, wichury, pękanie skał. W ten sposób duch dopomoże góralom w zwycięstwie nad Tatarami, a Janosz umrze pochłonięty przez wody podziemnego jeziora. Zarazem jednak zyska nieśmiertelność oraz przebaczenie Boga. Janosz staje się więc zbawcą górali, przyjmuje na siebie odpowiedzialność za los narodu i jednocześnie odkupuje swe grzechy popełnione w czasie zbójowania. Goszczyński odczuwa potrzebę kreowania wielkich i mniejszych bohaterów narodowych w swojej twórczości. Stale pojawia się w niej dylemat obowiązku wobec zniewolonej ojczyzny i miłości wobec kobiety. *Kościelisko* jest tekstem, w którym zostaje on rozwiązany. Złośliwie można by dodać, że Janoszowi pomogła śmierć Kasi — inni bohaterowie, których postawi autor przed takim wyborem, poniosą w pewnym sensie klęskę w swoim doczesnym życiu.

Goszczyński próbował stworzyć epos z życia górali, wykreować mit Tatr jako kolebki polskości. Muzyka, pieśni i dźwięki odgrywają istotną rolę w poemacie. Przede wszystkim, legendy i pieśni podhalańskie są źródłem inspiracji dla poety oraz źródłem polskości. Pełnią także ważną funkcję w kompozycji tekstu, wzbogacając go nawet o rozmaite punkty widzenia — te same zdarzenia możemy poznawać dzięki relacji narratora, monologowi Janosza oraz za pośrednictwem ludowej pieśni. Dźwięki dominują często w opisach tatrzańskiej przyrody. Zwykle Goszczyński

łączy elementy plastyczne (wzbogacając je o przedstawienie ruchu) z elementami dźwiękowymi³¹.

Poeta porwał się na dzieło wielkie, na miarę przeżyć, jakich dostarczyły mu Tatry i kontakt z ludem podhalańskim. Powstały piękne fragmenty, ale tylko fragmenty. Nie ulega wątpliwości, że Goszczyński, mierzący tu siły na zamiary, poniósł jako twórca pewnego rodzaju porażkę, choć nieukończenie poematu, wbrew temu, co niekiedy twierdzono, nie stanowi jej przyczyny, ponieważ fragment w romantycznej poetyce nie jest utworem ułomnym. Wskazywano różne powody tego artystycznego niepowodzenia. Stanisław Pigoń uważał, że autor został przytłoczony założeniami ideowymi poematu, czyli koncepcją zbawiania narodu przez jednostkę³². Krystyna Poklewska dopatrywała się niekonsekwencji między wątkiem patriotycznym a ludowymi opowieściami — autor przekształcał postacie nadprzyrodzone w obrońców ojczyzny, a takiej funkcji nie spełniały one w folklorze, podobnie jak zbójnik nie umierał w nich za naród³³. Maria Janion zwróciła uwagę, że klechdy góralskie poeta poznawał inaczej niż ukraińskie, mając inne założenia, i dlatego nie udało mu się stworzyć dzieła na miarę *Zamku kaniowskiego*. Pisał już — zauważała Janion — „z zewnątrz”, a nie „od wewnątrz”, zbliżając się do postawy „historysty” (jaką wcześniej prezentował Mickiewicz) i odbiegając od postawy folklorysty³⁴. Było to zresztą — według autorki — charakterystyczne dla wszelkiej epiki historycznej ziewończyków, choć sprzeczne z ich programem³⁵.

Skarb ducha. Niebylica to ballada napisana przez Goszczyńskiego w 1834 roku, kontynuująca, specyficzny dla okresu przedlistopadowego, nurt ballad nawiązujących do twórczości ludowej. Autor wykorzystuje po raz kolejny podanie o kwitnącym w noc świętojańską kwiecie paproci. Podkreśla w przypisie wierność wobec relacji gminnej, a także egzotyczne dla ówczesnego czytelnika tło, na którym zdarzenia się rozgrywają. Powstała pełna niesamowitości i okropności opowieść o błędnych wyborach

³¹ Zob. także S. Pazurkiewicz: *Poczucie przyrody w twórczości Seweryna Goszczyńskiego*. Tarnów 1921.

³² S. Pigoń: „Kościelisko” S. Goszczyńskiego..., s. 227—228.

³³ K. Poklewska: *Galicja romantyczna (1816—1840)*..., s. 234—235.

³⁴ M. Janion: *Kozacy i górale*. W: Eadem: *Prace wybrane*. T. 1: *Gorączka romantyczna*. Kraków 2000, s. 381—383.

³⁵ Eadem: *Poezja w kraju*..., s. 64.

życiowych młodzieńca, obdarzona szampowym morałem, mówiącym, iż nie jesteśmy świadomi szczęścia, dopóki go nie tracimy.

Goszczyński jednak jest tak dobrym rzemieślnikiem, że nie daje nam kolejnego, spóźnionego (bo czasy największej balladomanii już przeminęły) grafomańskiego i naśladowczego dziełka. Rozpoczyna od tętniącej werwą scenki, w której bohater otrzymuje od swej ukochanej kosza. Nieszczęsny młodzieniec wraca myślami do wcześniejszych zdarzeń, w nich upatrując przyczyny obecnych nieszczęść. Zaburzona chronologia opowieści wzmacnia tajemniczość i napięcie, a ponadto urozmaica tok narracji, gdy krótkie zdania żywo toczącej się rozmowy zastąpione zostają relacją, wprowadzając również pełną emocji i napięcia, ale jednak epicką, a nie dramatyczną.

Bohater ukazuje siebie w swej własnej opowieści początkowo jako typowego romantycznego młodzieńca. Cierpi na chorobę wieku — postrzega swoją egzystencję jako pasmo zwiniętych w kłębek beznadziejnych „ni to zimowych, ni to wiosennych” dni, którym brakuje silnych emocji, pobudzających zdarzeń, kontrastu, jaki określiłby jego świat i życie, tu wyrażone w obrazie dni „beziennych i bezpromiennych”. Pojawia się motyw przemiany, odrodzenia, jakie może się dokonać za pomocą kwiatu. Potrzeba cudu, bo egotyczny młodzieniec nie znajduje w sobie siłę, by móc zmienić siebie i bieg zdarzeń. Jest gotowy na popełnienie grzechu i przyjęcie odpowiedzialności za niego, na pokutę. Przechodzi od apatii do obłąkania tą jedną myślą.

Przemiana ma się dokonać w magicznym czasie, dokładnie o północy w noc św. Jana, i w magicznym miejscu. Goszczyński wprowadza pewne elementy kolorytu lokalnego do — charakterystycznego dla toposu poszukiwania tajemnicy — motywu wędrownicy. Młodzieniec ma kierować się wzdłuż rzeki Białki, aż, docierając do polany, ujrzy na przeciwnym brzegu skałę z rosnącymi na niej czterema smrekami. Idzie więc w stronę źródła, przekracza zapory na tej drodze i przybywa do skały. W ten sposób często ukazywano poznawanie prawdy czy Boga. Jednak symbolika może tu być mniej jednoznaczna. Po drugiej stronie rzeki istnieje już inny świat. Być może skała i świerki nie są pozytywnie nacechowanymi symbolami. Wprawdzie góra jest zwykle uważana za miejsce spotkania człowieka z *sacrum*, ale św. Augustyn wskazuje inną drogę interpretacji — nad górami świata władzę ma diabeł. Świerk jest przeważnie postrzegany jako drzewo

„dobre” dla ludzi, ale już jego cień przynosi nieszczęście. Czwórka to cyfra symbolizująca świat materialny. Teren za rzeką byłby więc światem, w którym dominuje materia, a nie duch, *profanum*, a nie *sacrum*. Tam trzeba nakreślić poświęconym żelazem okrąg, aby uchronić się przed złymi mocami, tam zapalane są stosy na cześć pogańskich bóstw, tam pojawiają się niepokojące istoty, które nie mogą oddać kwiatu paproci w „ochrzczone ręce”. Niektóre z opisanych w balladzie magicznych czynności i postaci mogą wydawać się współczesnemu czytelnikowi zabawne. Bohater wkłada na głowę... garnek, aby nie widzieć złych zjaw, a i tak wszystko dostrzega, uroczą zaś dziewczica przemawia wyszukаныmi słowy, by za chwilę obdarzyć intruza określeniem wywodzącym się raczej z karczemnej awantury: „bezmózga głowo”, zresztą zupełnie uzasadnionym w obliczu poczynañ młodzieńca. Grozę wprowadza autor stopniowo, poczynając od odległych, zatartych obrazów. Kulminacja następuje, gdy „widmo dziewczęce” przemienia się w straszliwą postać przypominającą wilczycę. Kudły porastające ciało oraz szczególne upodobanie do paproci mogą świadczyć, że jest to dziwożona. W ślad za tą przemianą spadają z nieba ognie, a bohatera otaczają kołem przerażające zjawy.

Ballada wydaje się taka zwyczajna: romantyczny świat dziwów, kara za grzechy, przekonanie, że szczęście poznajemy, kiedy je tracimy, ale ukształtowanie motywu kwiatu paproci wyróżnia ją spośród wielu innych. Wspomniany kwiat ma niejasny status. Znalezione w noc świętojańską przynosił szczęście i bogactwo. Młodzieniec marzy o podziemnych skarbach, ale wierzy również, że kwiat paproci pozwoli mu na zgłębienie tajemnic świata, da wiedzę, szacunek wśród ludzi. Umożliwi mu także panowanie nad światem. Wiedza młodzieńca okazuje się jednak wiedzą głupca, bo nie jest jej świadomy — kwiat po nocy świętojańskiej istnieje w sposób niematerialny, bohater nie wie, że jest jego właścicielem, że ma możliwość spełnienia pragnień, że jest szczęśliwy i posiadał władzę. Nie jest to jednak władza nad światem, jakiej pragnął w swych romantycznych marzeniach, gdy mówił: „wszędzie myśl, wzrok i dłonie moje”. Dla pogańskiego widma-dziewczyny kwiat paproci oznacza dziewictwo, miłość i życie. Jego stratę porównuje do śmierci. Kwiatem paproci — skarbem ducha — jest bowiem miłość i to ona daje szczęście, ale także władzę. Nie nad światem, a nad tym, kto pokochał. Młodzieniec boleśnie przekonuje się o tym, gdy spełnia się przepowiednia widma i traci uczucie,

którym obdarzała go ukochana, traci szczęście i poczucie panowania nad swoim losem. Goszczyński wiąże oba wątki motywem kwiatów — w pierwszej scenie, w czasie zrywania zaręczyn przez ukochaną, zrozpaczony młodzieniec, niczym sentymentalny kochanek, obrywał świeżo uwity wieniec.

Można by dopatrywać się w *Skarbie ducha* pogłosu ballad Mickiewicza w drobnych obrazach, motywach, np. wspomnianego wieńca, ale także w konstrukcji głównego bohatera, który przypomina jedną z najciekawszych postaci *Ballad i romansów*. Młodzieniec, jak Tukaj, biega za „cackiem błędu”. Szuka wiedzy, bogactwa, władzy, jakie tamten posiadał. Jest jakby młodym *alter ego* Mickiewiczowskiego Tukaja. Obu brakuje uczuć, Tukajowi — zaufania do innych, młodzieńcowi zaś współczucia i umiejętności okazywania emocji. W balladzie Goszczyńskiego kara nie mija bohatera, ale nie potrafi on wyciągnąć wniosków z lekcji, którą dała mu pogańska dziewczica. Jest świadom straty skarbu ducha, ale tak dumny, że nie potrafi wypełnić drugiej części przepowiedni i uronić łzy przed ukochaną; żegna ją zimnym, salonowym zwrotem (jakby zgodnie z radą z sonetu *Do wizytujących* Mickiewicza): „Bądź, Pani, zdrowa!”. Ta zaskakująca pointa, stanowiąca w balladzie stylistyczny zgrzyt, pokazuje, że młodzieniec niczego się nie nauczył od ludu, czy, jak chce tu Goszczyński, od pierwotnych mieszkańców tatrzańskich gór.

Czyżby w tej balladzie, gatunku już do pewnego stopnia przebrzmiałym w epoce polistopadowej, Goszczyński pragnął zmierzyć się z Mickiewiczem? Po publikacji *Pana Tadeusza* mógł czuć się niespełniony, przecież i on chciał stworzyć poemat ukazujący piękno rodzimej ziemi, wartość dawnych Polaków, chciał pobudzić do nowych wysiłków, walki z zaborcami. Tymczasem miał ciągle w tece tylko fragmenty swojego wielkiego dzieła i nie było to — w tej formie, w jakiej istniało — dzieło nawet na miarę jego własnego *Zamku kaniowskiego*. Może więc *Skarb ducha* jest czymś więcej niż błahą epigońską balladką. Może to świadoma polemika z wizją ludu i ludowości w twórczości Mickiewicza w „małej” formie, gdy jeszcze (jeszcze, bo Goszczyński ciągle wierzył w powodzenie swojego przedsięwzięcia) nie udało mu się pokazać w *Kościelisku* prawdziwego ludu.

Koncepcję pracy patriotycznej wśród gminu przedstawił Goszczyński w powieści *Straszny Strzelec*. Tekst ten, opublikowany w paryskim (od 1838 roku poeta przebywa na emigracji) „Noworoczniku Demokratycznym” w grudniu 1841 roku, ukazuje symbiozę sztuki i polityki w roman-

tycznej myśli o odrodzeniu państwa. Goszczyński po upadku powstania nie ustawał w działaniu konspiracyjnym. W 1832 roku założył tajny Związek Dwudziestu Jeden, a w roku 1835 był jednym ze współzałożycieli Stowarzyszenia Ludu Polskiego, które dążyło do zjednoczenia ziem różnych zaborów oraz odzyskania niepodległości dzięki ogólnonarodowemu powstaniu. Istotnym założeniem SLP było zrównanie wszystkich stanów.

Straszny Strzelec to utwór dydaktyczny, zarysowujący program polityczny autora, a także stanowiący swego rodzaju instruktaż pracy artysty-patrioty wśród ludu, jednak stworzony z dbałością o artystyczny wyraz. Wynika to ściśle z koncepcji „oświecania” ludu, zawartej w powieści, wywodzącej się z myśli Maurycego Mochnackiego oraz grupy Ziewonia. Między ludem a twórcą istnieje ścisły związek, artysta może inspirować się folklorem. To jednak tylko powierzchowny kontakt. Według Goszczyńskiego, artysta powinien sięgnąć po „ważniejsze skarby”, ukryte w głębiach gminu. Takim skarbem jest odczucie narodowej tożsamości. Tę polskość duszy i jej znaczenie trzeba jednak gminowi uświadomić, aby pasterze, rolnicy stali się w pełni Polakami, aby chcieli odrodzenia państwa. Artysta jest więc poszukiwaczem prawdy, narodowości, ale także emisariuszem. Między nim a ludem zachodzi swego rodzaju „wymiana dóbr”. Czerpie z duszy ludu, ale też wzbogaca tę pradawną duszę nowym rozumieniem. W zamian za duszę ludu, czynnik tworzący podstawy narodu, daje gminowi świadomość państwową. Staje się to możliwe, gdy artysta żyje wśród ludu, gdy potrafi się z nim utożsamić, gdy zostaje zaakceptowany i uznany przez chłopów za jednego z nich.

Drugim źródłem narodowości jest przyroda, więc bohater Goszczyńskiego — Stach, jak o wirtuozie mówią familiarnie juhasi, chroni się w Tatrach. Jest on *porte-parole* autora. Goszczyński konstruuje jego postać na kanwie własnego życia oraz zdarzeń i postaci, o których słyszał. Stach, tak jak pisarz, po upadku powstania listopadowego chroni się w Galicji, przeżywa fascynację górami, jest wyrazicielem tych samych idei politycznych. Goszczyński, tworząc *Straszego Strzelca*, unika nowatorskich rozwiązań. Wykorzystuje popularny w literaturze motyw otrzymanego rękopisu, wydawanego bez jakichkolwiek zmian. Kreuje postać wydawcy, bliskiego w pewnym momencie życia autorowi manuskryptu — Stachowi. W ten sposób chce utwierdzić czytelników w przekonaniu o wadze przedstawi-

nych w utworze poglądów — uprawomocniają je słowa i narratora-wydawcy, i narratora-bohatera.

Opisy Tatr nie zajmują wiele miejsca w powieści, przeważnie stanowią tło opowiadanej historii. Więcej miejsca Goszczyński przeznaczył tylko obrazowi rodzącego się w górach życia, kiedy po zimie, w czerwcowy, ciepły dzień rozpoczyna się wypas, a polany zalewają stada owiec i grupy wędrujących juhasów. Stopniowo wprowadzany jest opis nadchodzącej nocy, spokoju ogarniającego ziemię. Jak zwykle Goszczyński odwołuje się wpierw do elementów plastycznych, jednak „znak” do nowego życia daje dźwięk — odgłos grzmotu. Odradzanie się życia po zimie zapowiada odrodzenie narodu. Autor podkreśla stały rytm życia górali, ale zarazem akcentuje odmienność mającego właśnie nastąpić wieczoru. Po okresie konspiracyjnej pracy, po nawiązaniu kontaktu z juhasami, bacami, bohater przygotowuje dla nich niezwykłą niespodziankę — poemat muzyczny.

Muzyka zajmowała w romantyzmie niezwykle miejsce, przenikała także do literatury bądź to w postaci prób oddania melodyki w utworach, bądź w tematyce. Istotne było także — jak już wspomniałam — uznawanie folkloru, a więc także muzyki ludowej, za źródło duszy narodu. Goszczyński, współtwórca Stowarzyszenia Ludu Polskiego, którego zadaniem miało być zbliżenie mieszkańców różnych zaborów, oraz współpracownik grupy literackiej Ziewonia, postulującej tworzenie literatury narodowej na podstawie kultury ludowej, ukazuje rolę, jaką w zjednoczeniu narodu może odegrać muzyka. Bohater powieści oswaja górali z muzyką innych regionów: Mazowsza, Ukrainy, a następnie tworzy poemat muzyczny o historii Polski. Ma on ukazać, zgodnie z koncepcją Kazimierza Brodzińskiego, sielską, melancholijną Słowiańszczyznę, walkę pogaństwa z chrześcijaństwem, łączenie się plemion, wyobrażanych dźwiękiem instrumentów pochodzących z różnych okolic (Rusinów — zapewne autor myśli o mieszkańcach Ukrainy i Białorusi, Kozaków, Litwinów, a także górali — to już „propaganda” Goszczyńskiego, bo nie zapisali się oni w historii Polski, ale w ten sposób autor chce podkreślić ich znaczenie), następującą po tym okresie dominację rycerstwa nad innymi stanami oraz rozdźwięk, nieporozumienia wewnętrzne, będące źródłem klęski narodu. Celem poematu muzycznego miało być — jak wprost informuje autor — zrozumienie wzajemne uczuć, a co za tym idzie, połączenie duchowe Polaków. Okazuje się jednak, że odwoływanie się wyłącznie do uczuć nie wystarcza. Górale,

choć świadomi faktu, że stali się świadkami niezwykłego wydarzenia, po chwili obracają je w ludowy żart — twierdzą, że taka muzyka pozwoliłaby zakląć diabła pod Giewontem, aby oddał swoje skarby.

Objaśnienia muzyki góralom podejmuje się obcy, który przypomina postać mityczną — to człowiek olbrzymiej postury, męski, silny, szlachetny, mający władzę nad ludźmi. Górale dopatrują się w nim Straszego Strzelca i obdarzają go kolejnymi cechami: ma on władzę nad przyrodą, dysponuje nadludzką siłą, jest patriotą, nakłania do walk z Moskalami, ocala niewinne stworzenia, może w tym samym czasie przebywać w różnych miejscach. Wizje Polski w utworach Stacha i Straszego Strzelca są odmienne. Stach skończył poemat cichnącym głosem trąby, symbolizującej rycerstwo, Straszny Strzelec większy nacisk położył na pogrzebowe nuty, aby tym jaskrawiej ukazać zmartwychwstanie narodu. Scalenia Polski, odrodzenia i połączenia cnót rycerskich i chrześcijańskich ma dokonać dźwięk gęśli, czyli pogańskiego, słowiańskiego, a więc narodowego źródła Polski.

Fabulę oraz dalsze kwestie łączące się z problemem postawy wobec państwa rozwija Goszczyński w kolejnych epizodach związanych z postacią Straszego Strzelca. To on doprowadza do spotkania Stacha z majorem Nikorowiczem. Motyw rozdźwięku między miłością do kobiety a miłością do ojczyzny pojawia się w twórczości Goszczyńskiego wielokrotnie. I tym razem miłość w sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, uznana jest za grzech. Dylematy majora doprowadzają go do szaleństwa. Motyw ten — typowy dla literatury romantycznej — poeta ukazuje z innej perspektywy. Nie występuje tu Gustaw, który staje się Konradem, ale Gustaw, który jednocześnie jest Konradem. Literacki model bohatera poeta wzbogacił w realizm doświadczeń powstańca i emigranta, tworząc przejmujący obraz patrioty na obczyźnie, osamotnionego, pozbawionego kontaktu z najbliższymi. Nikorowicz, zgodnie z przepowiednią Strzelca, znajduje śmierć (i żonę) u źródła Białego Dunajca. Źródło ma wieloraką symbolikę, może obrazować zapomnienie, żonę, zmartwychwstanie. Major, pijący ze źródła, zapomni o cierpieniach i śmierci, spotka w konsekwencji — już nie na tym świecie — także żonę. Po napiciu się wody ze źródła Białego Dunajca, potoku wypływającego z Tatr, major umiera jako święty męczennik, dokonuje się jego przeanielenie, a pogrzebowi towarzyszy żałoba natury. Straszny Strzelec wykorzystuje jego śmierć, by w retorycznej, niekiedy przytykanej

kolokwializmami, mowie pogrzebowej nauczyć górali patriotyzmu. Nakazuje miłość ojczyzny nade wszystko, nawet nad rodzinę, straszy górali zagładą, sądem ostatecznym, zrównuje ze zdrajcami, wzywa do zjednoczenia, zaprzestania waśni, sugeruje spotkanie przy innej burzy — dziejowej. Przy burzy, bo choć pierwszy grzmot w powieści ukazywał odrodzenie się życia w Tatrach i poprzedzał najistotniejsze przesłanie powieści, teraz burza towarzyszy pogrzebowi, a Bóg piorunami poświadcza napomnienia Strzelca. On sam staje się już nie tylko mityczną postacią, lecz również posłańcem Boga, prorokiem, a Stach, który wcześniej dopatrywał się w nim zbójcy, teraz uznaje go za wcielenie duszy polskiego ludu.

W powieści *Straszny Strzelec* kilkakrotnie odnajdujemy aluzje do tekstów Mickiewicza. Dostatecznie odległego nawiązania możemy się dopatrywać w obrazie zachodzącego słońca, gwaru pasterzy wracających do szałasów, bliższego — w obrazie umierającego majora Nikorowicza, czyniącego spowiedź życia na łożu śmierci, opromienionego blaskiem słońca, a całkiem wyraźnego — w słowach, jakimi Stach żegna, już po śmierci, majora. Mówi on o nim: „spółtowarzysz, spółwygnaniec, spółofiara”. Mickiewicz trzecią część *Dziadów*, przypomnijmy, dedykował „spółuczniom, spółwięźniom, spółwygnańcom [...], narodowej sprawy męczennikom”. Goszczyński prowadzi cały czas dialog — nie jest epigonem, przedstawia własną koncepcję ludowości i patriotyzmu. Mickiewicz w latach trzydziestych liczy na europejski zryw, źródła odrodzenia upatruje także w religii, Goszczyński skupia się raczej na Polsce, na konspiracyjnej pracy wśród ludu, na budowaniu jedności narodowej między zaborami i stanami. To, co w *Sobótce* i *Kościelisku* przedstawiał wbrew prawdzie jako fakt, czyli istotny udział górali w historii Polski, w *Strasznym Strzelcu* staje się postulatem, przyszłością, która może się spełnić. Może wypływa to z poczucia artystycznej porażki, jaką było niedokończenie tatrzańskiego eposu, ze zrozumienia, co zaszkodziło jego koncepcji.

Po raz ostatni wraca Goszczyński do motywu Tatr w powieści *Oda*. Tekst, według zapisków poety, powstał w 1841 roku. Został opublikowany natomiast w roku następnym w „Dzienniku Domowym”. Już samo miejsce publikacji sugerować może, że to utwór odmienny od pozostałych tekstów autora *Zamku kaniowskiego*. Czego możemy się spodziewać po powieści wydanej w piśmie dla kobiet? Zapewne tego, że będzie to praca nie-nowatorska, wykorzystująca schematy powieści popularnej i dostarczają-

ca przede wszystkim rozrywki czytelniczkom. Istotnie, możemy się dopatrzeć w niej wielu elementów sentymentalnego romansu. Co prawda, ukazuje szczęśliwe małżeństwo, co w romansach sentymentalnych raczej się nie zdarzało³⁶; w dodatku jest to małżeństwo, którego nie rozdzieliła nierówność stanowa. On jest panem na zamku, znamienitym rycerzem, bohaterem wojennym, ona — piękną góralką. Jednak szczęście trwa tylko do pewnego czasu, później Oda i jej małżonek, Gromowid, zostają — zgodnie z konwencją — rozdzieleni. W jego zamku, ukryci przed światem, cywilizacją, historią, żyli wyłącznie dla siebie, w otoczeniu przyrody. Natura nie tylko współodczuwała z nimi, ale niekiedy wręcz wkraczała w dzieje bohaterów, próbując ich ostrzegać różnymi znakami przed popełnieniem czegoś niewłaściwego. Gromowid po wielu rozterkach, jak przystało na sentymentalnego bohatera, postępuje w zgodzie z głosem sumienia, dołączając do króla na wojnie. Bohaterowie powieści przeżywają wszystko bardzo emocjonalnie. Oda, po wyjeździe małżonka, rozpląwa się we łzach, przeszłość i przyszłość stają się dla niej „morzem płaczu”. Stopniowo zapamiętuje się w żalu, samotność staje się dla niej swego rodzaju synonimem rozkoszy. Po powrocie Gromowida z wyprawy następuje spotkanie małżonków, jednak tuż po nim kolejny raz się rozstają, tym razem już na zawsze — Oda umiera. Gromowid grzebie żonę w miejscu, gdzie skonała, a potem zostaje pustelnikiem, zamieszkuje w kaplicy zbudowanej na grobie i wkrótce umiera. Trudno, doprawdy, o większą zgodność z poetyką powieści sentymentalnej.

Goszczyński wykorzystuje, oprócz elementów powieści sentymentalnej, także schematy innego popularnego gatunku — powieści grozy. W obu gatunkach o względy kobiety zawsze walczyło dwóch mężczyzn, jeden idealny, drugi — negatywnie nacechowany. Rywalem Gromowida staje się pustelnik Czarnodum — postać wywodząca się właśnie z romansu gotyckiego. Sentymentalizm przedstawiał księży, zakonników, pustelników jako postacie pozytywne, natomiast gotycyzm czynił z nich wcielenie wszelkiego zła. Czarnodum jest w istocie groźnym, złowieszczym guślarzem, a pustelnika jedynie udaje. Goszczyński sięga momentami do najbardziej kontrowersyjnego z nurtów powieści grozy, rozpoczynającego się

³⁶ O schematach powieści sentymentalnej zob. J. Zawadzka: *Kronika serc czułych: stereotypy polskiej powieści sentymentalnej pierwszej połowy XIX w.* Warszawa 1997.

powieścią *Mnich* Matthew Gregory’ego Lewisa. Co prawda — wspominając niektóre inne teksty Goszczyńskiego — należy zauważyć, że oszczędzał on co bardziej wrażliwe czytelniczki *Ody*. W najbardziej przerażającym opisie wymienia potworne posągi bożków, zbryzgane jeszcze świeżą krwią ofiary i czarę napełnioną jej krwią. Autor, jak zwykle, skupia się głównie na dźwiękach: bełkotliwej modlitwie guślarza, jękach, westchnieniach, zgrzycie zębów, pryskaniu ognia, krwi skwierczącej w ogniu, grobowym milczeniu, drewnie piszczącym w ogniu, a wreszcie na odgłosach dobiegających spoza pieczary — śmiechu puchacza i chrypieniu jakiegoś dławionego gardła. Nie tylko elementy makabry wiążą ten tekst z powieścią Lewisa, ale także erotyka. Łączy się ona w powieści Goszczyńskiego z wyrzeczeniem się religii i ze zgubną rolą muzyki. W pierwszym wypadku Oda, po zdjęciu krzyża, pogrąża się w erotycznych marzeniach tak bardzo, że gotowa byłaby rzucić się „z uściskiem miłości na martwe drzewa i kamienie”. W drugim — Goszczyński tworzy niejasną sytuację, sugerującą jednak, że pustelnik jest obserwatorem sceny, w której Oda, uwiedzioną głosem muzyki, odurzona upałem, rozbiera się, ukazując długie włosy, twarz i „zaledwo przesłonięte” piersi. Nastrój grozy tworzą w powieści także opisy gór, np. księżyc oświetlającego przepaście, nagie skały i ciemną gęstwinę lasów. Z gotycyzmu wywodzi się również pomysł uczynienia zamku miejscem, gdzie rozgrywają się niektóre zdarzenia (sprzyja to zwłaszcza wizji, której doznaje Gromowid), czy umieszczenie akcji powieści w średniowieczu.

Oda to utwór, który nie tylko łączy różne odmiany powieści, ale także zawiera w sobie inne gatunki. Oprócz pieśni „słowiańskich”, skierowanych do bogini Ziewonii, autor wprowadza ludowe podanie, wyjaśniające powstanie jeziora zwanego Smerczyn Staw (czyli Staw Smreczyński). Z ludowych wierzeń wywodzą się także: przekleństwa rzucone przez Gromowidę, znaczenie przypisywane wiankowi bohaterki, jego symboliczne zerwanie przez Odę w chwili śmierci, przekonanie, że bohaterkę dosięgła kara boska.

Konstrukcja postaci jest niejednolita pod względem stylistycznym. Oda to nie tylko sentymentalna kochanka. Bywa przedstawiana realistycznie, np. jako spocona po górskiej wędrowce heroina romansu. Brak jej także łagodności oraz niezachwianej wiary, posuwa się do bluźnierstw przeciwko Bogu i ojczyźnie. Czarnodum okazuje się nie tylko gotyckim złoczyńcą,

ale także romantycznym zbrodniarzem, w którym w chwili śmierci odzywa się sumienie. Psychologiczne aspekty uwodzenia osamotnionej kobiety stara się Goszczyński przedstawić dokładnie i przekonująco. Uzasadnia słabość Ody jednoczesnym przyjęciem przez nią chrztu i zawarciem ślubu. Wini także tchórzostwo Gromowida, który bał się pożegnania z żoną, wskutek czego nagła nieobecność męża wywołuje u Ody szok i wpędza ją w głęboką rozpacz. Czarnodum zastawia sidła na Ode, wykorzystując magię dźwięków pieśni i ich słów. Aluzje w jego pieśniach mogą odnosić się zarówno do bogini nocy, jak i do góralki. Sam chyba gubi się w tej niejednoznaczności, gdyż w pewnym momencie modli się — jak sądzi bohaterka — za nią, ale wyciągnięte w stronę kobiety ręce mogą także wskazywać na modlitwę nie za Ode, lecz do niej. Poza hipnotyzującymi pieśniami i zniewalającym głosem guślarz stara się ją oszołomić wiedzą, czaruje słodkimi komplementami, uspokaja jak dziecko, opiekuje się nią. Stopniowo, gdy zdarzenia nie przybierają oczekiwanego obrotu, zmienia taktykę, tłumaczy, że religia chrześcijańska wymaga od ludzi bezużytecznych cierpień, straszy zemstą bogów. Pustelnik poprzestaje na mniejszych ofiarach, mających okazać zerwanie Ody z mężem i wiarą, niż pragnął tego pierwotnie. Omotuje niewiastę, dając jej wolną wolę, ale wyznaczając termin kolejnego spotkania. Cały czas manipuluje nią, a ona tego nie zauważa. Oda dopiero po dłuższym czasie uświadamia sobie, jakie konsekwencje pociągnie za sobą jej decyzja, ale wtedy jest już tak oczarowana pustelnikiem, że w jej marzeniach, oprócz pojawiającego się cały czas wątku miłości do męża, zaczyna ukazywać się postać pustelnika. Oda jest do tego stopnia osaczona, że gdy Czarnodum wyznacza spotkanie, w jej głowie pojawiają się słowa „jutro lub nigdy”, a słowa „nigdy” pustelnik w utworze nie wypowiedział. Dochodzi nawet do tego, że góralka zaczyna obwiniać siebie za cierpienia pustelnika. Kompozycja powieści (w romantyzmie termin „powieść” ma nieco inne znaczenie niż obecnie) jest bardzo zgrabna. Akcja noweli, ukazująca przyczyny zdrady wiary i męża, której dopuszcza się Oda, toczy się wartko, zmierzając do punktu kulminacyjnego — spotkania Ody, Czarnoduma i Gromowida. Goszczyński, jak często robił to wcześniej, znów stawia bohaterów swojego utworu przed dylematem: miłość czy ojczyzna. W *Odzie* miłość przedstawiana jest jako zgubny nałóg, autor używa „alkoholowych” porównań, gdy o niej pisze. Mówi o zamknięciu się Gromowida z żoną w ustronnym zamku, aby „nic ich nie wytrzeźwiało z upojenia”.

I dodaje: „A upojenie nowożeńców było niemałe, jak były płomienne, silne samą dzikością owych czasów ich serca”. Odwlekanie momentu wyruszenia na wojenną wyprawę wiąże się z utratą spokoju, poczuciem wstydu. Honor rycerza nie pozwalał na opuszczenie króla. Goszczyński igra słowami: małżonek i mąż Polski. Po raz kolejny też bohaterowie jego utworów poświęcają się dla ojczyzny, tracąc swoje szczęście.

Fabula *Ody* osnuta jest wokół dylematu miłości do kobiety i miłości do ojczyzny, ale nie to wyznacza tematykę dzieła. Utwór nosi podtytuł: *Powieść z czasów Bolesława Chrobrego*, i stanowi próbę stworzenia romantycznej powieści historycznej. Goszczyński nie skupia się na dokładnym odtworzeniu realiów epoki, nie wprowadza postaci historycznych. Wynika to zarówno ze szczupłości materiałów, jakimi mógł dysponować, jak i z koncepcji ideowej dzieła — do pewnego stopnia kreował historię, a nie odtwarzał. Przede wszystkim Goszczyński dąży do oddania psychiki postaci, ich indywidualności. Wcześniej wspomniany był subtelny proces uwodzenia. Teraz należy wskazać inne aspekty. Autor wybiera średniowiecze, moment przełomowy dla tworzenia się narodu i przyjęcia chrześcijaństwa w Polsce. Przedstawia czasy, gdy pogaństwo ma jeszcze bardzo duży wpływ na ludność i właśnie oddanie psychiki postaci przeżywających zmianę wiary stanowi o romantycznym historyzmie tej powieści. Goszczyński ukazuje w powieści towarzyszkę Ody, instynktownie czując, że chrześcijański Bóg jest prawdziwy, Odę, która — zawieszona między ludowymi korzeniami a życiem jako pani na zamku — zagubiła drogę, Gromowida — zacieklego pogromcę pogaństwa, burzącego słowiańskie gontyny, oraz Czarnoduma, wierzącego w starych bogów. Czarnodum przedstawia ważki argument przemawiający za pogaństwem: jest ono wiarą przodków. Ponadto utożsamia chrześcijaństwo z wpływami niemieckimi i przeciwstawia pogańską radość życia chrześcijaństwu oddawaniu się cierpieniom. Jego zemsta na Gromowidzie łączy się z miłością do Ody. Warto zauważyć, że Czarnodum nie jest przedstawiony całkowicie negatywnie — w jego duszy z pragnieniem posiadania Ody współistnieje przekonanie, że będzie ona z nim, wyznając wiarę przodków, szczęśliwa. Bierze winę za zdradę Ody na siebie, błagając Gromowida o przebaczenie dla niej.

Powieść nie jest tylko błahą nowelką napisaną ku uciechu kobiet. Goszczyński po raz kolejny przedstawia Tatry jako kolebkę polskości, tym ra-

zem czyniąc z nich siedzibę rycerzy Chrobrego (na zupełne nieprawdopodobieństwo tego faktu zwracał już uwagę Jacek Kolbuszewski³⁷). Autor pokazuje obrazy nieprzystające do cukierkowych wizji przeszłości Polski. Wojna, na którą wyrusza Gromowid, to nie bój o ojczyznę, lecz wyprawa na Kijów, więc nie tyle o honor Polaka tu chodzi, ile o honor wasala. Ale takie było średniowiecze. To z tego poczucia honoru zrodzi się później poczucie powinności wobec ojczyzny.

We wcześniejszych tekstach łączył Goszczyński bezproblemowo chrześcijaństwo z pogaństwem (np. w poemacie muzycznym ze *Strasznego Strzelca*), nie zastanawiając się głębiej nad tym związkiem. Ukazywał dobre strony obu, ich zbawienny wpływ na odrodzenie państwa. Teraz, po raz pierwszy, ukazuje pogaństwo jako okres folgowania namiętnościom, kiedy skupiano się na cielesności. Świadczy to o przemianach, jakie zaszły w ciągu 1841 roku w świadomości poety. Miał na nie wpływ pobyt Andrzeja Towiańskiego w Paryżu. Może wolno byłoby powiązać charyzmatyczną postać Czarnoduma z wpływem, jaki wywierał na emigrantów Towiański. Z całą pewnością *Strasznego Strzelca* i *Odę* rozdziela „epoka” w życiu Goszczyńskiego, choć teksty te napisał w tym samym roku — 1841. Po raz pierwszy poeta ukazuje dylemat konieczności opowiedzenia się za pogaństwem lub chrześcijaństwem, jednak nie potrafi poradzić sobie z jego rozwiązaniem. Był to problem istotny dla literatury romantycznej, zajmujący wówczas także innych twórców³⁸, jednak nie został wykorzystany w tej powieści. Nieprzekonujące zakończenie, w balladowym, wczesnoromantycznym stylu, niweczy kwestię postawioną przez Goszczyńskiego. *Oda* pozostanie więc świadectwem kryzysu myśli poety.

Goszczyński próbuje przedstawić Tatry jako miejsce, w którym narodziła się polskość, w którym ta polskość ciągle trwa, choć niekiedy jest słabo widoczna, oraz jako obszar mający dopiero spełnić swe najważniejsze przeznaczenie. Wprowadza Tatry i górali na miejsce dotąd w literaturze rezerwowane dla innych krain i ludów, bardziej zasłużonych dla historii. Myśl Goszczyńskiego w tekstach inspirowanych Tatrą kształtuje się wokół zagadnień tworzenia się narodu i poczucia więzi z ojczyzną, dyle-

³⁷ J. Kolbuszewski: *Tatry w literaturze polskiej...*, s. 77.

³⁸ A. Witkowska pisze o romantykach: „Czuli się wszak potomkami ludzi, którzy zdradzili dawnych bogów” (A. Witkowska: *„Ja, głupi Słowianin”*. Kraków 1980, s. 38).

matu miłości oraz obowiązku wobec kraju, marzeń o mitycznym bohaterze i o bohaterskim żołnierzu. Poeta wyraża swoje poglądy w utworach różnorodnych gatunkowo, stylistycznie oraz ideowo. Wielogatunkowość i wielopracowność w dziełach jednego autora to cecha charakterystyczna twórczości romantyków. Poematy pojawiają się obok dziennika, ballady, eposu i powieści, alegoryczny klasycyzm obok stylizacji sentymentalnych i romantycznych, a realizm obok mistycyzmu. Można by zadać pytanie, czy Goszczyński zmienił się z barda w literata, gdy upragniony epos o góralszczyźnie zastąpił powieścią pisaną ku uciechu pań. Nawet ten tekst, tworzony dla zarobku, nie jest błahy. Jest słabszy, jak i niektóre wcześniejsze utwory poety, jednak i w nim Goszczyński podejmuje ważne kwestie, ma coś do przekazania, mimo że jako artysta nie zawsze potrafił sprostać wyzwaniom języka, a jako myśliciel nie zawsze znajdował odpowiedź na stawiane przez siebie pytania.

*

Serdecznie dziękuję Panu dr. inż. Wojciechowi Gąsienicy Byrcynowi za konsultacje na temat tatrzańskiej przyrody, kultury regionu oraz Tatr, a także Panu mgr. inż. Jarosławowi Skirlińskiemu, pracownikowi Gorczańskiego Parku Narodowego, opiekującemu się rejonem Kiczory, dzięki któremu udało mi się zlokalizować położenie groty dziwożon oraz potoku pod Łopuszną.

Anna Krysztofiak

Bibliografia (wybór)

- Breitmeier K.: *S. Goszczyński w Tatrach*. W: Idem: *Szkice literackie*. Jasło 1927.
- Chmielowski P.: *Sobótka. Zestawienie dwóch wieków i dwóch indywidualności*. W: Idem: *Studia i szkice z dziejów literatury polskiej*. Seria I. Kraków 1890.
- Dembowski B.: *Słownik gwary podhalańskiej*. Kraków 1894.
- Długołędzka L., Pinkwart M.: *Muzyka góralska*. Warszawa—Kraków 1992.
- Góry i góralszczyzna w dziejach i kulturze pogranicza polsko-słowackiego (Podhale, Spisz, Orawa, Gorce, Pieniny). *Historia*. Red. J.M. Roszkowski, R. Kowalski. Nowy Targ 2005.
- Góry, literatura, kultura. Red. J. Kolbuszewski. T. 1—4. Wrocław 1996—2001.
- Hodorowicz SA.: *Słownik gwary górali Skalnego Podhala*. Nowy Targ 2005.
- Jagiełło M.: *Gałązka kosodrzewiny: najdawniejsze wypadki tatrzańskie w piśmiennictwie polskim*. Warszawa 2001.
- Jagiełło M.: *Zbójnicka sonata: zbójnictwo tatrzańskie w piśmiennictwie polskim XIX i początku XX wieku*. Warszawa 2006.
- Janicka-Krzywda U.: *Niespokojne Karpaty, czyli rzecz o zbójnictwie*. Warszawa—Kraków 1986.
- Janion M.: *Kozacy i górale*. W: Eadem: *Prace wybrane*. T. 1: *Gorączka romantyczna*. Kraków 2000.
- Kamiński [vel Kamieński] L.: *O mieszkańcach gór tatrzańskich. Najdawniejsza monografia etnograficzna Podhala*. Oprac. i wstęp J. Kolbuszewski. Kraków 1992.
- Kamionka-Straszakowa J.: „Do ziemi naszej”. *Podróże romantyków*. Kraków 1988.
- Kolbuszewski J.: *Góry jako źródło inspiracji artystycznej*. Kraków 1984.
- Kolbuszewski J.: *Obraz Tatr w literaturze polskiej XIX wieku (1805—1889). Funkcja artystyczna motywu przyrody*. Kraków 1981.
- Kolbuszewski J.: *Osobliwości i sensacje tatrzańskie*. Kraków 1977.
- Kolbuszewski J.: *Przestrzenie i krajobrazy*. Wrocław 1994.
- Kolbuszewski J.: *Tatry — literacka funkcja motywu gór*. Kraków 1995.

- Kolbuszewski J.: *Tatry w literaturze polskiej. Część pierwsza (1805—1888). Część druga (1889—1939)*. Kraków 1982.
- Majda J.: *Literatura o Tatrach i Zakopanem*. Wrocław—Warszawa 1981.
- Majda J.: *Tatrzańskim szlakiem literatury. Szkice literackie*. Kraków 1987.
- Mity i rzeczywistość zbójnictwa na pograniczu polsko-słowackim w historii, literaturze i kulturze. Red. M. Madejowa, A. Mlekodaj, M. Raka. Nowy Targ 2007.
- Niedzielski C.: *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej (podróż — powieść — reportaż)*. Toruń 1966.
- Pazurkiewicz S.: *Poczucie przyrody w twórczości Seweryna Goszczyńskiego*. Tarnów 1921.
- Piasecki Z.: *Byli chłopcy, byli... Zbójnictwo karpackie — prawda historyczna, folklor i literatura polska*. Kraków 1973.
- Piasecki Z.: *Poemat góralski Seweryna Goszczyńskiego (jego źródła i miejsce w dziejach „literatury tatrzańskiej”)*. W: „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu”. Nr 10. Opole 1972.
- Pigoń S.: „Kościelisko” S. Goszczyńskiego. Powstanie i zakrój pomysłu. W: Idem: *Studia literackie*. Kraków 1951.
- Pigoń S.: *Romantyczne marzenia o prakulturze*. W: Idem: *Drzewiej i wczoraj. Wśród zagadnień kultury i literatury*. Kraków 1966.
- Piksa W.: *Spojrzenie na Tatry poprzez wieki. Od pierwszych wzmianek do oświecenia*. Kraków—Wrocław 1995.
- Piotrowski S.: *Skalne Podhale w literaturze i kulturze polskiej*. Przedmowa J. Krzyżanowski. Warszawa 1970.
- Podhale. Tradycja we współczesnej kulturze wsi*. Red. D. Tylkowa. Kraków 2000.
- Poklewska K.: *Galicja romantyczna (1816—1840)*. Warszawa 1976.
- Radwańsk-Paryska Z., Paryski W.H.: *Wielka encyklopedia tatrzańska*. Poronin 1995.
- Reychman J.: *Peleryna, ciupaga i znak tajemny*. Posłowie J. Krzyżanowski. Kraków 1976.
- Romantyczne wędrówki po Galicji*. Wstęp i oprac. A. Zieliński. Wrocław 1987.
- Sierotwiński S.: *Nad „Dziennikiem podróży do Tatrów” Seweryna Goszczyńskiego*. „Wierchy” 1956.
- Sierotwiński S.: *Uwagi na marginesie „Sobótki” Seweryna Goszczyńskiego. (O pewnych zbieżnościach pomysłów Goszczyńskiego z koncepcją „Króla Ducho”)*. W: „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Nr 21. Prace Historycznoliterackie. Z. 3. Kraków 1959.
- Sierotwiński S.: *Wstęp*. W: S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów*. Oprac. S. Sierotwiński. Wrocław 1958.

- Słapa A.: *Goszczyński na Podhalu (1832): kartka z przeszłości Podhala i Tatr*. Kraków [1914].
- Symposium „Góry w kulturze polskiej”*. Kraków 9—10 listopada 1974 r. Kraków 1975.
- Szaflarski J.: *Poznanie Tatr. Szkice o rozwoju wiedzy o Tatrach do połowy XIX w.* Warszawa 1972.
- Tatry i górale w literaturze polskiej. Antologia*. Oprac. J. Kolbuszewski. Wrocław—Warszawa—Kraków 1992.
- Tatry w poezji polskiej*. Zebrał i ułożył J. Kantor. Jarosław 1909.
- Tetmajer K.: *Poeci Tatr*. W: Idem: *Notatki literackie*. Warszawa 1916.
- Tetmajer K.: *Stara książka i stara pieśń*. W: Idem: *Na Skalnym Podhalu*. Wstęp A. Łempicka. Oprac. R. Hennel. Kraków 1995.
- Wasilewski Z.: *Pieśń w górach*. Warszawa 1930.
- Woźniakowski J.: *Góry niewzruszone. O różnych wyobrażeniach przyrody w dziejach nowożytnej kultury europejskiej*. Kraków 1995.
- Wróbel Z.: *Zbójnictwo na Podhalu*. Częstochowa 1929.
- Zborowski J.: *Z badań nad etnograficzną wartością utworów Seweryna Goszczyńskiego*. W: Idem: *Pisma podhalańskie*. T. 1. Kraków 1972.
- Zdziarski S.: *Seweryn Goszczyński*. W: Idem: *Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX w. Studia porównawczo-literackie*. Warszawa 1901.

Zasady wydania

Podstawą niniejszego wydania jest edycja: S. Goszczyński: *Dzieła*. T. 1—2. Lipsk 1870 — ostatnie poprawione przez autora wydanie zbiorowe jego dzieł. Ukazało się w drukarni F. A. Brockhausa. Posłużyło ono do przygotowania tekstów: *Orzeł biały*, *Sobótka*, *Skarb ducha*, *Straszny Strzelec*, *Oda*.

Przy ustalaniu właściwego tekstu *Sobótki* pomocne były dwa rękopisy: *Sobótka* oraz *Kościelisko. Powieść tatrzańska*, a także pierwodruk zamieszczony w 1834 roku w „Ziewonii”.

Konfrontacja tekstu *Straszego Strzelca* z pierwodrukiem w „Noworoczniku Demokratycznym” z 1842 roku pozwoliła obserwować, jak daleko idącym zmianom uległ ten tekst we wrocławskim wydaniu Z. Schlettera z 1852 roku i w przedruku Brockhausa.

Do opracowania właściwego tekstu powieści *Oda* wykorzystany został również pierwodruk zamieszczony w „Dzienniku Domowym” z 1843 roku.

Fragmenty zaczętych pieśni *Kościeliska* oraz komentarze do *Sobótki* i *Kościeliska*, w tym plan poematu znaleziony w papierach pośmiertnych poety, przygotowane zostały na podstawie edycji Zygmunta Wasilewskiego: S. Goszczyński: *Dzieła zbiorowe*. Wyd. Z. Wasilewski. T. 1—4. Lwów 1910.

Z *Dziennika podróży do Tatrów* zamieszczony został rozdział ściśle związany z górami — *Wyprawa w głąb Tatrów*. Tekst *Dziennika*... oparty jest na pierwodruku wydanym przez B.M. Wolffa w Petersburgu w 1853 roku. Przy jego opracowaniu pomocne były fragmenty zamieszczone w „Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności” oraz w „Muzeum Domowym” z 1835 roku. Cały tekst opracował w 1958 roku Stanisław Sierotwiński w serii Biblioteki Narodowej wydawnictwa Ossolineum. Wydanie to okazało się niezwykle przydatne ze względu na staranność, z jaką zosta-

ło przygotowane. Jednak i w nim występują pewne usterki — poważnym mankamentem jest brak kilku akapitów w rozdziale o szlachcie sądeckiej.

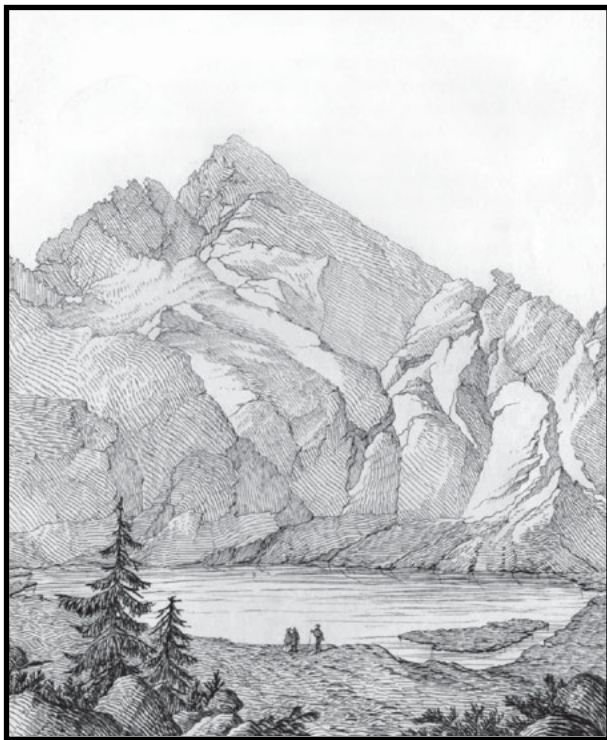
Pominięto *Proroctwa księdza Marka* ze względu na niewielką ilość miejsca poświęconego tu motywowi Tatr w stosunku do objętości poematu oraz wiersz *Zmartwychwstanie*, w którym poeta wspomina Łomnicę, gdyż obraz ten nie został rozwinięty.

Przy ustaleniu podstawy druku pomocny był artykuł Krzysztofa Kopczyńskiego *Pomysły do edycji „Pism zebranych” S. Goszczyńskiego* („Pamiętnik Literacki” 1986, z. 2, s. 223—233). Pisownię w niniejszym wydaniu zmodernizowano zgodnie z propozycjami Ireny Bajerowej, zawartymi w pracach *Modernizacja pisowni w tekstach z pierwszej połowy XIX w.* Artykuł dyskusyjny („Pamiętnik Literacki” 1955, z. 3, s. 144—158) oraz *Jeszcze o sprawie modernizacji starszych form typu „osmy, teolog, woznica, śpisek”* („Pamiętnik Literacki” 1959, z. 1, s. 159—162). W dbałości o zachowanie specyfiki języka Goszczyńskiego zachowano obocznie stosowane formy mię/mnie, spomnienie/wspomnienie itp., a także te nazwy geograficzne, których brzmienie podaje autor w zgodzie z ówczesnymi zasadami, np. Gewont. Poprawiono natomiast błędne formy, jak Ormak itp. Interpunkcję zmodernizowano zgodnie z zasadami współczesnymi, czyniąc wyjątek dla niewątpliwie retorycznej składni poety (np. częstego stosowania przecinka przed i, co zapewne miało sygnalizować dłuższą, retoryczną, pauzę w wypowiedzi). Poprawione zostały ewidentne błędy popełnione przez Seweryna Goszczyńskiego (np. „wałaszka” zamiast błędnego „watażka”) oraz błędy drukarskie. Ważniejsze zmiany zaznaczono w przypisach.

Przypisy Goszczyńskiego oznaczone są gwiazdkami, nieliczne przypisy autorstwa Wasilewskiego zamieszczone w *Dzielałach zbiorowych* — informacją „[Przypis Z. Wasilewskiego]”, pozostałe to przypisy autorki niniejszej publikacji.

Orzeł biały¹

Powieść



¹ Zob. *Wprowadzenie*, przypis 5.

1

Z łona Chrobatów² ziemicy³,
 Urodził się na Krywaniu⁴
 Piękny orzeł w chmur posłaniu,
 Oczy wziął od błyskawicy,
 Szpony nasadził gromami,
 Skrzydła upierzył wiatrami,
 A pióra potrząsł Krępaku⁵ śniegami.

2

A kiedy zleciał ze skały
 Bujać od Dniepru do Sali⁶,
 Na całej ziemi wołali:
 Co za ptak ten orzeł biały!
 Jak polotnym skrzydłem toczy!

² W pradawnej Słowiańszczyźnie Podkarpacie zwane było Chrobacją, zamieszkiwał je słowiański szczep Chrobatów.

³ *ziemica* — ziemia.

⁴ Jeden ze szczytów Wysokich Tatr, góra symboliczna dla Słowaków.

⁵ Nazwa Krępak używana była w różnych znaczeniach. Autor mógł mieć na myśli Łomnicę, Tatry, a nawet Karpaty. W *Dzienniku podróży do Tatrów* Goszczyński utożsamia Krępak z Łomnicą.

⁶ Soława — niem. *Saale*. Nad Soławą walczyła armia Napoleona. W dopływie Soławy, Białej Elsterze, utonął książę Józef Poniatowski. Prawdopodobnie na wykorzystanie Sali w tym obrazie miała wpływ praca T. Święcickiego, który wspominał, że Bolesław Chrobry „podbił Czechy, Morawię i shładował osady Słowian aż do Saali i Elby” (T. Święcicki: *Opis starożytnej Polski*. T. 1. Kraków 1961, s. 13). Goszczyński mógł czytać wcześniejsze wydanie rozprawy Święcickiego.

Jaki w piórach blask uroczy!
To drugie słońce w podniebia⁷ przezroczy.

3

Wszystko się przed nim spłaszczyło;
Ural zgarbaciał w pagórki,
Bracia orły, jak przepiórki,
Padły przed jego szpon siłą,
A gdy, spoczawszy na ziemi,
Strzepnął skrzydły dorosłemi,
Dwa wielkie morza plusnęły pod niemi.

4

Wtedy rozkochana chwała,
Od Dunaju aż do Oki,
Z tysiącznych bojów posoki
Ucztę jemu zgotowała.
Tak obfitej, tak wspaniałej
Żadne orły nie zaznały,
Aż się nią upił dzielny orzeł biały.

5

Upił się nią i zadrzymał;
Przypadli bracia nieczyści;
Pełni zemsty dla zawiści,
Że im dotąd przodek trzymał —
Skorzystali z tej snu chwili,
Spólną⁸ zdradą uderzyli
I uśpionego z gniazda wyrzucili.

6

— Biada tobie, ptaku świetny,
Pośród nieprawego rodu. —

⁷ *podniebie* — niebiosą, przestworzą.

⁸ *spólna* — wspólna. Taka forma jest charakterystyczna dla XIX-wiecznej polszczyzny.
Formy tego typu pojawiają się w publikowanych tu tekstach bardzo często.

Zawołał orzeł zachodu,
Przyjaciół wierny, szlachetny —
Zostaw na czas zbójcą zgraję,
Obleć ze mną cudze kraje,
Aż przyjdiesz do sił, których ci nie staje.

7

Lecieli więc, jak świat duży;
Wiele razem oblecieli,
Wiele razem przygód mieli,
Wtem, już przy końcu podróży,
Błysnął strzał, zdradnie puszczoney,
Brat zachodu padł skrwawiony;
A orzeł tułacz znowu bez obrony.

8

Wtedy to bękart dwugłowy,
Który zdradą i rozbojem
Rozsiadł się w gnieździe nie swoim,
Przemówił chytrymi słowy:
— Bracie, zakończmy tę wojnę,
Pora stulić szpony zbrojne,
Na moich piersiach masz gniazdo spokojne.

9

Zaufał słowom czarnego,
Spoczął na łonie nieczystym
I mieszkał w gnieździe ojczystym,
Jak lichy przybysz z obcego,
Póki u serca sąsiada,
Dziś już mędrszy, nie wybada,
Że cios śmiertelny gotuje mu zdrada.

10

Zadrzał i przysiągł bękarta
Skarać zasłużoną karą.

Stój — pomyślał — stój poczwaro!
Choćbyś miał pazury czarta,
A w brzuchu piekła otchłanie,
Połknąć mnie nie jesteś w stanie.
Jeszcze więc jedno, ostatnie spotkanie.

11

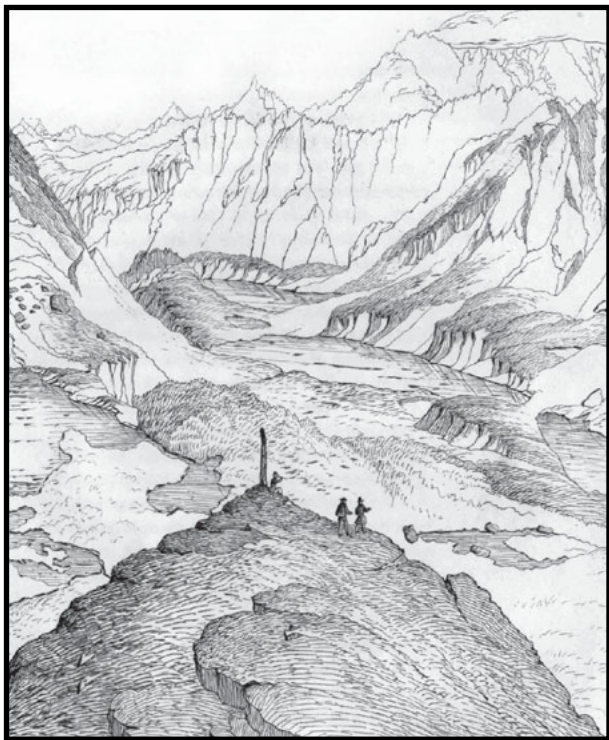
I jak siedział, tak w pierś brudną
Piorunne szpony zagrażył⁹;
Nim się potwór pojąć zdążył,
Już mu walczyć było trudno,
Już pierś, rozdarta szeroko,
Opluskała go posoką:
Jak to się skończy? — wiedzą tam! wysoko.

⁹ *zagrażyć* — grążąc zanurzyć, zatopić.

Dziennik podróży do Tatrów¹

(fragment)

Wyprawa w głąb Tatrów



¹ Jest to dawna forma odmiany, obecnie już nieużywana.

Leśniczostwo bukowińskie²

12 sierpnia 1832

Właśnie w tych dniach doniesiono nam, że śniegi od dwóch tygodni zginęły, ma się rozumieć w miejscach dostępniejszych, bliższych doliny. Postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i wyprawić się w głąb Tatrów; czekaliśmy tylko ustalenia się pogody, która przez te ostatnie dni kilka często się zmieniała. Dziś ją znajdujemy pewną. Niebo wprawdzie chmurzy się, ale barometr idzie w górę; nadto górale miejscowi zaręczają, a na tym więcej można polegać jak na skazówkach³ barometru.

Wyruszamy z Łopusznej o czwartej po południu. Towarzystwo z samych mężczyzn; jest nas pięć osób oprócz służącego. Odbywamy tę wędrówkę konno. Opatrzni jesteśmy dobrze w perspektywy⁴, w strzelby, a co najważniejsza, w żywność i wino. Każdy, obyczajem wojskowym rzymskim, dźwiga część tego zapasu w swojej torbie podróżnej. Zasób ten jest konieczny dla puszczającego się w góry. Prędzej puszczaj się bez broni jak bez żywności. Napad zbójców rzecz nadzwyczajna, ale głód bardzo rychło zajdzie drogę i schwyci cię za wnętrzności, wskutek ruchu, powietrza i wody górskiej. Na karczmy nie rachuj, nie znajdziesz ich tak jak w górach innych krajów; po części przez niedbalstwo krajowców, a w wielu miejscach dla niepokonanych przeszkód miejscowych; latem drogi niepodobne do utrzymania, a zimą, i to ośmio- lub dziewięciomiesięczną, śniegi i mrozy, o jakich nie mamy wyobrażenia, skazują te miejsca na wieczną bezludność.

² Leśniczówka w Bukowinie Tatrzańskiej.

³ *skazówki* — wskazówki.

⁴ *perspektywa* — luneta.

Mieliśmy przed sobą dwie drogi, jedna, dalsza, przez Nowy Targ; jest ona bardzo wygodna dla powozów nawet, ale znacznie dalsza, a dla nas, wierzchowych, niekonieczna; wzięliśmy więc drugą, mniejszą, ale najprostsza, przez wieś: Nową Białą, Białkę i Bukowinę.

Około ósmej wieczorem stanęliśmy w leśniczostwie bukowińskim, zrobiwszy dwie mile drogi. Miejsca, które zamierzaliśmy widzieć, były przed nami jeszcze o mil trzy i więcej. Musielibyśmy nocować w górach, pod gołym niebem, na jakiej polanie. Jakkolwiek nie mieliśmy wstrętu do podobnego noclegu, rozważyliśmy jednak, że polany jeszcze nie pokoszone, korney nasze nie miałyby żywności, a przy tym nie byliśmy zabezpieczeni⁵ przeciwko nocnemu chładowi, przeto woleliśmy przepędzić noc w leśniczostwie.

Leśniczy, znany moim towarzyszom⁶, uprzejmy, ludzki, nie tylko że pierwszy podał nam tę myśl, ale ofiarował się być naszym przewodnikiem, jako najświadomszy tych miejsc przez swój urząd i kilkoletni tu pobyt.

Wszakże i tak dzisiejszy wieczór nie był dla mnie stracony. Leśniczostwo leży na samym już wchodzie⁷ do Tatrów najwyższych, na miejscu bardzo wyniosłym, wesołym i pięknym. Pogoda ustalająca się spędziła z niebios i gór do najmniejszej chmurki; pełny księżyc świecił całym blaskiem; Tatry stały tuż przede mną, w takiej bliskości, w jakiej nie widziałem ich jeszcze dotąd. Niedaleko szumiała Białka w głębokiej dolinie: jednym słowem, wieczór ten przeszedł mi jak najmilej, dopóki sen nie nadszedł.

⁵ W wydaniu petersburskim: zabezpieczeni. Zamiana z i s występuje w tekstach Goszczyńskiego powszechnie, np. rokosz, niebezpieczeństwo, brzośka, wążki, francuzkiej. Pismo tego typu została dostosowana do zasad współczesnej ortografii.

⁶ S. Sierotwiński w swoim wydaniu *Dziennika...* przypuszcza, że mógł to być Franciszek Klein. Utożsamia również leśniczego z informatorem, któremu Goszczyński dziękował w *Dzienniku...* Według *Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej* (Poronin 1995), Klein od 1827 roku był leśniczym w Bukowinie Tatrzańskiej, jednak jej autorzy — Z. Radwańska-Paryska i W.H. Paryski — wykluczają przypuszczenie, iż Klein był informatorem Goszczyńskiego. Goszczyński wykorzystał wiadomości, jakie przekazywał mu Ludwik Kamiński (vel Kamiński). Wskazują na to liczne prace opublikowane po wydaniu *Dziennika...* przez Sierotwińskiego. Szerzej pisał o tym J. Kolbuszewski (*Wstęp*. W: L. Kamiński: *O mieszkańcach gór tatrzańskich*. Oprac. J. Kolbuszewski. Kraków 1992, s. V—VIII). Zob. też przypis 10, s. 11.

⁷ *wchód* — wejście.

Wołoszyn — Rostok Potok⁸ — Siklawa Woda⁹ — wodospad —
Pięciostawy jeziora¹⁰ — Świstowa Góra¹¹ — Morskie Oko

13 sierpnia 1832 r.

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoną i utrzymywaną kosztem właściciela tych okolic, p. Homolacza¹², która się poczyna od Nowego Targu, a przechodzi przez wsie Białe Dunajec, Poronin, leśniczostwo bukowińskie aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana, jak tylko być może najlepiej tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła.

Śliczny poranek spełnił przepowiednię¹³ wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości; tylko groźniejsze od innych lodowce¹⁴ błyszczały wiecznym śniegiem.

Kto choć raz w życiu nie oddychał góskim a polskim powietrzem; kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka: zdaje się, że przyroda, rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzie indziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się, a wówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra, naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka grająca wiecznym szumem, głuchym jak

⁸ Obecnie nazwa brzmi: Potok Rostoka. Goszczyński używał formy „Rostok”.

⁹ Wodospad Siklawa. Siklawa Woda to jego dawna nazwa, używali jej górale, a za nimi pisarze odwiedzający Tatry.

¹⁰ Obecnie używa się nazwy: Pięć Stawów Polskich. „Pięciostawy” i „Pięcistawy” to często spotykane formy. Goszczyński stosował zapis „Pięcio-stawy”. Forma, którą posłużył się Goszczyński, pozostała w nazwach Pięciostawiańska Przełęczka oraz Pięciostawiańska Turnia.

¹¹ Świstowa Czuba.

¹² Emanuel Homolacs — kupił w 1824 roku sekcję zakopiańską i białczańską królewskich, sprzedawanych od 1811 roku przez Austrię.

¹³ *przepowiednia* — wróżba, zapowiedź, zalecenie.

¹⁴ Goszczyński ma tu na myśli pokryte śniegiem szczyty. Lodowce w Tatrach nie występują.

z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską Dolinę¹⁵, polany: Głodową¹⁶ i Klimkówkę¹⁷. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzelśmy się na polanie zwanej Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna¹⁸. Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne płaczącym się kosodrzewiem¹⁹, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmacchu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwo²⁰ nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przyproszoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Pojrzałem²¹ dokoła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany! I poświęciłbym lata, przebłąkałbym lata wśród ciebie, gdyby to od mojej woli zależało!

Od Łysej Polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż popod²² skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilką laty²³ było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn²⁴, który jest jednym z wód, zwanych cieplicami, że w czasie najtęższej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku. — Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno

¹⁵ Niebieska Dolina biegnie między Bukowiną Tatrzańską a Głodówką.

¹⁶ Głodowa — Polana Głodówka. Goszczyński podaje błędną nazwę Głodowa.

¹⁷ Goszczyński podaje błędną nazwę Klinkówka. Takie zniekształcenie nazwy występuje często.

¹⁸ Wołoszyn — grzbiet górski z licznymi szczytami, m.in. Mały Wołoszyn (2144 m), Wielki Wołoszyn (2155 m).

¹⁹ *kosodrzew* — współczesna nazwa to „kosodrzewina”. Goszczyński zawsze stosuje zapis „kozodrzew”.

²⁰ *zaledwo* — zaledwie.

²¹ *pojrzyć* — spojrzeć.

²² *popod* — pod.

²³ *kilką laty, kilką dniami* — dawne formy, obecnie nieużywane.

²⁴ Goszczyński ma tu na myśli zapewne Waksmundzki Potok. Poeta błędnie określił go jako termalny, zapewne pod wpływem jakichś informacji o termalnych źródłach istniejących na terenie Tatr. Naturalne cieplice występują w Jaszczurówce oraz Bukowinie Tatrzańskiej na Podhalu i w Jaszczurzyca na Orawie.

sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górską trawą dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką, na uboczu góry, leżała Polana Biała Woda²⁵; na południe szła droga ku Morskiemu Oku; od zachodu mieliśmy Dolinę Roztok²⁶ z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu Stawów²⁷ i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni²⁸, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem; ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy postrzegli, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kosodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków przy ogromie mas dokoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona²⁹ kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek³⁰; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam w niezmiernej wysokości dwie dzikie kozy³¹; gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki, dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę³²; w tym np. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli,

²⁵ Goszczyński podaje nazwę „Białowoda”.

²⁶ Właściwie: Dolinę Roztoki.

²⁷ Wypływa z Doliny Pięciu Stawów Polskich.

²⁸ sążeń — dawna miara długości, około 170 cm.

²⁹ nasterczony — najeżony.

³⁰ Truskawki nie występują naturalnie w Tatrach, są wynikiem zabiegów hodowlanych. Goszczyński mógł mieć na myśli różne odmiany poziomek, zapewne poziomkę pospolitą i twardą. Ta ostatnia niezwykle rzadko występuje w Tatrach, więc może poeta opisywał jedynie poziomkę pospolitą, której owoce różnią się wielkością w zależności od miejsca występowania. Na terenach dobrze naświetlonych i żyznych są duże, w cieniu i na granicę — mniejsze.

³¹ koza — kozica. Wbrew nazwie kozica należy do gatunku antylop, a nie kóz. Forma ta zachowała się w tatrzańskich nazwach, np. Kozie Czuby.

³² zwierzę — dawna forma. W tym akurat wypadku, w tekście wydania petersburskiego, błędnie zwierzę, co zostało poprawione zgodnie z resztą tekstu, gdzie niemal zawsze występuje forma zwierzę.

strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczu³³, jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień, niezatrzymany niczym dla nadzwyczajnej gór spadzistości, stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone, uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry, ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy: pojedynczo³⁴. Strzelec, zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczaja się w skałach i czeka żwierzyny. Wiadomy³⁵ miejsc i obyczajów zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści, pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamieniu, połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze, a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy; a mgły, zwłaszcza na Krywanii, są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje, tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

Odpocząwszy spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Róztoka i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głązy i drzewa postręcane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkaset-sążniowe ściany skaliste, obwieszane kosodrzewiem³⁶, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

³³ *ubocz, ubocze* — niezbyt strome zbocze góry.

³⁴ *pojedynczy* — dawna forma, obecnie uznawana za niepoprawną.

³⁵ *wiadomy* — znający.

³⁶ Tak w „Muzeum Domowym” oraz w edycji S. Sierotwińskiego, który skorygował błąd występujący w pozostałych wydaniach tekstu, gdzie fragment ten brzmiał: obwieszane drzewem a często kozami.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kosodrzewia, ujrzeliśmy na koniec Sikławą Wodę; jest to wodospad utworzony przez Roztok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tym szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tym trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Roztok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kosodrzewia, odpoczywając po każdym kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądzimy być u kresu, złudzenie! Do spodu Sikławej Wody niepodobna dościsnąć, bo brzegi Roztoka utworzone tam ze szczyrych prostopadłych opok; musimy pisać się wyżej. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach, to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościsnęliśmy śniegu, wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewała się Sikława Woda, i zgrzani, wpółomdleni, padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swoimi mgłami. Przekrojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkunastołokciowej³⁷ szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i, wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej: a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni³⁸. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa pobliskie miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęczę; nam, będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu otaczający Sikławą Wodę. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysiącnymi kształtami; i zapewno, że takie dzieło mgły, niedojrzanej prawie, musi być nadzwyczajne.

³⁷ łokieć — dawna miara długości, ok. 50—80 cm.

³⁸ Wodospad ma ok. 40 m wysokości, Goszczyński ją zawyżył.

Czas nagił; dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskim Oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym czuciom i pożegnać wodospad. Pięciostawy były teraz celem naszej podróży. Ta sama woda przewodniczyła mi i dalej, drogą równie trudzącą po głazach i siatce kosodrzewia. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej ubocza i to przykrego, po którym wśród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad, ale nieco wolniejszy i węższy jak Sikława Woda, postawiły mnie w okolicy, jakiej nic podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobrażenia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior — nad jednym z nich stałem; gdzieś nad wodą zarośle kosodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, zresztą³⁹ pan tej całej dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na moją pieczarę, tyle znalazłem w nim uroku przy najdzikszej samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocięł⁴⁰; dno jego we trzy piętra: najniższe zalane okrągłym jeziorem, z którego wypływa potok tworzący Sikławą Wodę⁴¹; brzegi jeziora uzienione gdzieś kosodrzewiem i trawą; po lewej ręce, patrząc w południe, dwa mniejsze jeziorka, jedno za drugim⁴², po prawej trzecie⁴³, także niewielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszym, a czwarte jeszcze wyższe⁴⁴, wszystkie zaś związane wąskimi strumykami ze środkowym najobszerniejszym⁴⁵; kamienny samotny szalas nad jeziorem najwyższym, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia; echo Sikławej Wody krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mnie do kąpieli w jeziorze, nad którym znalazłem się, chciałem też niby ochrzcić się jako

³⁹ *zresztą* — poza tym, oprócz tego.

⁴⁰ *kocięł* — kocioł.

⁴¹ Sikława wypływa z Wielkiego Stawu.

⁴² Mały Staw i Przedni Staw.

⁴³ Czarny Staw.

⁴⁴ Zadni Staw.

⁴⁵ Wielki Staw.

przypuszczony już do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla⁴⁶ nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu Stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu Oku. Była czwartą z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jej to podnóża na stronie przeciwnej leży Morskie Oko; ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich: samo wejście na owe skały nagie, prostopadłe, już niejednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg, postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt i to wyboczenie⁴⁷ nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku, Dolinę Pięciu Stawów, szło nam jako tako: nie było tam innych zawad jak ogromne kotliny, zawałone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak dziś Pięciostawy, ale w tej chwili zupełnie są bezwodne, dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Roztokiem, poznaliśmy, co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakkolwiek, przedstawivszy górę tak wysoką, że Dolina Roztok, długa przynajmniej półtory mili⁴⁸, zdawała się nie mieć jak kilkaset sążni, a przy tym gładką, prostopadłą niemal [ścianę — A.K.] i ścieżkę równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie rozkoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniej śmieli przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy i postępują prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem w tej przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznym oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy, chcąc wypocząć, nie mogłem inaczej, tylko oparłszy się o górę, której bokiem szedłem — takiej prostopadłości są te ściany, a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą pode mną tylko orły krążyły.

⁴⁶ dla — z powodu.

⁴⁷ wyboczenie — wyminięcie bokiem, okrążenie, zboczenie z drogi.

⁴⁸ Milla — miała od 1819 roku 8534 m, a wcześniej liczyła 7146 m. Jak w wielu miejscach, i tu Goszczyński przesadza w ocenie wysokości czy odległości; Dolina Roztoki ma tylko ok. 4,5 km długości.

Po takiej przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Świstowej Góry⁴⁹. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami głębi, dojrzeliliśmy Morskie Oko⁵⁰; wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżej leżą Pięciostawy.

Około 6-tej stanęliśmy nad Morskim Okiem.

To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi (nie tej, którą myśmy wzięli), jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a niejeden opisuje. Morskie Oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dlatego, że już widział Pięciostawy. Mimo to zasługuje na to, co o nim mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów⁵¹; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można, a czemu na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, tak mniejszym wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o nim. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie popędziliśmy; w pół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmierzona. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi⁵²; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kociej po-

⁴⁹ Właściwie: Świstowa Czuba.

⁵⁰ Sierotwiński słusznie zauważył, że Morskie Oko widoczne jest dopiero z Opalonego, a nie ze Świstowej Czuby.

⁵¹ Morga — dawna miara powierzchni, w Polsce wynosiła ok. 5600 m². Morskie Oko ma w rzeczywistości 34,5 hektara, a więc mniej, niż przypuszczał Goszczyński, szacujący jego powierzchnię na ok. 39 hektarów.

⁵² Było to wówczas dosyć powszechne mniemanie.

dobną⁵³. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba, nieznana im, porywała pijące owce, a szczególnie czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej niż szklanna; przypomina to, co wiemy o przezroczystości wody północnych stron oceanu: na dnie kilkunastosążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym jest jezioro zwane Czarny Staw. Leży ono we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższym mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem; a dłuższe wpatrzenie się daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Niewiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem: zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jego przypływu⁵⁴.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro, i w chwili, kiedy głuźnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tym większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna łuna błąkała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjezdnym i, pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie, czeka-

⁵³ Sierotwiński przypomina, że Tetmajer wysunął przypuszczenie, iż była to wydra, co J. Nyka potwierdził w pracy *Dolina Rybiego Potoku* (Warszawa 1956).

⁵⁴ Z Morskiego Oka wypływa nie Białka, a Rybi Potok. Białka powstaje z połączenia Białej Wody z Rybim Potokiem.

jące nas przy Morskim Oku, i wróciliśmy do leśniczostwa tą samą drogą, która nas aż do Roztoku przyprowadziła.

Taka podróż nie może zaspokoić, rozdrażni tylko, przez pół odsłoni wdzięki gór; pragnąłem ją powtórzyć, inaczej się stało; musiałem przestać⁵⁵ na 13 sierpnia.

Kościelisko — źródło Czarnego Dunajca — Smerczyn Staw⁵⁶ — góra Ornak⁵⁷

22 sierpnia 1832 r.

Jeszcze w maju puszczałem się był na zwiedzanie Doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tym przynajmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów; ale mój zamiar nie miał powodzenia — śnieg, deszcz i mgła witały mnie na przemian w Kościelisku: zaledwo wyniosłem z owego czasu pamiątkę⁵⁸ niższej części doliny i kilku szczytów błyskających na przemian między chmurami. A tymczasem to miejsce uchodzi za jedno z najuroczniejszych w Tatrach, na co i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem: postanowiłem przeto zrobić powtórna wyprawę.

Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez wsie: Szaflary, Białe Dunajce, Poronin, Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca; później rzuca się pod same góry, w bujne świerkowe lasy, i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej Doliny⁵⁹. Droga ta, trzechmilkowa z górą, ubarwiona jest miłą różnorodnością, szczególnie od Poro-

⁵⁵ *przestać* — m.in. zadowolić się.

⁵⁶ Poeta stale stosuje formę Smerczyn Staw, choć w XIX wieku funkcjonowała inna, obowiązująca też obecnie, Smreczyn. Goszczyński zawsze (poza przypadkiem, gdy cytuje pieśni) używa formy smerek a nie smrek, być może więc stąd wywodzi się „Smerczyn Staw”. Forma: Staw Smerczyn, została wprowadzona, być może za Goszczyńskim, do wydania *Tatr w dwudziestu czterech obrazach* B.Z. Stęczyńskiego (Kraków 1860). Widnieje tam również podpisana tak ilustracja, przedstawiająca jednak Czarny Staw Gąsienicowy.

⁵⁷ Goszczyński zawsze używa formy Ormak.

⁵⁸ *pamiątka* — dawniej: także pamięć o kimś lub o czymś, wspomnienie.

⁵⁹ W rzeczywistości Czarny Dunajec powstaje z połączenia Kirowej Wody z Siwą Wodą. Z Doliny Kościeliskiej wypływa Kościeliski Potok, noszący od Kir nazwę Kirowej Wody.

nina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu⁶⁰, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością jakby wśród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika, jednym słowem przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Nasz gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił ku południowi — pojrzałem⁶¹ przed siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór, świerkami okrytych, tylko w jednym miejscu przerwa aż do dna doliny na kilka sążni szeroka, po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały jak dwie kolumny w bramie⁶², a pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na Kościeliską Dolinę! Minawszy spomnioną bramę, ujrzelśmy się na rozkosznej płaskiej dolinie, owalnego kształtu⁶³; pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszymi nad inne dziełem przyrody: po prawej ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzieś tam pomiędzy gór lesistych wytykały⁶⁴ nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, który się zamykał dalekimi górami — ta mała dolina to przysiónek Kościeliska! Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa Dolina Kościeliska. Hamernia⁶⁵ i budowy należące do niej zapełniają początek doliny. Jest tu także oprócz wygodnej murowanej oberży kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed laty kilka, Homolacz⁶⁶, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21 sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, dlatego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jej ma wynosić⁶⁷ półtóry mili⁶⁸; dno tak wąskie, zwłaszcza w części najniższej, że

⁶⁰ *rozdoł* — wąwóz, jar.

⁶¹ *pojrzyć* — spojrzeć.

⁶² Poeta opisuje tu Bramę Kantaka.

⁶³ To polana Wyżnia Kira Miętusia.

⁶⁴ *wytykać* — tu: wystawać.

⁶⁵ *hamernia* — huta żelaza.

⁶⁶ Właścicielem był Jan Homolacs.

⁶⁷ W wydaniu petersburskim i Wasilewskiego błędnie: „ma wysokości”. Sierotwiński zauważył ten błąd i poprawił tekst według „Muzeum Domowego” i „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”.

⁶⁸ Tu poeta jest bliższy prawdy. Dolina Kościeliska ma 9 km długości. Zob. przypis 48 na s. 55.

między potokiem, który je przebiega, a górami bocznymi droga zaledwo się przeciska. Góry tworzące Kościeliską Dolinę są jedyne w swoim składzie, jedne z najpiękniejszych w rodzinie Tatrów. Pomiedzy nimi, po lewej ręce, idąc w głąb doliny, są: Gewont⁶⁹, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty: Miętuska⁷⁰, Uplaz⁷¹ itd., po prawej Tomanowo, Turnie, Smytnia⁷² itd., Ornak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistymi piersiami Dolinę Kościeliską od południa i odcina ją od Węgier⁷³. Zresztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoje nazwisko, ale tych i dowiedzieć się, i wyliczyć trudno. Boki gór po większej części bardzo przykre, w niższej strefie mają wiele rozmaitości, tu pięknym lasem porośłe, tu ze stromych skał nagich obwieszane drzewami to rosnącymi, to powalonymi przez coroczne ulewy i wichry w rozmaitych położeniach; dalej usłane kosodrzewiem, a najwyżej nagie.

Ciekawy jest początek nazwiska tej doliny. Podczas jakichś wojen w Polsce wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wyprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, po czym przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót, głazami i drzewami, spuszczanymi ze szczytów, do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przezwana została Kościelisko. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie leżącej pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanej dziś Bia-

⁶⁹ Goszczyński stale używał występującej w XIX wieku formy „Gewont”. W wydaniu petersburskim w tym miejscu występuje pomyłka w druku: Gewoszt.

⁷⁰ Goszczyński może tu mieć na myśli Przysłop Miętusi, ewentualnie któryś ze szczytów Czerwonych Wierchów.

⁷¹ Z dalszego tekstu wynika, że autor nie opatruje nazwą Uplaz konkretnego szczytu, lecz Hałę Uplaz.

⁷² Wydaje się, że Goszczyński nie ma tu na myśli Tomanowego Wierchu Polskiego, skoro na prawo ma się też znajdować Smytnia, bo gdyby patrzył na wschód, znalazłaby się ona z tyłu patrzącego. Należałoby raczej przyjąć, że nie Tomanowy ma na myśli a Kominiarski Wierch, wspomniane turnie to Raptawickie Turnie, a Smytnia oznacza Smytniańskie Turnie lub Rzędy Smytniańskie. Zob. też przypis 29 na s. 234.

⁷³ Niejednoznaczne określenie. Skoro Goszczyński mówi o zamykaniu półkołem od południa, można sądzić, że ma na myśli Hałę Pyszną i górujący nad nią szczyt Błyszcz, który w XIX wieku nazywano Pyszna. Określenie „od południa” oraz lokalizacja granicy wykluczają hipotezę, że autor w owo półkoło włącza grzbiet Ornaku. Goszczyński zapewne utożsamia tu nazwy Pyszna i Ornak.

ły Potok⁷⁴; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niej kości ludzkie do niezliczenia. Tą klęskę, według jednej powieści, mieli ponieść Szwedzi, według innej Tatarzy⁷⁵.

Nazajutrz przy pięknej i pewnej pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

Pierwsze stanowisko jest zaraz niedaleko hamerni, przy źródłach Czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na małej płaszczynie pod Upłazem, w kształcie okrągłego zwierciadła⁷⁶, spokojne takż jak powierzchnia zwierciadła, chociaż woda jego rozlewa się na dwie strony nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków dalej bije drugie źródło⁷⁷, obfitsze, ciekawsze, już to przez położenie swoje, już przez podanie przywiązane do niego. Później obszerniej o nim powiem.

W południowej ścianie Upłazu znajduje się pieczara zbójców⁷⁸. Aby dostać się do niej, trzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek w dół; cała ta droga idzie gęstym lasem i tylko drzewa, poznaczone siekierą, są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką⁷⁹, w kształcie długiego korytarza, w ścianach ma otwory zastępujące okna, wewnątrz kamienne ławy⁸⁰, a w samym końcu źródło. Przed laty kilką znaleziono przy tym źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie: według powieści góralskich miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Janoszyka⁸¹. Przystęp do pieczary bardzo przykry

⁷⁴ Dolina Białego.

⁷⁵ Nazwa doliny pochodzi prawdopodobnie od wybudowanego tam kościółka. Kości Tatarów nie mogły się znajdować w dolinie, ponieważ Tatarzy do tego miejsca nigdy nie dotarli. Z kolei informacja o niezliczonych kościach jest z pewnością przesadzona, mogły one być znajdowane sporadycznie, gdyż górale rzadko grzebali zmarłych na terenie Tatr.

⁷⁶ *zwierciadło* — dawna forma. Autor opisuje tu Lodowe Źródło.

⁷⁷ W rzeczywistości to nie źródło, lecz wypływający z podziemnego koryta pod Skałą Pisaną Kościeliski Potok. Goszczyński zaniżył tu odległość, Lodowe Źródło dzieli od Skały Pisanej powyżej 1700 m.

⁷⁸ Pieczara zbójców znajdowała się w Oknach Zbójnickich Niżnych.

⁷⁹ Jaskinia, oczywiście, była dziełem natury, a nie człowieka.

⁸⁰ W wydaniu petersburskim: tamy, w „Muzeum Domowym”: ławki. Sierotwiński wprowadził poprawkę: ławy, co wydaje się słuszne.

⁸¹ *Janoszyk* — Juraj Jánošík, słowacki zbójnik, bohater wielu podań i pieśni. W wydaniu petersburskim w tym miejscu błędnie: Junoszyk. Taka forma nazwiska Janosika w tekstach źródłowych nie występuje.

i zasłonięty gęstwiną drzew, ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszna⁸², napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał zamek, opatrzonny wszystkimi prawie częściami murowanej warowni⁸³.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożyciej; parowy łagodniej są wyłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tym już położeniu, na wysokim przedstopniu Pysznej, leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp najeżony pniami zrąbanego lasu; sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie, czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu, kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więcej, woda zalała. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Cokolwiek napotkaliśmy dotąd, było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my śpieszyliśmy do uciechy wyższej, do obejrzenia tego wszystkiego jednym rzutem oka, do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednym uczuciu ogólnym, pełnym, śpieszyliśmy na szczyt Ornak. Obejrzawszy przeto mimochodem niejedną przedmiot zajmujący, obok tego natrudziwszy się niemało i po niejednym spoczynku pod górą, dosięgliśmy nareszcie zamierzonego celu, upragnionego punktu.

Weszliśmy na Ornak⁸⁴ w tym właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swoimi dwa jego szczyty: zachodni i wschodni⁸⁵, a na które, mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj,

⁸² Goszczyński mówi tu o Kościeliskim Potoku.

⁸³ Wydaje się, że Goszczyński miał na myśli Raptawicką Turnię. Może także chodzić o turnie Saturn i Ratusz, jednak to mniej prawdopodobne.

⁸⁴ Poeta mylnie podaje nazwę. W istocie była to Pyszniańska Przełęcz.

⁸⁵ Goszczyński dotarł do Pyszniańskiej Przełęczy, na wschód znajdowała się Kamienista, na zachód wznosił się Błyszcz. Skoro szedł wzdłuż Doliny Kościeliskiej, minął Smerczyński Staw, naturalne było skierowanie się ku wspomnianej przełęczy. Por. także przypis 72 na s. 60.

lubo⁸⁶ z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka: zaniechaliśmy tego tym chętniej, że spomniony grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywałyby nam ze swojej wysokości wszystko prawie, co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przede wszystkim musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem, korzystaliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzeliśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tym właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicją a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimata. Od północy Dolina Kościeliska, urocza różnaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości; od południa także dolina do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnaitości, którymi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na węgierskiej — ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitnięją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty, na drugiej zaledwie gdzieś żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieją. Cały widok na Galicję rozmaitszy i ma więcej życia, na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty; tyle lasów, tyle płaszczyny bezludnej, przedgórze tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu, ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszliśmy na powrót z góry.

Pod samym Ornakiem leży piękna polana z porządną bacówką. Owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar⁸⁷. Ujrzeliśmy kilku pasterzy, krzątających się około bacówki, weszliśmy do niej, aby napić się żętycy⁸⁸ i kupić serów. Żętyca tu daleko lepsza i zdrowsza niż w przedgórzach,

⁸⁶ *lubo* — choć, chociaż.

⁸⁷ *koszar, koszara* — ogrodzone miejsce, gdzie zamyka się owce, bydło, także szałas dla owiec lub bydła.

⁸⁸ *żętyca* — słodka lub kwaśna serwatka z owczego mleka. W wydaniu petersburskim: rzętyca.

leżących z tamtej strony Nowotarskiej Doliny⁸⁹, a przyczyna tego w balsamiczniejszej paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! co za życie i zręczność w każdym ruchu! jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny⁹⁰ w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle⁹¹, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez który trzody w górach się pasą, spodnie sukienne białe, ociste⁹², z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierską; ciżmy krótkie, przysnurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek⁹³; szeroki pas skórzany, za pasem, z lewego boku, nóż duży w pochwie skórzanej, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnymi u wierzchniej części frenzlami⁹⁴; koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznymi łańcuszkami, dosyć długimi; rękawy koszuli sfałdowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciurek; na głowie kapelusik z wąskimi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa⁹⁵; w ręku siekierka na długiej lasce, zwana wataśzką⁹⁶ lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Ząb Suchy⁹⁷, niedaleko Kościeliska.

⁸⁹ Współczesna nazwa to Kotlina Nowotarska.

⁹⁰ *przytomny* — obecny.

⁹¹ Dzięki temu górali nie nękało robactwo.

⁹² *ocisty* — obcisły.

⁹³ *łytką* — łydka.

⁹⁴ *frenzel* — frędzel. Torba taka, zrobiona z sukna z wełny owczej, służyła do znoszenia w doliny serów, mięsa, owoców leśnych itd., była ozdobiona frombijami, czyli frędzlami.

⁹⁵ Ozdoby kapeluszy pełniły funkcję informacyjną. Polowace, czyli myśliwi (niekiedy kłusujący), nosili pióra ptaków, najlepiej dzikich. Kawalerzy — pióra orła lub cietrzewia. Gałązki, owies, kwiaty wybierali gazdowie. Cisowe gałązki miały oznaczać odwagę. Juhasi wracający z wypasu ozdabiali kapelusz podstołem (miesięcznicą trwałą).

⁹⁶ *wataśzka* — ciupaga. Goszczyński podaje zawsze niepoprawną nazwę — wataśzka lub watazka.

⁹⁷ Prawdopodobnie chodzi o Zubsuche, skupiające cztery miejscowości: Ząb, Suche, Bustryk i Sierockie. Goszczyński zapewne źle zrozumiał usłyszane nazwy i ze słów „Ząb”, „Suche” powstał Ząb Suchy.

Miedzy innymi rzeczami gadali nam juhasy o zbójcach. Zwykle gnieźdzą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilką dniami juhasy, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich oprócz siekierki, noża i pistoletów ma jeszcze ze trzy rusznice⁹⁸. Juhasom nie robią wiele złego: wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają z sobą i w końcu, przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. A górale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą⁹⁹.

Około piątej z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem¹⁰⁰. W tej chwili nim głównie się zająłem. Wybuchła ona wielkimi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających Dolinę Kościeliską. Miękkie kamień pokryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści; imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodu. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara, z której biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami¹⁰¹ z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby diamentowa; że pośrodku sali leży małe jezioro, właściwe źródło Dunajca: odrzuciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzy-

⁹⁸ Rusznica — broń palna o długiej lufie wytwarzana w XV–XVII wieku. Mogła być używana jeszcze w późniejszym okresie. Niektórzy stosowali określenie „rusznica” dla innej broni palnej, a górale czasami nazywali tak broń zrobioną samodzielnie lub broń starą, którą sami przerobili.

⁹⁹ Juhasi mogli nie czuć się dotknięci stratą, gdyż owe barany należały do baców.

¹⁰⁰ Goszczyński mówi tu ponownie o Skale Pisanej, leżącej u podnóża Wąwozu Kraków, pod którą wpływa Pyszniański Potok, uważany za początkowy odcinek Kościeliskiego Potoku, wypływającego po drugiej stronie skały. Ten wypływający spod skały potok autor uznał za źródło Czarnego Dunajca.

¹⁰¹ Sztukateria — dekoracja architektoniczna wnętrza, wykonana w gipsie lub stiuku. Goszczyński sztukateriami nazywa naturalne nacieki w jaskini.

łem w salę i zdobiące ją sztukatury¹⁰². Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tym miejscu srebro; w tym podaniu nie mogłem dostrzec poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tym podziemiem trzy dni i trzy nocy iść potrzeba, aby dojść do źródła, że nawet w końcu tej wędrówki można się było obaczyć na szczycie jakiejś góry, na to bym się nie odważył. Inni na koniec zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało Ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tym się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemnym siedlisku Ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzyłem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy, jako to: świeczki woskowe, zapałki chemiczne¹⁰³, pulares¹⁰⁴ itp., wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parła mię wciąż na powrót ku żyjącemu światu; przy tym dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się: w takiej walce z pędem wody nieraz już pochyliłem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak jak mogłem, chodziło mi najwięcej o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieświadomym¹⁰⁵ i zalanym wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszej rozlegał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazierającego w otwór; naraz poślizgnąłem się, upadłem i świeca mi zgasła. Chciałem korzystać z zapałek, na nic się nie przydały: powietrze w podziemiu, nasiąkłe wilgocią, a przy tym wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody,

¹⁰² W „Muzeum Domowym” i „Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności” — stalaktyty.

¹⁰³ Zapałki chemiczne, czyli zapalające się przez potarcie.

¹⁰⁴ *pulares* — portfel, do którego chowano pieniądze, mniejsze dokumenty lub notes. Tutaj zapewne notes, ponieważ we fragmentach drukowanych w prasie Goszczyński zamiast pularesu wymienia ołówki, którym chciał — zgodnie z romantyczną modą — upamiętnić swój pobyt w jaskini.

¹⁰⁵ *nieświadomy* — nieznany.

zgasiły mi każdy siarniczek¹⁰⁶, że w końcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się wąż po wtóre, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosięgnąłem kresu poprzedniej wyprawy; świecę zasłaniałem, jak mogłem, wszakże jej światło coraz bardziej mdało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mnie dookoła; bałwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniejsz; stanąłem na chwilę: huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali, mieszanina tysięcy najsprzeczniejszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nic podobnego w życiu moim nie słyszałem¹⁰⁷, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdało mi się w tej chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczną przesuwac się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznajomy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych; szedłem jednak — wkrótce pęd wody wolniej — trafiam nogą na tram¹⁰⁸ kilkołokciowy, przyglądam się mu, obrobiony widocznie ręką ludzką, co on tu robił, tego nie potrafię wytłumaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiłem na wyżłobienie i znalazłem w nim kawałki szkła potłuczonego — musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskim, że ledwie wyprostować się mogłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu¹⁰⁹, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytsza; zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszyły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniej groziła zgaśnięciem. Nie zważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kuryta-

¹⁰⁶ *siarniczek* — zapalka.

¹⁰⁷ „[...] jakiej nic podobnego w życiu moim nie słyszałem” — prawdopodobnie wyrazy „nic podobnego” są niepotrzebne i tekst miał brzmieć: „jakiej w życiu nie słyszałem” lub brakuje słowa „do”, wówczas tekst brzmiałby: „do jakiej nic podobnego w życiu moim nie słyszałem”.

¹⁰⁸ *tram* — belka.

¹⁰⁹ *ustęp* — m.in. miejsce położone na uboczu.

rza¹¹⁰, skąd bije nurt najmocniejszy, wtem dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie, ta, którą przyszedłem; łatwo więc, chociaż omackiem, trafiłem na nią, trzymając się przy tym fali najgwałtowniejszej, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy¹¹¹.

Tą razą¹¹² puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szklę osłonią, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię, w której wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą, niektóre nie miały długości, jak kilka łokci, inne obiegały tylko jaki¹¹³ głąz i łączyły się z głównym przecho-
dem; po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, której doznam, stanąwszy w owej sali, która w podobnym miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego; ale sklepienie, wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżało i zwężało: chyliłem się, dopóki tylko mogłem, przysiadałem, mimo to poznałem wkrótce, że dalej nikt by posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niej na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy ode mnie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego, com dokonał, i z chwili przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak miłe wspomnienia, że jeszcze chętnie bym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, że bym wrócił nie bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwykajnych tylko położeniach budzi się wewnętrzne¹¹⁴ życie człowieka.

¹¹⁰ *kurytarz* — korytarz.

¹¹¹ Kolejną wyprawę do jaskini Goszczyński przedsięwziął następnego dnia.

¹¹² *tą razą* — tym razem.

¹¹³ Już Sierotwiński zauważył, iż do wydania petersburskiego wkradł się błąd: „jako”, i poprawił tekst według „Muzeum Domowego” i „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”.

¹¹⁴ *wewnętrzny* — wewnętrzny.

Widok z Czorsztyna

26 sierpnia 1832 r.

Słońce spuszcza się z południa; niebo wpół wypogodzone. Przejrzysta śrężoga¹¹⁵ obwiewa dolinę lekką zasłoną. Wierzchołek Babiej Góry dymi jak przygasły wulkan, słupem obłoków, rozplywających się nad jej czołem jak pióra bujnej kity. Powódź chmur, waląc się od zachodu, pnie się jak do szturmu po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom; jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne, zalane na chwilę, wybijają się na wierzch; podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posiłki, szczyty, zwycięskie przed chwilą, toną w nawale następnej. Wkrótce chmurna chorągiew nawałnicy powionęła rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego; wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda zaległa jak obozem cały plac boju i na najniższych lasach rozbiła swoje namioty. Podtenczas¹¹⁶ cała dolina przypatruje się obliczem pokoju całej tej walce; blask żadnego strzału nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot strzału nie dochodzi jej słuchu, chyba cień przelotnej chmurki przemknął się kiedy niekiedy po jej oświetlonej płaszczyźnie; i owszem, przy tym ciemnym tle dalekiej burzy żywiej jaśnieje zieleń polan i złoto pól, dojrzałym już zbożem okrytych. Zresztą wszystko spokojne, bezpieczne; prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się nimi zagrody wiejskie, ożywione nimi pola. Ale nad wszelki urok tego obrazu najuroczniejszy jest widok wód doliny. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku, co odznaczał Białkę w namiętym jej pędzie* ku Dunajcowi przez ciągłą pochyłość więcej niż milową i spod zasłon śrężogi srebrem jej strzelał.

O! jak ja wam zazdroszczę w tej chwili góry, lasy, co z wyżyn waszych patrzycie zawsze na tę krainę; wam żadne jej zjawisko nie jest stracone. O! jak pragnę niemal zamienić się w cokolwiek, równie jak wy trwałe, byle mi pozostawiono to czucie, które mię dzisiaj ożywia, to szczęście, którego w tej chwili doznaję.

* Spadek Białki w jej biegu ma być półdziewiąta cała na przestrzeni każdego sążnia.

¹¹⁵ *śrężoga* — mgła.

¹¹⁶ *podtenczas* — wówczas, w tym czasie.

Zazdrościłem drzewom, skałom, a dla gruzów Czorsztyna powziąłem tym większe uszanowanie; z uwielbieniem myślałem o jego pierwszych założycielach. W natchnieniu wyższym musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadł to miejsce i pierwszy na tych skałach zakresił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała! Czemuż tego o społecznych powiedzieć nie mogę? A nie mogę, kiedy, pojrzawszy dookoła siebie, widzę, jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca, rozsadzane po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.

Szlachta sandecka¹¹⁷

28 sierpnia 1832

Niedźwiedzie drewniane czorsztyńskiego zamczyska zatrzymały moją myśl na szlachcie sandeckiej. Nie mogę jej pominąć w milczeniu. Stanowi ona ważną część ludności miejscowej, nie tyle przez swoją ilość, co przez jakość; nic o niej nie powiedzieć, byłoby to zostawić w obrazie miejsce niezamalowane. Zasługuje ona na wzmiankę tym bardziej, że ma w rzeczy samej niektóre cechy sobie tylko właściwe, a odróżniające ją od szlachty innych obwodów galicyjskich, stanowi wybitny odcień w całości zwanej szlachtą. Rys ten nie będzie może najpowabniejszy, ale jest konieczny.

Nie cenię lekko, nie sędzę lekko naszych braci, nie uważam ich za gorszych między innymi, nie podzielam tonu, w jakim ucywilizowanaś naby szlachta galicyjska przemawia o szlachcie sandeckiej. Szlachta sandecka ma swoją słabą stronę, bo jest szlachtą¹¹⁸, ale też ma i dobrą stronę, któ-

¹¹⁷ *sandecki* — sądecki, forma popularna w XIX wieku.

¹¹⁸ W wydaniu Wasilewskiego, a także Sierotwińskiego brak w tym miejscu kilku akapitów. Przyczyna jest prozaiczna — w niektórych egzemplarzach pierwodruku brak stron 233 i 234, czego obaj wydawcy nie zauważyli. Przechodzą od słów „bo jest szlachtą” bezpośrednio do frazy kończącej przedostatni akapit rozdziału: „tak pijącą, że i sandecka na więcej by się nie zdobyła”. Wskutek pominięcia tych kilku akapitów Sierotwiński w przypisie dopatrywał się pomyłki w druku, bowiem tekst w jego wydaniu brzmiał: „Szlachta sandecka ma swoją słabą stronę, bo jest szlachtą tak pijącą, że i sandecka na więcej by się nie zdobyła”. Wydawca przypuszczał, że mogło tu chodzić o ironiczne porównanie ze szlachtą galicyjską, tymczasem po przywróceniu właściwego toku wypowiedzi okazuje

ra jej daje miejsce niepoślednie w ciele szlachty. W ogóle swoim są to ludzie prości, szczerzy, uprzejmiejsi, uczynniejsi jak ogół reszty szlachty galicyjskiej. Ja sam doznałem wśród nich, co tylko staropolska gościnność może okazać dobrego. Pod tym względem ma wielką zaletę, dochowała podobieństwa z ludem prostym, nie zerwała z duchem słowiańskim przodków. Stosuję to do szlachty uboższej, do właścicieli mniejszych, nieutytułowanych: arystokrację sandecką znam tylko ze słuchu, ze słuchu, który mnie nie pędził do bliższego jej poznania, choćbym nawet miał siłę przedrzeć się aż do jej sfery, nie próbowałem tego: zapewniają mnie tylko, że ta odrośl szlachty jest mniej bujna w Sandeckiem jako na reszcie łań Galicji i Lodomerii¹¹⁹, jest to jedna z korzyści niepłodności ziemi sandeckiej, czego można jej powinszować. Będę więc mówił o szlachcie bliższej chłopów dobrą i złą stroną, ponieważ to przypada¹²⁰ do ram mojego obrazu.

Szlachta sandecka ma dosyć ognia męskiego, jest przy tym wprawdzie wiele rubaszości, wiele szorstkości, ale to świadczy o pewnym jej zbliżeniu się do prostoty ludu. Nie ucieka nawet od życia publicznego wyższego; dała tego dowody w ostatnich czasach i niewielu znalazło się takich, których kobiety musiały pobudzać posyłaniem kądzieli, a i tacy jeszcze, jak mnie zapewniało, należeli do majątniejszych i salonowszych¹²¹.

Szlachta sandecka powszechnie prawie umie po niemiecku — z konieczności — dlatego nie robi, co może robić, to jest bardzo mało piśe, a jeszcze może mniej czyta. I tego nie mam jej za złe, raz że przez to mniej się odróżnia od prostych górali, a potem, że jeżeli nie uczy się tego, co by warto było umieć, to znowu nie wie o wielu rzeczach, które lepiej nie wiedzieć. Stąd idzie, że niełatwo tu napotkasz rozdrażnienie nerwów

się, iż Goszczyński zupełnie co innego miał na myśli. Nie porównywał szlachty sądeckiej do galicyjskiej, lecz konfrontował ją z ogółem tej warstwy społecznej, a właściwie ze swoim wyobrażeniem o szlachcie. Należy podkreślić, że ominięcie to zmieniło dosyć istotnie obraz szlachty sądeckiej we wspomnianych wydaniach *Dziennika*..., pozbawiło go przede wszystkim uznania dla jej patriotyzmu, a — w kontekście pełnego wywodu autora — i sąd o pijaństwie tejże szlachty jest znacznie złagodzony. Egzemplarze zawierające przytoczone tu akapity znajdują się w Bibliotece Śląskiej.

¹¹⁹ Królestwo Galicji i Lodomerii to oficjalna nazwa terenów Polski przyłączonych do Austrii wskutek rozbiorów.

¹²⁰ *przypada* — pasuje, jest odpowiednie.

¹²¹ Goszczyński nawiązuje tu do udziału licznych mieszkańców Galicji w powstaniu listopadowym.

wskutek lektury francuskiej; stąd można widzieć niekiedy podczas wesołych zebrań, w razie kiedy się głowy rozegrzeją i spór dojdzie do walki ręcznej, kobiety na placu walki nie ustępujące w męstwie mężczyznom, bez względu na niebezpieczeństwo czepków. Jest to zapewne niedogodność wynikająca z obyczajów niezłagodzonych romansami, jest to może nawet nieładne, ale ja przynajmniej wolę to, znajduję mniej nieładnym, mniej szkodliwym w swoich skutkach, pomimo sińców i zadraśnień, jak owo ugłaskanie naszych pań przepuszczonych przez ujeżdżalnię romanów i czułych poezji.

Wypadki, o których spomniałem, są rzadkie, a może by nigdy miejsca nie miały, gdyby nie sąsiedztwo z Węgry. Wielką pokusą dla szlachty sandeckiej jest bliskość Węgier, a następnie obfitość wina i to małym kosztem. Co najgorsza, że to daje niektórym powód utrzymywać, jakoby szlachta sandecka więcej piła niż inna szlachta. Mniemanie to mam za przesadzone; widziałem ja szlachtę niesandecką tak pijącą, że i sandecka na więcej by się nie zdobyła.

Wszystko to uszłoby za mniejsze grzechy w oczach ludzi wyrozumiałych, dałoby się złagodzić to tym, to owym, gdyby szlachta sandecka pilnowała się drogi ojców dobrej w rzeczach główniejszych dla człowieka, gdyby okazywała się więcej braterską w pożyciu z bliższymi siebie, w swojej sferze wiejskiej; gdyby mocniej usiłowała trzymać w tym kółku ton jedności, zgody, obyczajów prostych, ale czystych, właściwszych człowiekowi jak zwierzęciu, miłości, rozlewającej się raczej na zewnątrz jak ściągającej wszystko ku sobie i w sobie wszystko pochłaniającej; gdyby mniej zapominała, że jest ważną gałęzią społeczności chrześcijańskiej, nie pogańskiej, że ma ważne obowiązki i powinności do pełnienia, że jeżeli są biedy, na które musi czasem skarżyć, to wszystkie płyną z jednego głównego źródła dla każdego człowieka, z niego samego, ile razy nie robi, co Pan Bóg przykazuje; gdyby jasno zobaczyła to prawo konieczne, że złe rośnie w gorsze, a gorsze w jeszcze gorsze; gdyby..., ale tyle jest owych „gdyby” do polecenia, że muszę się zatrzymać i zostawić resztę rozprawie tego, komu na tym zależy. Najlepiej będzie, kiedy każdy sam przed sobą mnie zastąpi. Zdaję chętnie tę pracę na moich braci, nawet nie-Sandeczan. Może już i tak zanadto rozgadałem się i wpadam w podejrzenie, że chcę uczyć mędrszych ode mnie. Uchowaj mię, Boże, od tego. Co powiedziałem, to głównie między innymi dlatego, że czuję, o ile ta ziemia,

te góry byłyby piękniejsze, gdyby ludzie zrobili się piękniejszymi i swoją pracą dopełnili dzieła Bożego w tej stronie.

Świat zwierzęcy w górach

30 sierpnia 1832

Surowość zimy i klimatu sprawia, że ludność zwierzęca¹²² w górach nie jest ani tak liczna, ani tak rozmaita, jak w innych okolicach naszego kraju. Ptaki i zwierzęta silniejszej tylko organizacji¹²³ mogą być stałymi mieszkańcami tej strony. Słowik tu rzadki¹²⁴, za to pełno olbrzymich orłów¹²⁵, sępów¹²⁶, puchaczy. Mniejsze rody są wędrowne; do takich należą kwiczoły¹²⁷, które podczas lata chmurami przelatują się po górach. Wiadomo, że ulubionym ich pokarmem jest jałowiec¹²⁸, a ten krzew znajduje się tu w znacznej ilości. Nie są jednak puste i głuche pod tym względem góry; można w ich lasach słyszeć wszystkie głosy ptaków, znajome nam gdzie indziej. W porze zwłaszcza letniej i ptastwo¹²⁹ zdaje się wysyłać tutaj ciekawych swoich wędrowców.

Ze zwierząt celuje tu nad wszystkie koza skalna¹³⁰ — jest to najwłaściwszy mieszkaniak gór i wielka ich ozdoba. Bez nich nie byłoby strzelectwa

¹²² To jedyny przykład wystąpienia tej formy w wydaniu petersburskim.

¹²³ *organizacja* — tu: budowa organizmu.

¹²⁴ W Tatrach pojawiają się słowiki rdzawe.

¹²⁵ W Tatrach można spotkać orła przedniego i — rzadko — orlika krzykliwego. A. Kocyan w drugiej połowie XIX wieku obserwował orła krzykliwego w strefie regli, lecz zalatuje on także po najwyższe szczyty, a orła zysa, czyli halnego, raczej u podnóża gór, choć i w Tatrach bywał. Zob. A. Kocyan: *Ptaki spostrzegane po stronie północnej Tatr*. Kraków 1884.

¹²⁶ Nad Tatrami przelatywały sępy płowe, które w XIX wieku miały lęgi w Pieninach. Z połowy tegoż wieku pochodzi jednak również informacja o znalezieniu nad Morskim Okiem pisklęcia sępa płowego. Kocyan odnotował jeszcze sępa kasztanowatego i zaznaczył, że w Tatrach sępy nie mają gniazd.

¹²⁷ Kwiczoły podczas późnego lata i jesieni licznie przelatują nad Tatrami. Pojawiają się także w czasie ocieplenia zimą, gdy nie ma śniegu.

¹²⁸ Jałowiec pospolity obficie występuje w Tatrach, zwłaszcza w reglu dolnym. Ponad granicą lasu występuje jego podgatunek — jałowiec pospolity halny.

¹²⁹ *ptastwo* — ptactwo.

¹³⁰ Kozami górąle nazywają też kozice. Specjaliści wyróżniają podgatunek kozicy tatrzańskiej, odrębny od kozic: alpejskiej, karpackiej i innych.

góralskiego; góry straciłyby wielką część swojego życia. Sarny także są dosyć powszechne. Do ogromniejszych i dzikszych należy niedźwiedź, który tu nie jest rzadki. Wiele także wilków i lisów.

Wody górskie swoją bystrością zwyczajną, swoimi wezbraniami, nie sprzyjają takiej obfitości ryb, jaką znajdujemy w wodach równin: mają za to rodzaje właściwe sobie, między tymi celują pstrągi i łososie¹³¹. Od dawna sławne były i są dotąd łososie dunajeckie; do tej sławy Dunajec dotąd ma prawo. Nie wiem, czy łososie znajdują się w innych wodach karpaczych, to pewna, że ich połów najznaczniejszy jest w Dunajcu, a co większa, że co do smaku przyznawano im pierwszeństwo.

Mieszkańcy utrzymują, że łosoś przybywa z morza Wisłą. Dlaczego Dunajec tak mu ulubiony nad inne rzeki, łączące się z Wisłą? o to mniejsza: ciekawszy jest instynkt tej ryby, który ją prowadzi zawsze przeciw pędowi wody, jest w niej jakaś miłość walki, stąd też obdarzona jest niepospolitą sprężystością, jest ona prawdziwie zadziwiająca. Napotyka się czasem łososia w potoku głębokich już gór, gdzie nie może dojść inaczej tylko kaskadami, a więc skokami z dołu w górę, nieraz kilkołokciowymi. Zdaje się, że je przebywa w czasie wezbrań, kiedy woda obfitsza, walczy więc z wysokością i pędem spadającej wody. Miejsca, gdzie znajdują łososie, mają za ledwie niekiedy kilka kroków przestrzeni pokrytej wodą, którą zatrzymuje naturalna przeszkoda ze skały, a są tak płytkie, że rybak ręką bierze łososia. Taki połów jest prawdziwą walką człowieka z rybą, potrzeba niemałej siły, aby ją pokonać. Połów ten bywa czasem niebezpieczny: zdarzało się, że łosoś złapany i włożony za pazuchę obwijał się wkoło piersi i ścisnął tak silnie człowieka, że, gdyby nie prędki ratunek obecnych, byłby go udusił. Podhalanie uważają pstrągi za młode łososie.

Nie mogłem skierować mojej większej uwagi do tej strefy stworzenia w górach, żałuję tego bardzo; jest to godne głębszego zbadania i pewno znajdzie się, kto mię w tym dopełni. Ja przestaję na tym słowie ogólnym. Nie mogę wszakże pominąć w milczeniu plagi tutejszych lasów. Są to czerwone robaczki ledwo dojrzałe, z rodzaju robaków toczących drzewa¹³². Ale ich działanie jest na wielką skalę. Od razu zajmują linię mi-

¹³¹ W Tatry na tarło przyplływała dawniej troć wędrowna. W tatrzańskich wodach żyje pstrąg potokowy, który jest formą osiadłą. Zarówno troć wędrowna, jak i pstrąg potokowy to ryby łososiowate.

¹³² Goszczyński ma na myśli korniki, zwłaszcza kornika drukarza.

lowej długości i tak się posuwają, a ślad ich przejścia widzisz tylko po czarnych, uschłych lasach. Jest to rodzaj choroby, rodzaj zarazy lasów, a w której może leży rozwiązanie zagadki morów tępiących ludzki rodzaj.

Z Turnisk — głębia Tatrów¹³³

1 września 1832

W tych dniach wypada mi znowu droga w Tarnowskie; może tu nieprędko wrócę, a może i nie wrócę. Nie tracę więc ani jednego dnia, ani jednej chwili. Oglądam, czegom jeszcze nie widział, odwiedzam, com już poznał; zwracam na wszystkie strony oko, ucho i uwagę; dusza moja nie zamyka się, wciąż daje się lub przyjmuje; gromadzę do jej skarbcza wszystko, co mi się nastrecza, a co się da wypisać, zapisuję. Pragnę zatrzymać, utrwalić tę chwilę, tak ważną dla mnie; pragnąłbym podzielić się ze wszystkimi wszystkim, co jej winien jestem; pragnąłbym zdobyć się na jakąś pamiątkę po niej, po tych miejscach, po życiu, którym tu przepędził; na owoce z tyłu uczuć, wzruszeń, natchnień, przez które tu przeszedłem, które tu odebrałem. Zacząłem już to dzieło, pracowałem nad nim cokolwiek; mam ideę główną, mam główną ośnowę, zbieram szczegóły¹³⁴; a im dalej zapuszczam się w pracę, tym więcej odkrywam bogactw, tym bardziej blask mi ich olśniewa; do niektórych dostałem się, inne dopiero przeczuwam: leżą przed okiem ducha, jak te skarby w powieściach góralskich, trzeba warunków tajemniczych, trzeba jakiejś władzy tajemniczej, ażeby je posiąść. Nade wszystko czuję, że mi potrzeba tego życia widomego i niewidomego¹³⁵, które tu panuje; tym życiem chcę się cały przejąć, przesiąknąć. W tym kierunku zwracam wszystkie moje zatrudnienia, przez te dni kilka pozostających mi do mojego wyjazdu. Mój trud nie jest bezpłodny, mam to przekonanie. Wiele rzeczy wyjaśniłem sobie jako pisarz, natrafiłem na wiele prawd sztuki. Zostaną one dla mnie prawidłami, karbami mojej drogi pisarskiej. Pole-

¹³³ Turniska — skałki na stoku Kiczory w Gorcach. W Tarnowskie poeta wybierał się z powodu działalności konspiracyjnej.

¹³⁴ Prawdopodobnie mówi tu Goszczyński o poemacie *Kościelisko*.

¹³⁵ *widomy* — widzialny, *niewidomy* — niewidzialny.

gam na nich tym śmieiej, że nie biorę je z książek, natężeniem zimnego rozumu; podało mi je życie otaczające mię tutaj, przyjąłem ożywiony, rozgrzany czuciem, miłością, i odtąd coraz mi ich więcej przybywa. Ująłem już w słowa, co mogłem ująć. Ale to na później; jest to mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy. Zwracam się do tego, co może być dla wszystkich.

Jeden żal nienagrodzony przyjdzie mi stąd wynieść, to ten, że tak mało poznałem głębi Tatrów. Dziś niepodobna już myśleć o jej zwiedzaniu. Podróż ta wymaga tyle pomocy, że jest nad moje środki; pora spóźniona otacza ją także trudnościami coraz większymi. Lada dzień mogą spaść śniegi i zasypać wszystkie przejścia w głębi gór, może już nawet spadły. Nie pozostaje mi, jak myślał pobłąkać się po nich. Leżę więc na mojej skale i położywszy oko na zewnętrznym murze Tatrów, jak kotwicę na dnie morza, przebiegam myślą, jak lekkim czółenkiem, dziwy ich wnętrza.

W istocie, opowiadają mi dziwy o tych miejscach. Wszystko, co widziałem, nie daje wyobrażenia o tym, co najgłębsze Tatry zamykają w sobie. Tak mię zapewniają — i wierzę temu łatwo, sądząc z tego, co słyszę. Ten północny bok Tatrów, widziany z Galicji, i południowy, od Węgier, jest tylko ogrodą¹³⁶ Tatrów najwłaściwszych. Można je stąd odgadywać tylko po niektórych lodowatych szczytach, wyższych nad inne; ale większa ich liczba ukryta jest spojrzeniom z zewnątrz. Prawdziwe lodowce¹³⁷ korzenią się i rosną dopiero w głębi Tatrów. I tam dopiero jest istotna dziedzina wiecznej zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora, nieodmarzające nigdy, doliny milowe, usłane wiecznym lodem i otoczone ścianami z wiecznego lodu. Tam zobaczysz nad potokiem most z wyziewów w lód zamienionych, zawieszony na głębi przerażającej głębokości; a cisza taka, że kiedy pod ciepłym słońcem lód się rozgrzeje i ścieka kroplami w tę przepaść, słyszysz pluśnienie każdej kropli, co spada. Najdziwniejszą sprzeczność pośród tej martwoty mają tworzyć lasy leżące gdzieś między lodowcami: są one zwykle w dolinach nadzwyczajnej głębokości; cień ich gęstwy nie różni się od czarnej nocy; rzecz szczególna, że w tych lasach przecho-

¹³⁶ *ograda* — ogrodenie.

¹³⁷ Lodowiec w Tatrach występował ok. miliona lat temu, poeta ma tu na myśli zlodowaciałe skorupy śniegu. Tzw. lodowczyki, o których się mówi i obecnie, nie wykazują cech właściwych lodowcom.

wują się zwierzęta, które same tylko gwizdaniem swoim ożywiają tę ciszę jakby podziemną. Niektórzy myślą, że to są bobaki¹³⁸. Przystępy do tych lasów są niepokonanych prawie trudności dla niegórali i niestrzelców¹³⁹; staje ci nieraz na drodze skała z przepaściami po obu stronach, a grzbietem tak ostrym, że nie ma dosyć miejsca na stopę ludzką, i nie można jej przebyć inaczej, tylko przesuwając się po niej okrakiem; wyobraź sobie nadto, że taki grzbiet ciągnie się przez kilkadziesiąt sążni.

Kilka rysów podobnych dają widzieć, choć w małej części, czym jest wnętrze Tatrów, i że do zwiedzenia jego nie dosyć mieć chęć i odwagę. Oprócz koniecznej wyprawy potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy, burze, mgły jak noc ciemne, lawiny nieuniknione, i inne przykrości i niebezpieczeństwa przywiązane do miejsc podobnych. Wszakże powiem prawdę, że nie zważałbym na to wszystko, gdyby mi nie zawadzały trudności innego rodzaju, a mniej łatwe do pokonania.

Zamczysko czorsztyńskie

26 września 1832

Nad spodziewanie moje wracam jeszcze w góry. Witam je z gruzów Czorsztyna. Mój nocleg bliski, mam czasu dosyć. Obracam go na bliższe poznanie się z gruzami. Chcę dłużej cokolwiek pomówić z nimi o ich przeszłości.

Jedno z miejsc najinteresowniejszych w dziejach Polski, pomnik czasów Kazimierza Wielkiego, mieszkanie Czarnego Zawiszy, a dzisiaj rozsypujący się kościotrup, Czorsztyń!... Dwie godziny przepłynęło koło mnie i gruzów jego, nimeśmy się naszym smutkiem zobopólnym rozmówili z sobą. Jak o przyjacielu, którego widocznej zgubie zapobiec nie zdołamy, smutne o nim moje myśli. Jeszcze przed kilkadziesiąt laty stał cały; znałem czło-

¹³⁸ Bobak — autor ma tu na myśli świstaki. Bobaki to gryzonie podobne do świstaków, żyjące na stepach wschodniej Europy i w Azji.

¹³⁹ niestrzelcy — osoby nie będące myśliwymi. Myśliwi, czyli strzelcy, musieli sprawnie się poruszać w trudnym, górskim terenie, aby upolować zwierzynę. W przeszłości byli uważani za przednich zdobywców najbardziej dzikich zakątków w górach i najwyższych tatrzańskich szczytów.

wieka, który biesiadował w jego salach¹⁴⁰; dzisiaj rozwalinami tylko przy-
nęca, dzikim powabem owego ciała, któremu śmierć względna zostawia
niekiedy na dni kilka ciepło i barwę życia. Słońce zakryte chmurami nie
urąga wesołym blaskiem rozwieszonemu tutaj całunowi zniszczenia; mżą-
cy deszczyk wisi pełnymi kroplami po trawach i drzewkach, utulonych
między zwaliska; czasem polne ptaszyny, osłonięte resztkami gzymsów,
obeślą się¹⁴¹ urwanym szczebiotaniem, niby krótkim psalmem pośmiert-
nym, a wiatr wędrowny obejdzie pustki, przyrzuci kamyk na mogiłę gru-
zów, zawyje westchnieniem i polecą dalej. A ja droższej dopełnię powinno-
ści, w obrazie zwłok wielkich złożę im cześć pogrzebową.

Wyniosła i przykra góra, panująca z jednej strony nad szczył Nowotar-
skiej Doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórzów, zakończone ska-
łami Pienin, oto posada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej
boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle, nago, jak mur
z jednolitej, różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszym
wyprowadzeniem¹⁴² skały; żaden śmiertelny nie mógłby tędy ani wyjść,
ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiątszątniowej przepaści głowę zawra-
ca, a jednak trudno nie patrzeć. Dno głębiny uściela piękne zielone błonie;
po nim rozrzucona wieś tegoż co i zamek nazwiska; po nim snuje się da-
lekowidny Dunajec¹⁴³; na drugim brzegu Dunajca Węgry¹⁴⁴, ze swoimi gó-
rami w świeże lasy ubranymi, i z pięknym, nienaruszonym zamkiem Nie-
dzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazale zbudowanym jak Czorsztyń.
Wschodnia część góry, o kilkaset kroków od zamku, najeżona jest ostrzy-
mi, nagimi wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywa zarośle z ja-
łowców i świerków; łączy się z nimi szereg wapiennych także opok, obie-
gających jednym prawie ciągiem górę zamkową ze strony północnej i za-

¹⁴⁰ S. Sierotwiński w swoim wydaniu *Dziennika...* podaje, że był to Romuald Lisiecki, konfederat barski, którego Goszczyński poznał u Tetmajerów.

¹⁴¹ *obeślą się* — powiadamiać, rozesłać; tu: porozumiewać się.

¹⁴² *wyprowadzać* — m.in. budować coś, zwłaszcza wzwyż, stąd wyprowadzenie w zna-
czeniu przedłużenie.

¹⁴³ Obecnie dolina między zamkami w Czorsztyń i Niedzicy jest zalana wodami Je-
ziora Czorsztyńskiego, które wraz z Jeziołem Sromowieckim powstało po utworzeniu za-
pory na Dunajcu. Budowa zapory została ostatecznie ukończona w 1997 roku.

¹⁴⁴ Przebiegała tam granica z Królestwem Węgierskim, którego zachodnia część
w roku 1526 została przejęta przez Habsburgów, a w roku 1804 wcielona do Cesarstwa
Austriackiego.

chodniej aż do samej wody Dunajca. Gdzie indziej trudno coś podobnego widzieć: ów szereg nagich, wysokich, przepaścistych opok tworzy linią tak warowną, samorodną, że sam jej widok nasuwa mimowolnie myśl czaro-dziejstwa wspierającego założycieli Czorsztyna. Niższe skał miejsca dopeł-niane są murem. Pomiędzy górą zamku a spomnionymi skałami jest głębo-ki rozdół; część jego, obwarowana murem, poprowadzonym od wschod-niej i zachodniej ściany zamku aż do owego pasma wapiennych wzgórzów, tworzyła dziedziniec zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrznego rozrządzenia budowy. W zachodniej ścianie zamku wyraźny wprawdzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak przykry, że nie można nawet pojąć, jak by tam zwodzony most przystawał; podobniejsza do prawdy, że wjazd główny był od zachodu¹⁴⁵, jak zdają się przyświadczać spomniony dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i przy-stęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że nie dosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec, kilkadziesiąt kroków od ścian zamku; po górze przykrej jest wał najspadziwszy, który musiał być w swo-im czasie niemałą obroną. Zdaje się, że do wnętrza zamku dwa wchody wprowadzały; jednego z nich można widzieć zabytek¹⁴⁶ w otworze naroż-nej od zachodu wieży i szczątkach muru przed nim, a który zbiega na dół i mógł osłaniać wschody¹⁴⁷; drugi zaś w drugim końcu tejże ściany musiał być ukryty, co wnoszę z pokoju, leżącego w tym miejscu pod górą, opar-tego jedną ścianą, a raczej składającego część linii zachodniego muru. Do-chodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokoiów wyższych, że można z podobieństwem do prawdy uważać go za warowną osłonę ukrytego wchodu. Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany, równoległe do pół-nocnej ściany pokoiów, ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż do spomnionej wieży zachodniej; może więc być, że pokój, o którym mó-wiłem, był częścią dolnych mieszkań, przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

¹⁴⁵ Sierotwiński zwrócił uwagę, że w wydaniu petersburskim błędnie podano: od wschodu.

¹⁴⁶ *zabytek* — dawniej także: pozostałość, resztką.

¹⁴⁷ *wschody* — schody.

Wnętrza pokojów, na szczycie góry stojących, tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zniszczone, że trudno dziś dociec ich liczby i składu, a tym bardziej wysokości całego gmachu; wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerzej skały i ślady kucia w skale; może to być podziemna część zamku, a może i więzienie, ale osiadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.

Spodzielam się, że tym rysem dałem jakiegokolwiek wyobrażenia Czorsztyna, a raczej gruzów jego; na obraz dokładniejszy potrzeba więcej czasu i pomocy pędzla malarskiego. — Wartość by zająć się komuś tą pracą i rysunkiem, chociaż topograficznym, zachować plan tych rozwalisk zajmujących; niejeden artysta byłby szczerze wdzięczny za taką pracę i mógłby z niej piękny użytek zrobić.

Na dopełnienie obrazu muszę powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku Nowotarskiej Dolinie: jedna, od Krościenka, okrąża północną i zachodnią część czorsztyńskiej góry, druga — południową jej stronę, ta idzie z Węgier ponad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł; u podnóża biegnie potok, który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka; od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy krościeńskiej drodze, czasem od łotrów osadzony; przez ten to las objawiły mi się Tatry tak urocznie¹⁴⁸ po raz pierwszy.

Gdzie indziej dałem wyobrażenie widoku Nowotarskiej Doliny i Węgier z Czorsztyna. Widok na inne strony zasłonięty jest górującym grzbieciem góry, której posada zamku jest niejako przylądkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materiały do dzieła poetycznego. Nazwisko jego występuje głośniejsze za Kazimierza W.¹⁴⁹ Długo jest w posiadaniu Zawiszy Czarnego i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich¹⁵⁰ i służył im za warowny przytułek. Między tymi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski¹⁵¹, bandyta. — Duch poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości i wiele z niej wydobyć.

¹⁴⁸ *urocznie* — urokliwie, uroczo.

¹⁴⁹ *Kazimierz W.* — Kazimierz Wielki.

¹⁵⁰ Chłopi zdobyli zamek jeden raz, na dziesięć dni, w 1651 roku, w czasie buntu, którym dowodził Kostka-Napierski.

¹⁵¹ Aleksander Leon Kostka-Napierski — oficer polski, potem kapitan wojska szwedzkiego, starał się rozszerzyć powstanie Bohdana Chmielnickiego na teren Polski, zdobył wówczas zamek w Czorsztynie. Po przejęciu zamku przez biskupa krakowskiego Piotra Gembickiego Napierski został skazany na śmierć przez wbicie na pal.

Na Wyżniej¹⁵² — wpływ tajemniczy gór

29 września 1832

Nic już prawdziwszego dla mnie jak twierdzenie górali, że ich atmosfera ma wyższość nad atmosferą równin. Przekonałem się o tym z własnego doświadczenia. Trzy razy przejechałem się w równiny i za każdą razą doświadczyłem tego samego. Z początku przez dni kilkanaście ruch życia góralskiego, większa swoboda myśli, w ciele lekkość, pewna czerstwość, jędrność wszelkich władz, zdolność do wszystkiego w stopniu wyższym: powoli ciężałem, sępiałem¹⁵³, traciłem sprężystość energii wewnętrznej, tak że po pewnym przeciągu czasu czułem dotykającą w sobie zmianę niekorzystną. Powracam w góry, zaledwo dni kilka pożyję ich powietrzem, ich życiem, stan zdrowia, rzeźwości, swobody znowu mi powraca; myśli się wyjaśniają, czucie głębiej się otwiera, wszystkie władze grają silniej, czyściej i harmonijniej.

Nie ja jeden to czuję, powtarzam: doświadczam tylko na sobie tego, co tylu innych doświadczyło, o czym inni mię zapewniali.

Jest w tym dziwna jakaś tajemnica: dziwna a niezaprzeczona. Wszystkie ludy ją czuły, czuciem najgłębszym, bo religijnym, wszystkie religie świadczyły o niej i korzystały z niej. Wyżyny były zawsze miejscami wybranymi do modłów, do obrzędów religijnych, do wiązania ziemi z niebem. Na wyżynach płonęły święte ognie magów¹⁵⁴, jeżyły się kamienie druidów¹⁵⁵, wznosiły się świątynie naszych bożyszcz słowiańskich. Na Horebie¹⁵⁶, na Synaj¹⁵⁷ rozmawiał z Bogiem Mojżesz, przyjął prawdę Bożą dla swojego ludu, niebieski ogień, który miał przez wieki ożywiać i oświecać lud wybrany. Z wierzchołka Syjonu¹⁵⁸ cały ten lud wchodził przez wieki w bliższy związek ze swoim Bogiem.

¹⁵² Wyżnia — góra w Gorcach, niedaleko Łopusznej. Obecnie używa się formy Wysznia.

¹⁵³ *sępieć* — robić się posępnym.

¹⁵⁴ *magowie* — Goszczyński ma tu na myśli kapłanów medyjskich lub perskich.

¹⁵⁵ *druid* — celtycki kapłan.

¹⁵⁶ Horeb — góra, na której Mojżesz otrzymał zbiór praw, a prorokowi Eliaszowi ukazał się Bóg. Jest to inna nazwa góry Synaj.

¹⁵⁷ Dziś nieodmieniony wyraz „Synaj” występuje wyłącznie w połączeniu z określeniem „góra”.

¹⁵⁸ Syjon — góra w Jerozolimie, na niej znajdowała się Arka Przymierza.

Góry Galilei¹⁵⁹ były kolebką naszej religii chrześcijańskiej. W góry Galilei rzucił Bóg nieśmiertelne ziarno swojego Słowa dla świata; tam ono przyjęło się, ożyło ciałem, wzrosło i doszło do swojej dojrzałości niebieskiej. Na Taborze¹⁶⁰ Chrystus pokazał się po raz pierwszy swoim uczniom w chwale, w istocie swojej nadziemskiej. Na wyższe miejsca udawał się, ile razy w trudach boskiej swojej misji potrzebował zasilić ducha swojego powietrzem niebios. Z Kalwarii¹⁶¹ podał światu wzór najwyższej ofiary na Górze Oliwnej¹⁶² widziały go oczy śmiertelne jako Boga, tryumfującego nad światem!...

Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga przywiązana do was? owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? skąd to jest? dlaczego to jest? Jakiegokolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne — tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materialnych. Wasze wybijanie nad resztę ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt liche; mogą one zabawiać oczy, ulżywać płucom, pobudzać, łechtać ciało wrażeniami zmysłowymi, ale nie pojmuję, jakby mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego czucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!... O! nie, tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy, w jakimś czuciu, zapełniającym wasze piersi niezbadane narzędziami zmysłowymi, jak piersi człowieka w pierwiastku jego życia; a co ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień nieznanych, niedocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysiłen tajemniczych podnoszą was nad poziom, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy, bliższy i ściślejszy.

Siebie naprzód badam z tej strony. Jestże dla mnie wszystkim ten widok, który mam dokoła z tej wyniosłości? Unosił mię ciągle jej wysokość? Bynajmniej; oko moje nasycą się prędko widokiem i wpada w zobojętnienie;

¹⁵⁹ Galilea — kraina w północnej Palestynie.

¹⁶⁰ Tabor — góra w północnej Palestynie, w Dolnej Galilei, na niej nastąpiło przemienienie Jezusa.

¹⁶¹ Kalwaria — Golgota, wzgórze pod Jerozolimą, miejsce ukrzyżowania Chrystusa.

¹⁶² Góra Oliwna — góra pod Jerozolimą, miejsce wniebowstąpienia Jezusa.

ledwo chwil kilka zajmuję się wysokością, wkrótce zapominam o tym; a za to budzi się inny stan wewnątrz, zaczynam czuć się lżejszym, swobodniejszym; zadowolenie wewnętrzne podnosi się we mnie, napełnia mnie całego, widzę to po moich myślach świeżych, silnych, rozległych, lotnych, po zdolności widzenia ich, schwywania i wystawiania: dotykam tego w moim czuciu więcej roztopionym, więcej rozlewającym się, pełniej gorejącym, silniej bijącym ku górze, ku światom wyższym, ku wzniosłości niematerialnej: widzę w sobie płomień, nie mający nic wspólnego z materią, nie zależący od otaczającej mię sfery materialnej. W końcu postrzegam się, że stoję duchem w obliczu nieba, że jestem w modlitwie. Cóż to jest, o góry, owa władza, którą wprowadzacie człowieka w stan podobny? Zapytanie trudne do rozstrzygnięcia, a jedno z tych, które pytający sam w sobie rozstrzygnąć musi. Ufajmy, że będzie kiedyś rozstrzygnięte.

Mgła poranna w górach

1 października 1832 r.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje, krótkie jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa: korzystam z ostatnich lata zabytków¹⁶³, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej Góry¹⁶⁴ nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod moimi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była mi tym uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tym milej, tym tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście, jak żeby¹⁶⁵ milczącą modlitwę dumały.

¹⁶³ *zabytek* — pozostałość po czymś.

¹⁶⁴ Najwyższą górą nad Łopuszną jest Turbacz, nieco niższe są Kiczora, Wysznia i Bukowina Waksmundzka.

¹⁶⁵ *jak żeby* — jak gdyby.

I oto ze szczytu Babiej Góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i sto-
czył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzienka
ucieka w głębię nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki
różowego blasku; a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją
w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się,
łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz sze-
rzej osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały do-
koła, rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła.
Lasy i wody, wsie i pola, wzgórza i błonia, wszystko, co księżyc tak piękn-
ie przed chwilą oświecał, w tej chwili zgąsło pod mgły morzem. Praw-
dziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszane fale, przewala-
ją się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać
— cichnie — a jednostajnie siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego
tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia Góra zostały teraz brzegami mo-
rza, z którego łona podnoszą się gdzieniegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe
wzgórza, lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią
mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomien-
nych, igrających. Na koniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w poko-
rze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pa-
łający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgłów aż ku moje-
mu oku, jakimi barwami po ruchomym tle ich igrał, jakiego uroku był ten
most tęczyowy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko
między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tuma-
nów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami,
podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska... Widowisko skończo-
ne! — zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło
owe Morze Karpackie, które, podług podań, zalewało niegdyś dzisiej-
szą Nowotarską Dolinę.

Pobyty u proboszcza we Frydmanie¹⁶⁶

4 października 1832 r.

Brakowało mi przypatrzeć się z bliska życiu księży w tej okolicy, zbieg okoliczności zaspokoił mię i pod tym względem. Jestem wdzięczny tej konieczności¹⁶⁷. Kilkanaście dni przeżyłem w domu plebana wiejskiego¹⁶⁸, przez kilkanaście dni dach jego osłaniał mię przed nieprzyjemnościami wszelkiego rodzaju; przez kilkanaście dni jadłem chleb jego, a co najważniejsza, zbliżyłem się do człowieka, jednego z tych, co cię ogrzewają ciepłem swojej miłości prostej, szczerzej, czystej; poznałem kapłana, o którym każde wspomnienie sprowadza cię do tego życzenia: dałby Bóg, aby wszyscy księża byli przynajmniej tak jak ten!

Widok półmartwy, jak Tatry, może zrobić silne, dobre wrażenie na człowieku, ale człowiek-chrześcijanin bez porównania silniej obudza, zasiała we mnie miłość Boga i bliźnich; jeżeli nie mogę mówić o nim tak obszernie, jak o zmysłowych pięknościach okolicy, winienem mu wspomnieć bratnie, oznakę, że go umiał poczuć, ocenić, że uczucia moje dla niego nie są z liczby tych, co przechodzą z czasem bez śladu. Licha byłaby to odpłata za miłość żyjącą, gdyby została tylko w martwym słowie na papierze; ale z mojej strony nie jest ona taką, chowam ją w mojej duszy i daję żyjącą.

Kilkanaście dni przeżyliśmy prawie sam na sam, a takie życie wielką jest próbą wartości zobopólnej dwóch ludzi; trudno, ażeby w podobnym stosunku nie poznali się wzajemnie na sobie. Pragnąłbym, aby znaczny pleban wyniósł z owego czasu takie dla mnie uczucia, jakimi mnie ku sobie natchnął. Poznałem w nim sługę Kościoła, jakich mało w życiu moim napotkałem. Pełen cnót chrześcijańskich obok wyższego ukształcenia, miły, zniewalający, a mimo to zachowujący wysoką godność swojego stanu w życiu powszednim, światowym; był prawdziwym ofiarnikiem, wskazującym drogę jedynie prawdziwą, ile razy pełnił swoją służbę tajem-

¹⁶⁶ Frydman (słów. Fridman) — wieś na Podtatrzu, u podnóża Pienin. Gdy Goszczyński ją odwiedził, należała wraz z Węgrami do Austrii. Poeta stale używa nazwy Friedman.

¹⁶⁷ Prawdopodobnie Goszczyński musiał się wówczas, wskutek grożącego niebezpieczeństwa, ukrywać staranniejsze niż wcześniej.

¹⁶⁸ S. Sierotwiński podaje, że proboszczem w tym czasie był ks. Jan Ewangelista Nalepka.

niczą przy ołtarzu. Słyszałem go w tym urzędzie przemawiającego do ludu: kazania jego były w języku słowackim, bo od tej wsi poczyna się już kraina Słowakami osiadła, a słowa jego były napiętnowane tą samą ewangeliczną prostotą, miłością, łagodnością, których przykład stawiał w swoim życiu!...

Ale słowa niezdolne są wydać wewnętrznej wartości człowieka ani uczuć dla człowieka, który nas istotnie zobowiązuje; przestanę więc na tym, co powiedziałem, a zajmę się więcej zewnętrzną stroną mojego pobytu w Frydmanie.

Między innymi znalazłem w tym probostwie bibliotekę tak liczną i tak dobraną, że nikt by nie domyślał się podobnej w domku plebana ustronnej góralskiej wioski; zamykała ona około 2000 tomów najcenniejszych pisarzy wszelkiego narodu, tak oryginalnych, jak w tłumaczeniu, najwięcej niemieckim. Rozumie się samo przez się, że dzieła treści religijnej stanowiły znakomitą jej część, o ich wartości nie mogę nic powiedzieć, bo wszystkie prawie są w języku łacińskim, który mało umiem. Za to przeczytałem wiele sztuk Szekspira¹⁶⁹, przełożonych przez Szlegla¹⁷⁰.

Zacny proboszcz ułatwił mi także zwiedzenie zamku Niedzicy. Zamek ten leży naprzeciw Czorsztyna; rozdziela je tylko Dunajec. Jest on dziś własnością hrabiego Paloczaja¹⁷¹. Właściciel jego, a dziedzic wsi tegoż nazwiska i Frydmana, często w nim przemieszkuje; stąd budowa cała utrzymana jest w dobrym stanie wewnątrz i zewnątrz. Wewnętrzne jego urządzenie jest już więcej w smaku nowoczesnym. Między innymi ozdobami ma bibliotekę niewielką, ale złożoną z dzieł wyborowych, świadczącą o wyższym ukształceniu właściciela.

Wokoło zamku rozsypuje się wieś Niedzica. Na wejściu do wsi zwrócił moją uwagę słup z tablicą, na której wypisany zakaz palenia fajki na ulicach wsi. Przepis ten jest powszechny we wszystkich wsiach węgierskich i ściśle przestrzegany przez obawę pożarów. Jest on obwarowany sztrofami¹⁷² pieniężnymi, a dla chłopów karą cielesną. Stąd nieraz można widzieć

¹⁶⁹ William Shakespeare — najwybitniejszy dramaturg angielski.

¹⁷⁰ Dzieła Szekspira tłumaczył August Wilhelm Schlegel, niemiecki pisarz i filolog.

¹⁷¹ Zamek w Niedzicy wybudował na początku XIV wieku Rykolf Berzeviczy. Wielokrotnie zmieniał właścicieli. W 1589 roku Olbracht Łaski sprzedał go Györgiowi Horváthowi z Palocsy. Od 1828 roku, a więc w czasie wizyty Goszczyńskiego, zamkiem władał Ferdynand Horváth.

¹⁷² *sztrofa* — kara, z niem. *Strafe*. Górale często „a” wymawiają jak „o”.

na wstępie do wsi tablicę, na której malowidło przedstawia w wyższej swojej części fajkę, a w niższej chłopca rozciągniętego na ziemi, a nad nim hajduka z kijem lub batem. Madziarski ten hieroglif chłopcy dobrze rozumieją, widzą, że znaczy plagi za palenie fajki na ulicy, choćby *transito*¹⁷³.

Zresztą podobna tablica, zdobiąca każdą wieś, wyobraża doskonale duch prawodawstwa madjarszczyzny¹⁷⁴ szlacheckiej w jej stosunku do chłopów, zwłaszcza plemienia sławiańskiego¹⁷⁵.

Więcej niż mieszkanie, niż biblioteka hrabiego Paloczaja, zastanowiła mnie jego piwnica we Frydmanie¹⁷⁶. Jest to w istocie przedmiot godny widzenia. Wyobraźmy sobie dwa czy trzy piętra pieczar, tak długich, że światła pozostawionego w jednym końcu pieczary nie dojrzyysz z drugiego końca, rozgałęzionych na wiele innych równoległych do siebie, a wszystko to zastawione krociami beczek, kuf rozmaitego kalibru, napełnionych winem rozmaitego smaku, wieku, narodu¹⁷⁷, a masz piwnicę węgierskiego magnata. Miejsce to obudziło we mnie głębsze a smutne myśli. Dotknąłem się jego złego ducha. Znam cię, pomyślałem sobie, w dziejach mojego kraju. Ty to panowałeś na sejmikach, sejmach, trybunałach, elekcjach. Tobie to w wielkiej części winniśmy tę rozpustę wolności. Z takich to pieczar, jak z otworów piekielnych, buchało to powietrze gorsze od morowego, które oziewało¹⁷⁸ naszego ducha i wiodło go krętymi ścieżkami pijackimi, aż dopóki nie zapadł w przepaść razem z ciałem!... I straszny obraz przeszłości roztoczył się przed moją duszą w ciemnych barwach piekielnych; pokryła go w końcu krwawa barwa obecności¹⁷⁹. Odetchnąłem swobodniej, wyszedłszy z piwnicy. Rozjaśniłem się w domu ekonomy, przy dwóch jego córkach, bardzo miłych dziewczętach, z którymi i tę jeszcze miałem przyjemność, żeśmy mogli rozmawiać; chociaż mówiły tylko po słowacku, ale mnie rozumiały, a ja tym bardziej. Słowacki język w ustach dziewczyny jest bardzo miły; miałem sposobność przekonać się o tym, bo często towarzyszyłem dwóm dziewczątkom na rydzo-

¹⁷³ *transito* — przejazd, tu: przechodząc.

¹⁷⁴ *madjarszczyzna* — to, co węgierskie.

¹⁷⁵ *sławiański* — słowiański.

¹⁷⁶ Piwnice przetrwały do czasów obecnych.

¹⁷⁷ Pochodzącego z różnych krajów.

¹⁷⁸ *oziewać* — owiewać, przenikać zimnym podmuchem.

¹⁷⁹ *obecność* — współczesność.

branie, które tu jest bardzo obfite. Były to jedne z chwil najprzyjemniejszych mojego pobytu we Frydmanie i winienem za nie wdzięczność łagodności, słodczy owych ładnych Słowaczek. Są one wyższe nad wszelką pochwałę, jaką im dać mogę, dlatego wstrzymam się od niej.

Z powodu ich miewaliśmy rozmowę z proboszczem w przedmiocie kobiet. Od niego dowiedziałem się kilku szczegółów nowych dla mnie, o obyczajach kobiet węgierskich. Według jego opowiadania, księża mają wielki przystęp do kobiet, zwłaszcza w większych miastach węgierskich: wyraźnie mię zapewniał, że księża grają tam tę rolę, jaką gdzie indziej grają wojskowi.

Ten przedmiot nastroczał nam znowu rozmowę o bezżeństwie księży. Mój proboszcz miał zdrowe widzenie tej rzeczy. Jego zdaniem żenienie się lub bezżeństwo powinno być zostawione woli każdego; jedno i drugie ma swoje korzyści i niedogodności. Co się tyczy jego osobiście, miał postanowienie pozostać w bezżeństwie, gdyby żenienie się było nawet dozwolone.

I w rzeczy samej, dla niego było to właściwe, o ile poznałem jego charakter. Przy rzadkich swoich przymiotach, przez stan swój duchowny zaprawił się już do życia więcej cichego, samotnego, stał się lęklwym wobec życia czynniejszego, burzliwszego: przenosi on dzisiaj nad wszystko spokój rozmyślenia. Była to jego wada, ale ja poczuwałem się do tym większej wdzięczności, że oto dla mnie wychodził z tej ciszy. Z tym uczuciem pożegnałem go i zawsze zostanę.

Zbójnicy w górach — pieśni i powieści w tej osnowie

24 października 1832 r.

W tym obrazie Podhala koniecznym jest rys zbójectwa w górach; jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójectwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszej poezji śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach; gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójectwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykającym, nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tym mniej pominąć, przeciwnie, zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójectwo nie jest dzisiaj tym, czym było przed laty: czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policja w górach; mimo to zbójectwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, połyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie, wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odbłask w obecności; góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatią, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbójectwo w górach: inaczej pojęcie jego, sąd o nim, będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o góralach.

Zapatrywanie się górali na zbójectwo znacznie różni się od naszego. Zbójectwo w oczach górala nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą jak dla nas; zbójnik dla górala nie jest takim zbrodniarzem, jak by według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem się tej strony góralów; przyświadczają mi czyny. Prawda, że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń; ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie górali temu rzemiosłu.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi; w jego obawie jest więcej poszanowania jak wstrętu. Można by powiedzieć, że zbójectwo między góralami jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych: tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przehulać część swojego życia na Zaporozu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu górali, którzy, poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami i nic przez to nie tracą na szacunku swoich krajowców.

Przytoczę tu wypadek społeczny, opowiadany mi na miejscu, który dokładnie wyobraża, jakiej istoty i jakiej jest mocy ten pęd ku zbójectwu. Bohater tego wypadku jest to postać zupełnie upośledzona od natury, mały, pękaty, z nogami koszlawymi¹⁸⁰, z ogromną głową, brzydką twarzą, ale silnie zbudowany i niestary. Owoż ten człowiek zapragnął tak-

¹⁸⁰ *koszlawy* — dawna forma, dziś uznawana za niepoprawną; *koślawy*.

że sławy zbójnika i nie taił się z tym przed swoimi, że postanowił pójść w góry na zbój. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił się we wszystkie przybory zbójcy; w rękę wałaszka, a przez plecy dwie strzelby, za pasem nóż i pistolety, a w torbie żywności na dni kilka. Tak zaopatrzony poszedł w góry swojej wsi, w ustroinie dzikie, gdzie nikt prawie nie przechodził, łatwo wyszukał miejsce, jakiego mu było potrzeba, skały i powalone drzewa. Siada więc za nimi jak w zasadzce, przyczają się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza ruśnicę¹⁸¹, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wałaszka, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiada, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika.

I jak tu się oprzeć pokusie podobnej sławy? Zbójnik jest rodzaj ideału dla górala. Odznacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnymi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem jako człowiek odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze górala, a zbójnik najpełniej to objawia. Możeż góral potępiać go za to?

Nieraz rekrutacja napędza do zbójectwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, równie jak niższe namiętności, zemsta i chciwość; zastanawiam się nad przyczynami i dostrzegam ważniejszych¹⁸² i głębszych. Leżą one w naturze człowieka i w charakterze góralów, po części w ich położeniu¹⁸³.

¹⁸¹ *ruśnica* — dawniej: rusznica, wcześniej w tekście występowała forma nowsza.

¹⁸² Sierotwiński uzupełnił tekst: „dostrzegam wiele ważniejszych”.

¹⁸³ Jak podaje U. Janicka, obecnie wyróżniane są przyczyny historyczne, jak wojny, zamieszki religijne i ruchy chłopskie, bliskość szlaków handlowych, wpływające z sytuacji osadniczej (zróżnicowanie narodowościowe, etniczne i kulturowe wywoływało zataragi, których skutkiem było przystępowanie do zbójników), natury ekonomicznej — głód, ucisk feudalny, wynikające z warunków geograficznych, sprzyjających ukrywaniu się, oraz przyczyny o charakterze kulturowym, czyli np. umiłowanie wolności, ucieczka od rekrutacji — wieloletniej służby wojskowej, kult siły i sprawności. Zob. U. Janicka-Krzywda: *Niespokojne Karpaty, czyli rzecz o zbójnictwie*. Warszawa—Kraków 1986.

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dlaczego? nie wiem, ale tak jest. Duch naszych góralów wydaje mi się być w pewnym pokrewieństwie z arabskim: nie mogą mieć farysów¹⁸⁴, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w hordę Beduinów¹⁸⁵, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy górala zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą np. do bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów itd. Baca nie robi oporu, składa żadaną żywność, jakby się składała kontrybucja, a jeszcze właściwiej, jakby się płacił podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnie. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samychże juhasów, a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy, uczują koszt zamożniejszych¹⁸⁶.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

Najgłośniejszym bohaterem zbójectwa w Tatrach jest tak zwany Janoszyk; żył on w końcu przeszłego wieku¹⁸⁷. Tysiące powieści krąży o nim dotąd. Te powieści przystrajają go we wszystko, co tylko potrzeba, aby zbójectwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia góralów zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezrównana, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność, wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym przez związek ze światem nadmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną nad duchami i przyrodą nieograniczoną.

Obok tego wszystkiego był bardzo pobożnym, co go nieraz ocaliło, jak np. w następnym zdarzeniu. Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Po-

¹⁸⁴ *farys* — arabski wojownik na koniu.

¹⁸⁵ *Beduini* — koczownicze plemiona arabskie, zajmujące się głównie hodowlą zwierząt.

¹⁸⁶ U. Janicka-Krzywda (*Niespokojne Karpaty...*, s. 36) podaje, że zbójnicy napadali jednak głównie na chłopów, a nie bogaczy.

¹⁸⁷ Janosik urodził się w roku 1688, a w 1713 został powieszony za żebro w Liptowskim Mikulaszu.

dolińca¹⁸⁸, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz przyprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po jakimś czasie zdradza Janoszyka, porozumiewa się ze zwierzchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił, i to klęczący. Zdrajca zakrada się z tyłu i strzela do niego, ale chybia; Janoszyk, jakby nie słyszał, nie przerywa modlitwy, nie zmienia postawy; idzie drugi strzał i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli; jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdrajca trzeci raz dał do niego ognia, i tą razą bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał, bo skończył zwykłą modlitwę, puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli jego siekierka. Była ona także nadzwyczajna. Nie potrzebował mieć ją ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdnienie, choćby z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka, co go wydała zdradziecko w ręce zwierzchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego wałaszki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcią zamkami. Janoszyk, schwytany, gwizdnął na swoją broń doświadczoną, wałaszka, wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdnienie Janoszyka, zerwała się w pomoc jemu, zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia, przerąbała ośm¹⁸⁹ skrzyń, ale dziewiętej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka pokrywa niepewność. Według jednych podań został powieszony; inne naznaczają mu śmierć naturalną. Na Dolinie Kościeliskiej pokazywano mi z dala jaskinię, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości, i uważano go jako śmiertelne reszty po Janoszyku¹⁹⁰.

Miał on być rodem ze Spiża¹⁹¹. W Drużbakach¹⁹², w domie kąpieli mineralnych, widziałem obraz rysowany, przedstawiający Janoszyka, ucztu-

¹⁸⁸ Podoliniec — miasto w starostwie spiskim. Forma „Podoleniec” występowała dawniej jako oboczna. W wydaniu petersburskim — Podolenia, w wydaniu Wasilewskiego — Podoleńca.

¹⁸⁹ ośm — dawna forma liczebnika osiem.

¹⁹⁰ W Dolinie Kościeliskiej ze zbójnikami związane są jaskinie Okno Zbójnickie Wyżnie oraz Okno Zbójnickie Niżne.

¹⁹¹ Spiż — Spisz, kraina w Karpatach Zachodnich, obecnie należy do Polski i Słowacji. Spiż to dawna forma jej nazwy.

¹⁹² Drużbaki — miejscowość na Spiszu, obecnie na terenie Słowacji.

jącego ze czterema towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz wystawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniem, w ogromnych kołpakach z gałązkami u góry: strój hajduków i huzarów. Pod każdym wypisane było jego nazwisko. Żałuję, żem ich sobie nie ponotował¹⁹³.

Jest to godne zastanowienia, że każdy z głośniejszych zbójców odznacza się szczególniejszą siłą życia wewnętrznego; ich przewidywania, a raczej poczucia¹⁹⁴ dochodzą niekiedy do stopnia nad pojęcie zwyczajne. Z tego powodu przytoczę powieść prawdziwą, wypadek społeczny, chociaż należy do miejsc innych, bo scena odbywa się w górach kołomyjskich¹⁹⁵, pomiędzy tamtejszymi zbójcami, głośnymi pod nazwą opryszków — w ojczyźnie tak zwanych Hucułów¹⁹⁶.

Pan G..., dzierżawca wsi K..., ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem. Pan G. wie o tym, że bandyta odgraża się na jego życie; ażeby uwolnić się od trwogi, bierze się na ten sposób: porozumiewa się z dwoma chłopami, obija ich różgami dla pozorów, ażeby uciekli, niby w skutku tego pobicia i następnie dla pomśzczenia się weszli do bandy spomnionego bandyty i upatrzwszy porę zabili go, zwłaszcza że rząd nałożył już cenę na jego głowę. Stało się wszystko, jak ułożono. Dwaj pobici uciekli, znaleźli wiarę u bandyty, zostali przyjęci do bandy i przez całe pół roku tak dobrze udawali, takie dawali dowody odwagi i poświęcenia w wyprawach zbójceckich, że zyskali zupełną ufność towarzyszków i herszta. Pół roku tak przeszło, kiedy bandyta postanowił ostatecznie zrobić napad na dom pana G... i zabić swojego wroga. W tym celu podsuwa się pod wieś K.; ale, z chwilowej konieczności tak wypadło, że musiał rozesłać w różne strony swoich opryszków; dwóch tylko zostało przy nim, jako jeszcze mniej doświadczonych; byli to właśnie

¹⁹³ Obraz opisywany przez Goszczyńskiego przedstawiał próbę zręczności przed przyjęciem nowego kandydata. K. Stecki wspomina nie obraz malowany na szkłe, lecz drzeworyt, na którym znajdowały się nazwiska zbójników, a mianowicie: Janosik, Flyg, Surowiec, Adamczyk, Potaczek, Sinocha. Zob. K. Stecki: *Ludowe obrazy na szkłe z okolic podtatzańskich*. Zakopane—Kraków 1914—1921, s. 10.

¹⁹⁴ *poczucie* — uczucie, tu: przeczucie.

¹⁹⁵ Kołomyja — miasto, obecnie na terenie Ukrainy.

¹⁹⁶ Hucuł — góral zamieszkujący Karpaty Wschodnie.

owi dwaj nasadzeni na jego życie. Herszt był znakomitym wróżbitem¹⁹⁷, zaczął więc wróżyć sobie, rzucając fasolką; dwaj towarzysze siedzieli opodal trochę, przypatrując się wróżbie. Na pierwsze rzucenie zmarszczył się; po drugim zawołał: Żle!; po trzecim porwał się, niespokojny, przyzwał do siebie obu i zawołał: Chłopczy! Tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Co to jest? Albo nas napadną, albo może który z was zdradza mnie? Dwaj struchleli, pokryli to jednak. Herszt tłumaczył im położenie fasolek i zapewniał, że jeden z trzech koniecznie tej nocy zginie. Z tym wszystkim pragnie zapewnić się jeszcze lepiej o prawdziwości wróżby, wraca do fasolek, rzuca je na nowo; ale kiedy podczas tej czynności stał odwrócony tyłem, dwaj nasadzeni, lękając się, aby nie odkrył zdrady, korzystali z tej chwili, cofnęli się szybko na parę kroków, dali razem ognia i położyli go na miejscu trupem.

Pieśni osnute na zbójnictwie są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one, co powiedziałem o pewnym upodobaniu góralów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mała ilość wpadła mi w rękę, ale i ta ilość więcej rozjaśni ten przedmiot niż wszystko, co bym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są mniej więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość odrywków¹⁹⁸: jednak je zachowuję, bo wszystko razem jest upoetyzowaniem zbójckiego zawodu od egzaltacji¹⁹⁹ dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj gładosze²⁰⁰ góralscy. Urodziwi ciałem, zdobia się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukanym. Pielęgnują szczególnie włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Darmo wy mnie, darmo do skoły daicie:
Ze mnie zbójnik budzie²⁰¹ — darmo nakładzicie*.

W poniższych ułomkach przegrywa struna miłostek:

* Daremny koszt wasz.

¹⁹⁷ *wróźbit* — wróżbita.

¹⁹⁸ *odrywek* — fragment, ułamek.

¹⁹⁹ *egzaltacja* — tu: zachwyty, podziwy.

²⁰⁰ *gładosz* — człowiek urodziwy, elegancki.

²⁰¹ *budzie* — będzie.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie²⁰²;
Jego frairecka²⁰³ mało nie zaginie.
Pije zbójnik, pije za ten talar²⁰⁴ bity:
Nie płac, frairecko, napijes się i ty.
Aby twoje ocka za mną nie hładziły²⁰⁵,
Jak mnie będą wisać na jawor zielony.

Z powodu zbójstwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie oblężenia, pod prawem zwanym Standrecht²⁰⁶. Sąd i kary były jak najszybsze i najsurowsze: najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość, miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być, że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójstwa; to pewna, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Hej! coze temu padnie,
Hej! co owiecki kradnie?
Hej! cozeby mu padło?
Hej! strycek na garło²⁰⁷.

Jest to fraszka strycek! Wracamy do tonu miłostek.

Hej! w polu ja, w polu, hej, nie na zbojecce.
Powiedzcie, powiedzcie mojej frairecce.
Zbójnicku, zbójnicku, mas frairkę ładną;
Dajże pozór* na nią, bo ci ją ukradną.

* Dajże bacność.

²⁰² *dziedzina* — kraina, wieś, strona (w wyrażeniu rodzinna strona).

²⁰³ *frajerka* — kochanka, narzeczona.

²⁰⁴ *talár* — dawna moneta srebrna o dużej wartości. W Polsce przetrwała w obiegu do drugiej połowy XIX wieku.

²⁰⁵ *hladiet* — słow. spoglądać.

²⁰⁶ *Standrecht* (niem.) to przepisy obowiązujące w trakcie działań wojennych.

²⁰⁷ *garło* — gardło.

Powiadali ludzie, że mnie zbójnik budzie.
Jak budzie, to budzie, samym wirchem²⁰⁸ pódzie.
Nie budę ja gazdą²⁰⁹, nie budę rolnikiem,
Jeno budę chodził zbojnickim chodnikiem²¹⁰.
Hej! a jak mnie złapią, to ja budę wisiał;
Na wiersku jedlicki²¹¹ budę się kołysał.
Nie bój się, frairko, choć ja na zbój pódę²¹²,
Jeno proś u Boga, to ja twoim budę.
— Jaworu, jaworu, syrokiego liścia,
Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.

Dwa ostatnie wiersze są w ustach kochanki modlącej się. Ale one są często niewierne, na taką narzeką wiersz następny:

Idzie zbójnik zza Liptowa,
Ciece mu krew zza rękawa,
Zza rękawa i z główecki.
Syćko pse²¹³ zdradę dziewecki.

Liptów, miasto na Węgrzech, stołeczne komitatu²¹⁴ liptowskiego, który przytyka do południowo-zachodniej strony Tatrów.
Zobaczmy teraz zbójników weselących się.

Tańcowali zbójnicy
W murowanej piwnicy;
Kazali se pięknie grać
I na nózki poziérać²¹⁵.

Hej! pije se zbójnik, turackami płaci.
Wezmą go do nieba aniołowie swaci.

²⁰⁸ *wirch* — wierch.

²⁰⁹ *gazda* — gospodarz.

²¹⁰ Czyli: zostanę zbójnikiem. Zbojnicki chodnik — ścieżka, którą chodzą zbójnicy.

²¹¹ *jedlicka* — jodełka, gałązki jodły.

²¹² *iść na zbój* — uprawiać rozbój, uprawiać zbójnictwo.

²¹³ *syćko pse* — wszystko przez.

²¹⁴ *komitat* — jednostka podziału administracyjnego na Węgrzech.

²¹⁵ *poziierać, poziyrać* — spoglądać.

Aniołowie święci, zapewne dlatego, że płaci, mogą pić darmo — stopień świętości dla zbójnika. Turaczek ma być rodzaj monety, może półtorak w skróceniu.

Daj palenki²¹⁶, zydu, dobry chłopcy²¹⁷ psydą.
Jak nie das palenki, to cię trapić²¹⁸ budą.

Karcmarecko nasa, nie zagasaj ognia.
Psyda swarne²¹⁹ chłopcy, budą tańczyć do dnia.

Pódziemy, pódziemy na pana jednego.
Budziemy się dzielić pieniškami jego.

Następne są różnej myśli i różnego tonu, ale każdy przyrzuca jakiś rys do naszego obrazu:

Jawory, jawory, gdzie macie konory?
Zbójnickowie ścieli, na fujarki wzięli.

Radykał się²²⁰ Janik z gronika²²¹ na gronik.
Az się psyradykał zbójnikom na chodnik.

Radykać się — znaczy przemykać się. Gronik — wierzchołek. Chodnik — ścieżka w górach dzikich.

Janicku, zbójnicku, zbójceki hetmanie,
Gdzieś podział pieniński, com ja zbijał²²² na nie.

²¹⁶ *palenka* — wódka palona.

²¹⁷ *dobry chłopcy* — zbójnicy.

²¹⁸ *trapić* — nękać do utrapienia.

²¹⁹ *śwarny* — przystojny, dzielny.

²²⁰ *redykać się* — wchodzić gdzieś obcesowo. Goszczyński podawał błędną formę.

²²¹ *gronik* — zdrobnienie od groń, szeroki grzbiet wzgórza, grzbiet między dwoma strumieniami lub wyniosły brzeg rzeki czy potoku. Nie jest to nazwa wierzchołka, jak podaje dalej Goszczyński. Najwyższy punkt zbocza nazywany jest wierzchołkiem gronia lub wierzchołkiem gronika.

²²² *zbijać* — tu: zbójować.

Widać, że zbójnicy tytułują czasem swoich dowódców hetmanami²²³.

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?²²⁴
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Musiał umknąć z więzienia. Na ścianie bramy, na ścianie więzienia. Często brama używa się u nich w znaczeniu turmy²²⁵; może dawniej używanie to było powszechniejsze. W *Biblii* widzimy nieraz miejsce więzienia oznaczone wyrazem bramy. Znaczy ona także miejsce warowne. Koszyce — miasto na Węgrzech²²⁶.

Rym Janosik i pałasik jest, jak należy w wymawianiu góralów, którzy często głoskę *a* zamieniając na *o*, wymawiają pałosik.

Hej! z plesiwskiej²²⁷ bramy pozierały pany,
Jako się Janosik wałaskami broni.

Nie mogę wiedzieć, o jakim miejscu jest tu mowa.

Powiadali, powiadali
Ze zbójnika porąbali;
Rozrąbali bucka w lecie²²⁸,
A zbójnicka wiater niesie.

Udali²²⁹ mię, udali,
Cob ich ciorci²³⁰ zabrali.
Udali mię zbójnikiem,
Ze ja chodził chodnikiem.

²²³ Przywódców nazywano także harnasiami, starszymi, kapitanami, a w Karpatach Wschodnich watażkami.

²²⁴ *pałasik* — broń sieczna, pośrednia między mieczem a szablą. Pałasik — mały pałasz, zabawka. Tu zapewne nie występuje w tym znaczeniu.

²²⁵ *turma* — więzienie, areszt, wcześniej: wieża służąca jako więzienie.

²²⁶ Koszyce obecnie znajdują się na terenie Słowacji.

²²⁷ Może tu chodzić o Prešov, czyli Preszów, miasto na wschodniej Słowacji.

²²⁸ Sierotwiński podaje: lesie. Znany jest jednakże również wariant pieśni zapisany w wydaniu petersburskim.

²²⁹ *udać* — naśladować, tu: zrobiono mnie zbójnikiem. Bohater piosenki chodził zbójnicką ścieżką, poznał tajemnicę zbójników, więc musiał się do nich przyłączyć, aby nie stracić życia.

²³⁰ *ciort*, *ciert* — czart, diabeł.

Zamecku, zamecku nowo murowany,
Hej! siedział ja w tobie rocek okowany²³¹.

Siedział ja na zamku psez rok i psez tydzień,
Nigdy ja nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień.

Piosenka następna może się uważać za całość.

Mali chłopcy, mali,
Kiej się na zbój brali;
Jesce nie porośli,
Kiedy na zbój pośli;
Jesce nie zbijali,
Kiej ich połapali:
Dyć ich połapali
W zakopieńskiej hali²³².

W górach Zakopanego²³³. Czas wreszcie zobaczyć zbójcę w całej jego
dzikiej srogości; takiego zobaczymy w pieśni, którą tu kładę.

Mąż zbójca

Hanciu moja, pódź do domu,
Wydam ja cię, nie wiem, komu;
Wydam ja cię Janickowi,
Hej, walnemu²³⁴ zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik.
Wies po wichrach kazdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócis,
A mnie biedną tylko smucis.

Mas kosulkę uznujoną²³⁵,
A sablicku²³⁶ zakrwawioną.

²³¹ W pierwodruku błędnie „okowalny”.

²³² Na hali w okolicy Zakopanego.

²³³ Goszczyński — w skrócie myślowym — wyjaśnia tu wcześniejszy wers.

²³⁴ *walny* — duży, poważny, silny, zdrowy.

²³⁵ *uznójony* — zmęczony, tu zapewne: brudny, zniszczony.

²³⁶ *sablicka* — szabelka.

Janku, Janku, kędyś ty był,
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku,
Co stała w okienecku,
We dnie, w nocy hurkotała²³⁷,
Mnie smutnemu spać nie dała.

Psyniół ci jej chusty prać,
A nie dał ich rozwijać^{*238}.
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku²³⁹ nadybała²⁴⁰;

W tej rucecce pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,
W tym pierścionku troje wrótka²⁴¹:
„Dyć to mego brata rucka”. —

Niedługo się obawiała,
Do matusi odsyłała:
„Matko moja psemilena²⁴²,
Czy mam bratów syćkich doma?”

— „Córaś moja! Nic z jednego,
Z tych to siedmiu najmłodszego”.
Skoro wysedł rok, półtora,
Nagodził²⁴³ jej Pan Bóg syna.

„Lulaj, buba²⁴⁴, synu mój!
Nie bądź tak jak ojciec twój.

* U ludu naszego ważny to powód posądzenia męża o niewinność małżeńską, kiedy jej nie daje swojej bielizny do prania.

²³⁷ *hurkot* — grzechot, rumor.

²³⁸ Goszczyński miał na myśli niewierność małżeńską, a nie niewinność. Zob. przypis * na tej stronie.

²³⁹ *rucka* — rączka.

²⁴⁰ *nadybać* — niespodziewanie kogoś spotkać, coś znaleźć, zdybać.

²⁴¹ *wrótka* — małe drzwiczki.

²⁴² *przemilena* — przemiła.

²⁴³ *nagodzić* — obdarzyć.

²⁴⁴ *buba* — dziecięce określenie krowy lub określenie głupiego człowieka.

Na kaski bym cię siekała,
Orłom, krukom rozsypała”.

A on za smerckiem słysy
I od złości cały dysy:
„Spiewaj, Hanciu, jak spiewała,
Kiedys syna powijała”.

— „Lulaj, buba, synu mój!
Być był tak jak ojciec twój.
We winie — bym cię kąpała,
A w jedwabie powijała”.

— „Oblec, Hanciu, drogą satkę,
A pójdziemy na psechadzke”.
— „Dwa rocekim s tobą zyła,
Na psechadzki nie chodziła”.

A wziął ci ją za rucycku
I zawiódł ją ku gaicku,
Ocka carne jej wydłubał,
Rącki białe jej odrubał.

Rozpłakał się syn jej młody,
Nie mógł ojcu on dać rady.
„Wstańże, Hanciu psemilena,
Pódź, utul twojego syna”.

A sam posedł w skały, w lasy;
I nie ma go po te casy.

Jest to, moim zdaniem, jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu. Niewoląca prostotą, rozdzierająca głębokim czuciem, okropna całą osnową, nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy: jest wykończona w każdym szczególe równie jak w całości, z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartym, w swoim umyśle prostym, dlatego jasnym, do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwym imieniem. Jest to jedna z tych pieśni, które za wzór brać powinniśmy i do brze się ich uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu, i w formie do naszej poezji.

Ponieważ pieśń ta opiewa zdarzenie prawdziwe i znane w okolicy, przyłączano mi opowiadanie, które ją robi jeszcze prawdziwszą, zwłaszcza na początku. Oto jest opowiadanie.

Pewien zamożny góral miał, oprócz siedmiu synów, córkę jedynaczkę, niepospolitej urody. Wielu zalotników starało się o nią. Między tymi znalazł się i zbój. Góral ojciec, równie jak nikt w okolicy, nie wiedział o tym, przeciwnie, widział w nim bardzo porządnego gazdę, dał mu pierwszeństwo nad innymi i przyjął go za zięcia. Żona nie domyśla się także prawdy. Wszakże ją niepokoi i odludne jego mieszkanie w dzikich górach, i częste oddalanie się z powodów i dla celu, które jej są niewiadome. Pyta go czasem o to, równie jak o przyczynę, dlaczego nigdy nie chce otworzyć jej skrzyni ze swoimi rzeczami ani nie daje bielizny do prania, ale nie otrzymuje odpowiedzi, co by ją zadowolniła²⁴⁵. Jednego wieczora powraca znużony, spocony więcej niż zwyczajnie, broń jego zakrwawiona. Przełęczniona żona bada go i tą razą, i znowu na próżno. Obsiada ją podejrzenie; czeka więc, aż swoim zwyczajem oddali się na dni kilka, korzysta z tej nieobecności, otwiera jego skrzynię i znajduje pomiędzy szatami uciętą rękę; na małym palcu był jeszcze pierścionek, dla którego ta ręka była odcięta i skryta; po tym pierścionku poznaje, że to ręka jej brata najmłodszego. Odkrycie to przekonało ją prawie, że jej mąż jest zbójcą. Po pewnym czasie nagodził jej Pan Bóg syna, jak pieśń powiada; temu, śpiewając raz do snu, dawała nauki, ażeby się nie wdał w ojca. Przypadek zrządził, że mąż ją podsłuchiwał i poznał, że jest odkryty. Ale w tej chwili zamyka się w gniewie, tylko wszedłszy do chaty, każe kończyć śpiewanie. Biedna żona daje pieśni inny obrót, pochlebny mężowi. Zbójcę to nie ułagadza, każe jej ubrać się w świąteczne suknie, wyprowadza siłą w las odludny i tam odcina jej ręce za to, że otwarły jego skrzynię, a oczy wydziera za to, że przepatrywały jego bieliznę. Po czym odprowadził ją do domu, a sam poszedł w Tatry i odtąd nie wiadomo, co się z nim stało.

Zamknijmy pieśnią, w której jest całe życie zbójcy:

Hej! chłopiec ja, chłopiec z końca Rogoźnicka^{*246},
Miałem matkę dobrą, a ojca zbojnicka.

* Rogoźniczek — nazwisko wsi.

²⁴⁵ *zadowolnić, zadowalniać* — zadowalać. Dawne formy, dziś uznawane za niepoprawne.

²⁴⁶ Rogoźnik — wieś w powiecie nowotarskim.

Jescem nie zbojował, dopiero próbował;
 Z bucka na jedlicke w lesie pseskakował.
 Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk,
 Juz mię chcą powiesić na zelazny hacyk²⁴⁷.
 Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,
 Ja wam będę za to siedem rocków służyć.
 Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,
 Co bym ja nie siedział na Wiśnicu²⁴⁸ darmo.
 Oj! jakzeby było żal memu kochaniu,
 Kiejby²⁴⁹ mię powiedli z wirsku ku Muraniu^{*250}.
 „Powiadała ja ci: Daj pozór na siebie,
 Hamerscy hajducy^{**251} biorą się po ciebie.
 Obwiesą cię, Janku, za pośrednie ziobro,
 Juz ci będzie potem zbijać nie podobno”.
 A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie.
 Budzie ona hladzić²⁵² frairki na sianie²⁵³.
 Kiej mnie obwiesicie, obwieściez mnie w mieście,
 Baryłkę z palenką nade mną powieście.
 Tam budę se wisiał, budę se spoczywał,
 Tam budę co chwila palenkę popiwał.
 Obróćże mnie, mistsu, ockami ku drodze,
 Niech się ja napatsę tej zbojeckiej chodze.
 Zbójnicka frairka syćko popłakuje;
 Zbójnickiem na haku wiater porusuje.

* Murań, ma to być każde miasto grodowe.

** Hamernia — fabryka żelaza. Hajducy — policja dworska.

²⁴⁷ Chodzi o śmierć przez powieszenie na haku.

²⁴⁸ W mieście Nowy Wiśnicz w powiecie bocheńskim znajdowało się znane więzienie.

²⁴⁹ *kiejby* — gdyby.

²⁵⁰ Sierotwiński w swoim wydaniu zaznaczył, że według J. Zborowskiego w tym znaczeniu Murań występował tylko w pieśniach.

²⁵¹ Hamerscy hajducy — mężczyźni zatrudnieni do ochrony huty żelaza.

²⁵² *hladit* — ze słowackiego, gładzić, tu: głaskać, pieścić.

²⁵³ W wydaniu petersburskim i wydaniu Wasilewskiego błędnie: na stamie. Sierotwiński przypomina, że Tetmajer jako pierwszy poprawił tekst.

Mikułos²⁵⁴, Mikułos, mikułoskie mosty,
Tam się potyrają²⁵⁵ swarnych chłopów koszty²⁵⁶.

Tyle o zbójectwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości jak w obecności.

Dolina Zakopane — źródło Białego Dunajca — Magura²⁵⁷ — rudy żelazne — Stawy Gąsienicowe

26 października 1832 r.

Zakopane jest to miano wsi i doliny w Tatrach²⁵⁸ idącej w tymże kierunku co Dolina Kościeliska; przedziela je Gewont²⁵⁹ i pasmo wzgórzów, o których mówiłem wyżej. Dolina ta²⁶⁰ nie jest tak wdzięczną jak Kościeliska; obejmuje jednak przedmioty godne widzenia. Z niej wypływa Biały Dunajec, jak Czarny z Kościeliskiej²⁶¹; w jej obrębie znajdują się najobfitsze w tej okolicy rudy żelazne.

Chociaż pora roku spóźniona obsypała już śniegiem góry, korzystałem jednak z pewnej sposobności i pojechałem do Zakopanego, aby raz jeszcze zbliżyć się do głębi Tatrów.

²⁵⁴ Mikułos — Liptowski Mikulasz.

²⁵⁵ *potyrać się, poterać się* — być poniewieranym.

²⁵⁶ *kosy* — kości.

²⁵⁷ Wspomniany szczyt to Kopa Magury. Termin „magura” pochodzi z języka rumuńskiego (wcześniej Rumuni przejęli go od Słowian) i oznacza wzgórze. Z Karpat Rumuńskich rozprzestrzenił się na zachód, wraz z pasterzami. Często występuje jako nazwa własna. Goszczyński stosuje błędną formę „Magóra”.

²⁵⁸ Zakopane położone jest poza granicą Tatr, która biegnie Drogą pod Regłami.

²⁵⁹ Za Giewontem znajduje się jeszcze Dolina Małej Łąki, a dalej dopiero Dolina Kościeliska.

²⁶⁰ Współcześnie używa się nazwy Kotlina Zakopiańska, ale nie tę kotlinę ma tutaj na myśli Goszczyński, lecz raczej Dolinę Bystrej.

²⁶¹ Czarny Dunajec powstaje z połączenia Kirowej Wody z Siwą wodą. Z Doliny Kościeliskiej wypływa Kościeliski Potok, noszący od Kir nazwę Kirowej Wody. Siwa Woda wypływa z Doliny Chochołowskiej, stanowi ona dolny odcinek Potoku Chochołowskiego. Natomiast Biały Dunajec powstaje z połączenia Potoku Małołackiego z Potokiem Butorowskim. Tworzą one Cichą wodę Zakopiańską, która łączy się z Bystrą. Dawniej za źródło Białego Dunajca uważano Wywierzyisko Bystrej.

Jasny był poranek, w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny. Mróz nocny kilkunastostopniowy gwałtownie wolniał z podnoszącym się słońcem; ziemia przyprószona była płytkim śniegiem. — Biały Dunajec obficie tu płynie i okazalej niż Czarny przy swoim źródle, z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, mianowicie²⁶² przy brzegach Dunajca, zawalona głazami, które woda ogładza i wyrzuca, nim je zabierze w następnej powodzi i dalej poniesie. Głazy te słyną szczególnie ze mchu czerwonego, amarantowego²⁶³; jest on prawie niedojrzany gołym okiem, głaz pod nim wydaje się jak powleczony czerwoną barwą, potarty bielizną, żółty ślad na niej zostawia; pachnie jak fiołek, a zwłaszcza podczas pięknych, letnich poranków. Mówiono mi, że kamień tak umszony, trzymany w izbie, wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem; przy drodze mieliśmy piękną polanę Kalatówkę²⁶⁴, otoczoną wysokimi górami; dalej bijący w oczy ogrom różn kształtnych opok, który jak wieniec otacza wzniosłą górę i zowie się: Zakopański Zamek²⁶⁵. Z podnóża jego posady wypływa Biały Dunajec²⁶⁶ wodospadem czterosążniowej wysokości; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda, bijąca się po umszonych kamieniach i biała od wiecznej piany, w zimie wybucha cokolwiek niżej i mniej gwałtownie.

Pierwsze i główne stanowisko w dolinie jest hamernia, czyli kuźnia żelaza, przy której leżą domy mieszkalne, a między nimi dom samegoż właściciela tej okolicy²⁶⁷: z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wycieczkę, której ostatecznym kresem miała być ruda żelazna, skąd biorą materiał surowy do hamerni. Ta ruda, czyli kopalnia, albo jeszcze inaczej, w tutejszym języku, bania, leży o dwie godzin drogi od hamerni, w grzbiecie góry zwanej Magura.

²⁶² *mianowicie* — dawniej wyraz „mianowicie” był stopniowany. Stopień najwyższy to najmianowiciej.

²⁶³ W rzeczywistości nie jest to rodzaj mchu, lecz glon *Trentepohlia jolithos*. Występuje on na granitowych głazach i pod wpływem wilgoci wydaje fiołkowy zapach.

²⁶⁴ W wydaniu petersburskim: Kałatówkę.

²⁶⁵ Zakopański Zamek – chodzi o Kalacką Turnię, spod której wydostaje się na powierzchnię gruntu woda w postaci Wywierzyska Bystrej.

²⁶⁶ Wypływa nie Biały Dunajec, a Potok Bystra, który częściowo zbiera wody zlewni Białego Dunajca.

²⁶⁷ Właścicielem była wówczas Klementyna Homolacs, a nadzór nad majątkiem od około 1832 roku sprawował jej mąż Edward Homolacs.

Droga do bań²⁶⁸ przestronna, dobrze utrzymana, ale tak przykro zwija-na wokoło góry, bo rudy leżą pod samymi szczytami — że wozom, prowadzącym rudę żelazną do hamalni, zdejmują zadnie koła; a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniej spadziste.

Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach to z żelaznymi w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącymi, albo z ciężkimi młotami, pastwiący się, jak złośliwe istoty, nad łonem ziemi-matki; te mdłe gwiazdki kagańców płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole w takież głębokości, albo biegnące z taczkami jak błędne ognie cmentarza²⁶⁹; zresztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całkiem grobowa przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazji dzikiej, czarnej, nieludzkiej a nieanielskiej.

Szesnastu ludzi pracuje w tej bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. — Jest nawet wiara między górnikami, że kto by odważył się pracować tego dnia w bani, duch opiekujący się nimi, skarałby takiego jakimś wielkim nieszczęściem, a nawet zawaleniem całej bani.

Zresztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szafas, gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą²⁷⁰ górą i wytrzymuje częste szturmy to lawin, to kamieni, pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swojego naczelnika spomiędzy siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa łopatką umyślnie na to sporządzoną. Uderzeniem tej łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

²⁶⁸ Goszczyński mógł wybrać się którąś z dróg hawiarских prowadzących przez Dolinę Jaworzynki lub przez Dolinę Kasprową (kopalnia znajdowała tu także pod przełęczą Mechy, do której poeta być może dotarł). Bardzo prawdopodobny wydaje się wariant przejścia Siodłową Droga. Trasy prowadzące przez Dolinę Jaworzynki były bardzo popularne, tędy udało się do kopalni na początku drugiej połowy XIX wieku Maria Steczkowska.

²⁶⁹ Błędne ognie — powstają na terenach bagnistych wskutek samozapalenia się węglowodorów podczas gnicia. Uważano, że są to pokutujące dusze albo siły, które wabią ludzi w topiel, albo uznawano, iż wskazują miejsce ukrycia skarbu.

²⁷⁰ *nawisły* — nisko zwieszający się, wystający.

Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magury; musieliśmy przestać na niższym jej grzbiecie²⁷¹. Śnieg, spadły tam przed kilką już tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny na północ, wschód i południe.

Stąd mi pokazano i widziałem, ale w wielkiej odległości, Gąsienicowe Stawy. Leżą one cokolwiek niżej jak Pięciostawy, ale jeden z nich jest tak wielki jak Morskie Oko i na środku ma wyspę²⁷². Z tego jeziora wypływa potok²⁷³, który wpada do Dunajca pod Poroninem. Miejsce to, bliskie na pozór, leżało od nas, jak mi mówiono, o półtóry mili najmniej²⁷⁴, pomiędzy górami tak nagimi, jak są góry wokoło Pięciostawów.

O Magurze, na której byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki do kanarków bardzo podobne i ze śpiewem podobnym²⁷⁵; my widzieliśmy dzisiaj tylko mech, kosodrzew, śnieg i kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzanie bań zakopańskich naprowadziło mię na myśl, której sobie rozjaśnić nie umiem; dlatego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godnym uwagi, że we Francji zowią się podobnie (bagnes) miejsca surowej kary, po naszymu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same, co między francuskimi galernikami. I tam jak tutaj sobota jest dniem świątecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę, którą galerownicy mianują wśród siebie, a czemu odpowiada w tutejszych baniach zwyczaj uderzenia łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? Warto by się nad tym zastanowić.

²⁷¹ Goszczyński mógł się wówczas znajdować w okolicy przełęczy między Małą Królową Kopą a Kopą Magury, najprawdopodobniej jednak był na wschodnim podnóżu Kopy Magury lub na przełęczy Mechy, skąd widać Hałę Gąsienicową i Kocioł Czarnego Stawu Gąsienicowego.

²⁷² Czarny Staw Gąsienicowy jest mniejszy od Morskiego Oka. Wysepka nie znajduje się na środku stawu, a przy jednym z brzegów.

²⁷³ Czarny Potok Gąsienicowy.

²⁷⁴ Goszczyński tu raczej dokładnie określił odległość, która wynosi ok. 11 km. Zob. przypis 48 na s. 55.

²⁷⁵ Z ptaków występujących na tym terenie do kanarków najbardziej podobne są trznadłe, szczygły, dzwońce i jemiołuszki.

Na Kluczkach²⁷⁶ — pożegnanie się z górami

1 listopada 1832

Zima powraca, opanowała już Tatry, zasiadła znowu na nich jak na odwiecznej swojej stolicy i rozszerza dokoła swój podbój, z którego na chwilę ustąpić musiała. Lato cofa się, a z nim wdziek życia i życie samo tych okolic. Mnie także los mój pędzi w inne strony²⁷⁷. Wkrótce znajdę się w innym świecie, sferze innego życia; będzie ono zapewne silniejsze na zewnątrz, gwarniejsze, więcej mię zaprzątnie, bardziej czas mi zajmie, ale czy znajdę w nim tę swobodę, tę błogość, tę pełność uczuć, tę jasność myśli, to zadowolenie wewnętrzne, co tak szybko posuwa łódkę naszej żeglugi ziemskiej, a dmąc tak łagodnie w żagle życia? Czy znajdę tam, co tu tracę, czy mi się wróci kiedy, co tu tracę? Czy wrócę jeszcze kiedy w te strony, gdzie znalazł tyle miłości w tych drzewach, głazach, dolinach, górach, wodach, ruinach, a nawet ludziach; w blasku słonecznym tych dni, w gwiazdkach tych nocy, w bełkocie tych potoków, w szumie tych wiatrów i w uroczystej ciszy tych cieni, łagodzonych gwiazdami na niebie, a na ziemi świecącymi robaczkami; gdzie i ja rozlał tyle miłości, złożył w każdy przedmiot tyle uczuć serdecznych, powierzył tyle rzewnych myśli tym wiatrom w różne strony do serc różnych? Znajdę się tu jeszcze kiedy jak przyjaciel wśród przyjaciół? Będę tu z dzisiejszą wzajemną miłością poznany, powitany, przyjęty? Uśmiechnieź mi się jeszcze przyjazne oblicze tej okolicy? Obejmieź mię choć raz jeszcze w życiu to powietrze swoją miłością macierzyńską?...²⁷⁸

Dokoła widok niezmierny; zachwycam się nim niedawno, ale jak inny dzisiaj! Tatry wyglądają spod chmur zimowych dziko i groźnie. Lasy żółcieją i czernieją barwą późnej jesieni. Powietrze przeszywa podmuchami przykrego chłodu. Obok mnie szalas, pusty, niemy, nie tak, jak było temu kilka tygodni. Pozieram²⁷⁹ dokoła — ogrom, nieogarniony wzrokiem, a ja wśród tego ogromu — sam! — Świat wielki, a nie ma się gdzie pomieścić! powiada nasze przysłowie. — O! jak ta prawda przypada do

²⁷⁶ Kluczki — dawna nazwa Turbacza.

²⁷⁷ Goszczyński planował działalność konspiracyjną na terenie Galicji.

²⁷⁸ W Tatry wracał poeta dwukrotnie, w roku 1872 i 1873.

²⁷⁹ *pozierać* — spoglądać, rzucać okiem, patrzeć od czasu do czasu.

obecnego mojego stanu! — Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a Syn człowieczy nie ma, gdzie by głowę swoją mógł przysłonić!²⁸⁰ — wyrzekł Chrystus²⁸¹. Nigdy mocniej nie poczułem tych słów rozdzierającej boleści, najgłębszej skargi, najstraszniejszego wyrzutu, jaki temu światu kiedykolwiek zrobiono. Tak jest! Nie ma gdzie głowy swojej przykłonić Syn człowieczy, skoro nie znajdzie piersi z prawdziwą, czystą, wyższą miłością, jaką znalazł Chrystus u jednego swojego ucznia. Ale jakże ją mam znaleźć?

Szukam jej w przeszłości, szukam w obecności, szukam w przyszłości!... Podnosi się w duszy poranek mojego życia. Zawiewa mię jego powietrze. Widzę wioskę wołyńską, ustronną, skrytą w lasach, mój domek rodzinny, niedaleko, pod lasem, mogiłki wiejskie²⁸². Stała tam kiedyś cerkiew! Splamiło ją jakieś świętokradztwo, gniew Boży dotknął to miejsce i cerkiew zapadła w ziemię, z całym ludem, który ją napełniał, w sam dzień Wielkiej Nocy, podczas nabożeństwa. Nie zginęła jednak bez śladu i nadziei. Przyłóż w tym miejscu ucho do ziemi w ten sam dzień, o tej samej porze, a usłyszysz dzwony podziemne. Tak lud twierdził i wierzył. Wierzyłem z ludem i wierzę, biegłem kryjomo na cmentarz, przykładając ucho do mogił, czy nie usłyszę dzwonów zmartwychwstania.

Dziś to samo robię, tylko żem wyższy o lat dwadzieścia i głuchszy wewnętrznym słuchem, tylko że tą mogiłą jest ogrom góry, na której stoję, a tym cmentarzem świat, co mię otacza.

Ta ziemia, którą widzę przed sobą, ten świat dokoła, to życie za mną i przede mną, jest owa powłoka, pod którą leży mój świat zapadły, moje życie zapadłe. Zwracam ucho na wszystkie strony, przykładam je do ciszy, do każdego wiatru wędrownego, do każdego dźwięku, zabłąkanego w tej dziczy, słucham uchem i myślą, czy nie usłyszę dzwonów mojego życia prawdziwego!...

Na próżno wszystko!

²⁸⁰ przykłonić — skłonić, pochylić.

²⁸¹ Mt 8, 20: „I rzekł mu Jezus: Liszki mają jamy, i ptacy niebiescy gniazda: a Syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił”. Łk 9, 58: „Rzekł mu Jezus: Liszki mają jamy, a ptacy niebiescy gniazda: Lecz Syn człowieczy nie ma, gdzie skłonić głowy” (*Nowy Testament Pana naszego Jezusa Chrystusa*. Tłum. J. Wujek. Moskwa 1821, s. 9, 77).

²⁸² Sierotwiński i Rosnowska utożsamiają tę wioskę z Siomakami na Wołyniu, gdzie Goszczyński przebywał, będąc dzieckiem.

Jak to? Miałbym tylko tyle stąd wynieść, tylko ten owoc zebrać i podać innym z *tyla*²⁸³ czasu takiego życia? Nic więcej, tylko myśl zwątpienia, żal bezpłodny? Ślepyż to przypadek wyrzucił mię tutaj jak rozbita²⁸⁴ z nawałności życia? Byłbym już trupem, którego morze świata nie może ścierpieć w swoim łonie i wymiata na pastwę żarłocztwu zwątpienia, na zginienie uczuciem swojej bezużyteczności? A oweż myśli, których tyle przemignęło przez głowę; a owe uczucia, których tyle przeżyło w tych piersiach, byłyby tylko ptastwem żarłocznym i tak dalece obrały mię ze wszystkiego, że nic by już więcej nie pozostało ze mnie jak szkielet na nic nieprzydatny? O! nie daj tego, Boże! I tak nie jest.

Nie przypadek mię tu rzucił, nie na darmo tu się znalazłem. Nie na darmo otwarto mi wszystkie zasoby zewnętrzne i wewnętrzne tej krainy, jej przyrody i jej człowieka. Nie oddalę się stąd jak rozpustnik, zniewieszczał gnuśnym używaniem, wycieńczony bezrządem marzeń, bezsilny do życia na polu czynności. Nie! Czuję, że nie straciłem nic z tego, com tu przyjął. Pierś moja pilniejsza²⁸⁵, widzenie jaśniejsze, ochota życia większa, wiara czystsza, miłość Boga i ludzi odważniejsza, nadzieja mocniej przytwardzona do dna oceanu niewidomego. Czuję w sobie siłę pozostać w tym stanie, przebyć w tym stanie przyszłość, jaka leży przede mną.

Tak was żegnam, góry i ludzie, coście mię zasilili. Tak ci dziękuję, Boże, za tę chwilę łaski, którą mnie w tym miejscu dotknąłeś. Nie stracę jej, pokażę ją w moim życiu.

Zimny wiatr powiał, dreszcz przebiegł po ciele, to przyszłość, to życie w czynności po życiu w modlitwie, to atmosfera nizin ludzkości. Cóż robić! Schodźmy na dół, trzymając statecznie, cośmy wzięli na górze.

²⁸³ *tyla* — tyle, tak wiele.

²⁸⁴ *rozbit* — rozbitek.

²⁸⁵ Sierotwiński uznał, że jest to błąd druku, wstawiając tu wyraz „pełniejsza”. Jednak są pewne argumenty, które przemawiają na korzyść pierwodruku. Goszczyński pisze tu o chęci działania, więc pilniejszą pierś można interpretować jako serce przepełnione gorliwością jeszcze bardziej niż miało to miejsce wcześniej.

Sobótka*



* Uroczystość ludów słowiańskich, znana w różnych plemionach pod różnymi nazwami. Sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypada 24 czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Było to istne słowiańskie igrzysko lub święto ognia, odziane uroczystą tajemniczością religii i całym urokiem poezji. Pojąłem ją w tym duchu i wystawiłem w niniejszej poezji. O sobótce wspominają nasi kronikarze; z powodu sobótki są pieśni Jana Kochanowskiego, które jednak, przez naśladownictwo cudzoziemskiej literatury, nie dają o niej żadnego wyobrażenia. Jeszcze jedna uwaga względem sobótki nie będzie zbędną. Zdaje się, że sobótką, w czasach przynajmniej późniejszych, znaczyła to samo, co dzisiejszy obcy wyraz wigilia. Sobota była dniem poprzedzającym największe święto, jakim jest niedziela, więc logicznie nazwano dzień przed mniejszymi świętami sobótką, czyli małą sobotą mniejszych uroczystości.

Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcach błękitach.
Czerwcowy wieczór, na smereków cieniu,
Po wzniosłej Wyżni^{*1} osuwa się szczycie.
Z niebios podhalskich^{**2} uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pół pogromu —
Sztandarem tęczy od Pienin^{***3} powiewa
I coraz bledziej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana po burzy,
Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I, jak westchnienie, po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki;

* Wyżnia, góra w paśmie leżącym nad Nowotarską Doliną, równoległe do skalistych, najwyższych Tatrów. Stoi ona na gruntach wsi Łopusznej. Jej obraz w powieści wierne jest wzięty z przyrody.

** Tatry najwyższe, co są na granicy Węgier i Galicji, noszą u mieszkańców tamecznych nazwisko hał, od hał, czyli pastwisk, znajdujących się między nimi; dlatego podnóże Tatrów zowie się Podhalem, a jego mieszkańcy Podhalanami. Nazwisko to odnosi się do niewielu wsi leżących pod samymi Tatrami.

*** Pieniny, najwyższa góra skalista, w tymże paśmie co Wyżnia. Leży nad samym Dunajcem. Słynie jako przytułek św. Kunegundy w czasie tatarskich wojen oraz szczątkami jej zamku.

¹ Zob. przypis 152 na s. 81.

² Zob. przypis** *nazwisko* — tu: nazwa.

³ Pieniny to, oczywiście, pasmo górskie, a nie, jak podaje Goszczyński, góra. Św. Kunegunda to św. Kinga, małżonka Bolesława Wstydlivego. Wysznia leży w Gorcach a nie w Pieninach.

Milczkiem wypełzną, przemykają ręczo,
I z wodzem burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał,
Las rzęsno⁴ płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi,
Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.
Luby góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni spłonie stos sobótki.
Brzmią długie trąby, przygrywają dudki⁵,
Krociami dzwonków igrają parowy.
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy;
Pod trupem jodeł wzgórza się wzdrygają;
Nucą juhaski, hukają juhasy*;
Wszystko wre gwarem i góralów zgrają.
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stos wielki, dwunastojodłowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.
Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
I Wyżnia święta góralską ponętą:
Góra nad góry, na sobótki święto.
Wyżnia postawą Kluczek**⁶ nie dosięga,
Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga⁷;
Ale na Wyżni półodkrytym łonie
Wabiąca woda⁸ lustrem nieba płonie,
A z jasnych skroni las płynie stuwzory:

* Nazwisko pasterzy u tatrzańskich Słowian.

** Kluczki, góra na granicach łopuszańskich, najwyższa w swoim paśmie po Pieninach. Niepospolitej rozległości widok ją otacza. Na dniu pogodnym można z niej widzieć Kraków o mil jedenaście oddalony.

⁴ *rzęsno* — rzęsiście.

⁵ *dudka* — fujarka, piszczałka. Goszczyński jednak pod nazwą dudki rozumie dudy. Zob. s. 122, przypis *.

⁶ Kluczki — druga nazwa szczytu Turbacza. Turbacz leży w Gorcach, należących do Beskidów Zachodnich.

⁷ *ustrząc, ustrzęgnąć* — utkwic, uwięznąć.

⁸ Pucułowski Stawek, znajdujący się na polanie Srokówki na zboczu Wyszniej.

Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
I, jak włos, Wyżni ocienia oblicze —
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z niskich krzewin, lub drzew jasnolistych,
A z piersi spada puszczą gęstą, czarną,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną,
I wiecznym szumem grają u podnóża!
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza,
I wiszą wkoło zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód za wczesny nie drażnił⁹ jej oczu.
Wyżnia, jak pani, patrzy ze stolicy
Na gród olbrzymi, olbrzymki-Łomnicy^{*10},
Co błękitnieje w południa przeźroczu¹¹.
Pomiędzy Wyżnią a nawałnic miastem,
Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy¹² —
Lśni Nowotarskiej Doliny opona^{**},
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrzańskich borów cieniem narzucona.
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi^{***},
Cały ten widok jeden promień spina —
I do nóg Wyżni w hołdzie go przywodzi.

* Łomnica, najwyższa w Tatrach góra. Widać ją w całej okazałości od strony Węgier.

** Nowotarską Doliną zowie się kilkonastomilowa przestrzeń pomiędzy Tatrami; od leżącego na niej miasteczka Nowego Targu.

*** Łopuszna, jest to właściwie potok, utworzony z kilkudziesięciu mniejszych; źródło jego na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszną.

⁹ *drażnić* — drażnić.

¹⁰ Łomnica straciła, przypisywane jej przez romantyków, zaszczytne miano najwyższej góry Tatr.

¹¹ *przeźroczce* — przejrzysta przestrzeń.

¹² *szyldwach* — żołnierz na warcie.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
Na skale jodła — i pięciu leżało.
Leniwy tuman oblał im podnóże,
Oni leżeli widziadłami w chmurze,
Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
Brodate twarze, odzież ich jednaka:
Czerwono szyta guńka¹³ na opaszki¹⁴;
Rzęsno jarzące szkiełka u kołpaka;
Kołczan na plecach, sążniowe wałaszki¹⁵,
Szerokie pasy, za pasem topory.
Włos pokręcony w obfite kędziory,
Tu wisiał, w krasne wstążeczki ujęty,
Tam w skrzydła wiatru płatał swoje skręty.
Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą,
Tak groźne, bystre i twarze, i oczy
Gości, co Wyżnię szpiegują z uboczy.
Rozbójnik Janosz spoczywał za niemi,
Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
Najgłębiej skryty w jodłowym zacieniu.
Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
Żaden mu góral w niczym nie zrównywa;
Słynie jak Krywań!^{*16} O nim Ludek śpiewa:

Janoszu! dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu
Taki rośły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?

* Krywań, znany nam mniej więcej, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach.
W Galicji widać go tylko ode wsi Suchy Żąb zwanej.

¹³ *guńka* — wierzchnie okrycie męskie, zdobione haftem i obszyciami.

¹⁴ *na opaszki coś nosić* — nosić, nie wkładając rąk w rękawy, a tylko okrywając się

¹⁵ Zob. przypis 96 na s. 64.

¹⁶ Zob. przypis 4 na s. 41 i przypis 10 na s. 115.

Ty wysoki jak Łomnica,
Jak lawina twa prawica,
Jako Tatry twoje barki,
Jak lot gwiazdy bieg twój szparki.

Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze,
Co go objąć trzech nie może.

Janoszu! dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobieta, ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
Lód i przepaście jego dziś dziedziną.
Po ciemnych jamach z puchaczami mieszka,
Trop dzikiej kozy¹⁷ zwykła mu dziś ścieżka.
Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
Jak o straszidło krążą o nim wieści.
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie tak wąsko rozdartej,
Że się zaledwo godzina prześliznie.
Z wierchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
Albo jak kozioł huśta się u krzaka!
Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
Którą, jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
Przeobrażona w ducha niedobrego,
Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze.
Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
Przeżył bez duchów tak wielkie przygody,
I jedno imię wdział, jak nawałnicę

¹⁷ Zob. przypis 31 na s. 51.

Grzmiącą a ciemną, na całą ziemicę.
Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia,
I wbił przed siebie żrenicę zmartwiałą.
Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzenia
Masz jego sławę, jego duszę całą.

— Oj biada, biada! tym góróm, tej głowie! —
Wstrząsł wreszcie głową i ze skargą powie:
— Jakże tu wszystko poszło na pustkowie!
Wiecie? To pole, gdzie młodzież zebrana
On stos buduje, one stawy jasne,
On bór świerkowy — to moja polana!*
Kiejsi¹⁸ to wszystko było moje własne.
W górę, na lewo, niedaleko wody,
Między brzózkami stały me chałupy;
Dziś — na ich miejscu przegorzałe¹⁹ słupy.
W prawo od chałup leżały zagrody —
On staw był kiejsi czysty jak krynica,
Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
Statku** nie mogły pomieścić koszary —
Wszem smakowały mój ser i żętyca***.
Największy płomień jarzał z mej baczki****,
Najgorsze kundły strzegły mojej trzody —
Janosz był pieśnią na podhalskie ludy.
Kasia najradniej²⁰ szła tu na borówki*****.
Na prost²¹ za wodą, gdzie tam owa brzózka,

* Każda łąka w górach między lasami.

** Górale tatrzańscy, choć najwięcej do Krakowiaków zbliżeni, mają przecież mnóstwo oddzielnych, właściwych sobie wyrazów. Między innymi bydło zowie się u nich statkiem: rogata, gruby statek; nierogata, drobny statek; domowe tćactwo, gadzina itp.

*** Góry Karpackie w ogółności słyną z tego nazwiska serwatki. Jest to właściwie mleko wszelkiego rodzaju, pomieszane i zwarzone przy ogniu.

**** Baczka — buda pasterska w górach.

***** Jagody leśne na drobnych krzewinach, zwane gdzie indziej czernicami.

¹⁸ *kiejsi* — niegdys.

¹⁹ *przegorzałe* — przepalone.

²⁰ *najradniej* — najchętniej.

²¹ *na prost* — na wprost.

Pierwszemu dostał od Kasi całuska,
I tak mi serce schwycił ten całunek,
Żem odtąd przy niej, jak przy owcy dzwonek,
A ona przy mnie... Odtąd trzódki nasze
Razem do koszar²², razem szły na paszę.
Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni,
Co zaśpiewała, jam wygrał na flecie.
Długo, och!²³ długo żyli my tak w świecie,
Jakby my w świecie żyli tylko sami.
Raz my nad wieczór rozbiegli się, biedni:
Kasia coś rwała pomiędzy świerkami²⁴,
A ja usiadłem u owego buka,
Co tam na prawo, a pod nim zdrój płynie.
Ja gram i śpiewam, Kasia ku mnie huka²⁵;
Wtem przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie.
A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru;
Błada ze strachu, leci Kasia z boru:
Mnich! mnich!* — krzyknęła — serduszko jej bije,
Drży, jak blask w stawie, a ściska mi szyję.
Źle! — pomyślałem, ałem ją pocieszał;
Mówiłem śmiało, a język się mieszał.
Dobrze ja wiedział, że nigdy daremno
Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno,
Kasi do domu wypadała droga;

* Widziało mnicha, grające w tej powieści znaczną rolę, objawiało się w samej rzeczy w tych okolicach przed laty jeszcze kilkudziesiąt. Powstawało najczęściej z wody. Inne o nim szczegóły zawarte są w samejże powieści.

²² Zob. przypis 87 na s. 63.

²³ W obu rękopisach i „Ziemonii” występuje tu wyraz „och”. W wydaniu Brockhausa z 1870 roku najprawdopodobniej błędnie — „ach”.

²⁴ *świerk* — modrzew. Goszczyński również podaje w słowniczku zamieszczonym w *Dzienniku podróży do Tatrów*, że górale nazywają świerkiem modrzew (*Dziennik podróży do Tatrów*. Petersburg 1853, s. 131). Na takie znaczenie świerka w *Sobótce* wskazywałby również fakt, że w okolicy wspomnianych drzew pojawia się postać Mnicha, a — jak dawniej wierzone — właśnie w modrzewiach przebywały duchy ludzi zmarłych w straszliwy sposób.

²⁵ *hukać* — nawoływać, pokrzykiwać.

Nie Iza²⁶ już było puszczać pod noc samej,
Więc się potokiem razem przebieramy,
Aż pod wieś prawie, do dziwożon^{*27} jamy.
Pocałowała mię jeszcze nieboga —
Kiedym odchodził, prawi, że bezpieczna,
I że nazajutrz znowu ze mną będzie.
Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę.
Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie,
Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna
Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
Najdroższe w życiu. Ach! jakim ją kochał!
Bliskie już były nasze zaślubiny.
Jakem ja bolał dla jednej dziewczyny!
Na jej spomnienie, jak dziecię, ja szlochał.
Stwardniałem wreszcie, i płakać przestałem;
Wszakżem już nie mógł być, czym byłem wprzód²⁸.
Nic się nie wiodło w gospodarstwie całym.
Owies nie rodził, wymierały trzody,
Grad łąki trzepał, w gumna²⁹ bił grom Boży.
I coraz gorzej, coraz było gorzej.
Gdziem się nawinał, nie przeszło bez zwady,
Tak, żem już nie śmiał wyrzeć między żywe.
Cóż było robić? Nie znalazłem rady,
Tylko porzucić miejsca nieszcześnie.
Więc resztę statku puściłem na wolę,
Na wieczny odłóg przekląłem to pole,
Spaliłem chatę, zwałem szałas,

* O dziwożonach sama powieść obszernie mówi, a zawsze na podstawie podania. Wiedziałem pod Łopuszną ich pieczarę od lat kilkunastu zawaloną kamieniami.

²⁶ *nie Iza* — nie można, nie należało.

²⁷ Niedaleko Łopusznej leży Mała Góra o wysokości 629,8 m n.p.m. Według miejscowej legendy znajduje się tam grota dziwożon. Przebywały one w miejscach zwanych Cypydela i Tforzowa Drapa. Tforz — gwarowa nazwa tchórza. Zob. przypis 3 na s. 143.

²⁸ W obu rękopisach i „Ziewonii” występuje tu wyraz „przód”.

²⁹ *gumno* — budynek, w którym składowano zboże przed młóceniem.

I, tak jak stałem, puściłem się w lasy.
Myślałem sobie: ha! jak zbójca, może
Między halami głową gdzie nałożę.
A jednak żyję! A po co? o Boże!
Tak się rozwodził Janosz w słowach rzewnych,
Złamane ręce spartłszy na kolana:
— Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
Do ojcowizny. Idź, idź na sobótkę!
Ciągłe coś szepce. — Pójdę na sobótkę —
Rzekłem — Haj!* pójdę, zobaczę raz jeszcze
Swoją polanę, zręby³⁰ swojej budki,
Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
Może tam Kasię znajdę i popieszczę.
Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
Czy bliskie szczęście, czy śmierć niedaleka!

Zachód mdlej coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni odbłask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chrust suchy,
Czterech górali głównię rozżarzyli,
Rozkołysali, chrustem upowili³¹,
Podęli razem silnymi podmuchy.
Grają płomyki, jak żądła węzowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki.
Nagle rozjadły³² ogień wznosi głowę,

* Haj! u góralów słowo twierdzenia: Tak, tak jest!

³⁰ *zrąb* — ściany budowli. Janosz ma na myśli resztki ścian pozostałe po spaleniu chaty.

³¹ *upowić* — otulić, okrzęcić, spowić w coś.

³² *rozjadły* — rozwścieczony, rozjątrzony.

Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
Na niższych zrazu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary.
A jad pod korę zapuszcza tymczasem!
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi
I już panuje całej okolicy.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski,
Na bór, daleko, spadła ćmów³³ zasłona;
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosom,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki³⁴,
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca sobótki.
Zaślniały widzom źrenice ciekawsze,
Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia;
Westchnął, podumał, i rzecze z westchnienia:
— Hej! hej! dlaczegoż ja nie ten sam zawsze?
Ażebym dzisiaj, o moja rodzinio!

* Niektóre z tych narzędzi dotąd się znajdują między góralami, innych używanie przeminęło; alem je wprowadziłem, bo myślałem o wieku XIII; a wprowadziłem je podług ich opisu z dawniejszych czasów; i tak: dudami zwała się wprawiona dudka w skórzany mieśzek, który dla wydania głosu przyciskał się pod pachą. Kobza, rodzaj gitary, z kilką drucianymi strunami; fujarka, piszczałka pasterska, flet, dmie się w otwór u wierzchu, fletnia, z boku; gęśl tylko pozwoliłem sobie wyobrazić taką, jak ją dziś widzujemy.

³³ *ćma* — ciemność.

³⁴ Gęśl — ludowe skrzypki. Kobza — tę nazwę oprócz dud nosi także ukraiński, kilku-strunowy instrument szarpany.

I ja ze swoją wystąpił piosenką. —
Zgrzytnął: — O, bodaj wieczną cierpiał męką,
Kto potępienia mego jest przyczyną!
Niech wieczne wieki piekło łzami gasi,
I nigdy łaski niebieskiej nie zyska,
Jak ja nie mogę bez mej lubej Kasi
Do góralskiego przysiąc się ogniska!
Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
Zaświadczy jemu łza, co z ocz pociekła.
Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli;
A, choć słyszeli, to nie rozumieli —
Jakby to można przez jedną dziewczynę
Za życie zbójcy oddać swą dziedzinę —
I jednym smutkiem, smutkiem po kobiecie,
Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
Jak rozkochani w stos patrzali oni;
I Janosz, gorzką łzę z lica otarłszy,
Za tancerzami weselszy wzrok goni.

Szerzej i jaśniej, płaszcz ognia monarszy,
Przejrzyste poły wokoło rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce —
Głos ich poważny, roztropna biesiada;
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
I czujne kondle³⁵ przy nich się układały.
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Półwidne kształty za kształtami lecą,
To ćmą, to blaskiem, jak płynącą falą.
Płaczą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika;
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

³⁵ *kondel* — kundel.

A wtem od starców głos o posłuchanie.
Kiczora mówi — głowa dawno siwa;
Zamożny gazda* na wielkiej polanie,
Co ku wschodowi w piękne niwy spływa,
Z góry przezwanej mianem jego rodu**.
We czci on wielkiej u swego narodu.
Na jego okrzyk błysnie, mówią ludzie,
Więcej wałaszek***³⁶ niż ma owiec w trzodzie.
Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta
A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
Jednak nikt dotąd nie postawi śmiało
Swojego barku³⁷ przed jego dłoń wprawną.
Raz Janoszowi tylko się udało
Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
Przysiągł oczyścić góry od tej zgrozy,
Napadł go w lesie i chciał wzięść³⁸ w powrozy.
— Dzieci! — zawołał — taniec ja wasz chwałę,
Chwałę te pieśni — ależ wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,
Wstyd zapominać swej ziemi w zabawie.
Znam wiele świata; widział ja za młodu
Niemale ludzi, niejedną opokę³⁹,

* Gazda, w dialekcie góralskim to samo, co u nas gospodarz, kmięć.

** Kiczora, góra łącząca Wyżnię z Kluczkami; pośrednia między obiema, co do wysokości, zowie się inaczej Ciaski.

*** Watażka, siekierka góralska, na długim drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się: zowią ją także ciupaga.

³⁶ Zob. przypis 96 na s. 64.

³⁷ W rękopisie *Sobótka* i „Ziewonii” — barku, w rękopisie *Kościeliska* — karku. Wasilewski w wydaniu z 1911 roku przyjął wariant z *Kościeliska*.

³⁸ *wzięść* — wziąć; dawna forma, obecnie uznawana za niepoprawną.

³⁹ *opoka* — skała. W wydaniu Wasilewskiego błędnie — epokę. Pomyłka prawdopodobnie powstała w drukarni, bo o ile rękopis *Sobótka* w tym miejscu jest trudny do odczytania (choć zapis jest bliższy o niż e), o tyle omawiany fragment rękopisu *Kościeliska* jest wyraźny, a Wasilewski niewątpliwie z rękopisu *Kościeliska* korzystał. W „Ziewonii” i wydaniu Brockhausa także: opokę. Goszczyński, choć czyni Kiczorę człowiekiem sędziwym, to jednak nie aż tak, aby przypisywać mu przeżycie niejednej epoki.

Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu^{*40},
Gdzie się już morze zaczyna głębokie;
Lecz nie ma nigdzie gór, jak nasze hale,
Ani góralów, jak nasi górale.
Owóż o halach zaśpiewajcie dzieci,
Na nutę, co to od skał nazad⁴¹ leci.
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie.
Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
I chętnie skłonni ku cichszej zabawie:
I ci, i owi zbiegli się w gromadę,
I, co by śpiewać, złożyli naradę.
Po krótkim gwarze rozwarło się koło:
Wyszły trzy dziewczki ze wstydu rumieńcem —
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło,
A gdy skończyły⁴² niedługą przegrywkę,
Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę^{**43}:

Strzeżcie się, o matki!
Tulcie wasze dziatki.
Pod okienkiem mara
O zdobyć się stara:
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,

* Przemysł i handel zawodzi górali w dalekie kraje.

** Powinienem raz na zawsze upewnić czytelników, że wszelkie podania, wyłożone w powieści, są wiernym przekładem podań, krążących pod Tatrami.

⁴⁰ Carogród — Konstantynopol.

⁴¹ *nazad* — z powrotem.

⁴² W obu rękopisach i „Ziewonii” występuje wyraz „skończyli”. Wydaje się jednak, że ta zmiana jest nieprzypadkowa.

⁴³ Zob. przypis ** na tej stronie; *wyłożony* — przedstawiony.

Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię
I zniknie zdradziecko.
O matko! strzeż dziecko —
Czyha dziwożona.

Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna
W zarosłej ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa;
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zanieś;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca
Jako dziwożona.

Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą^{*44};
Dla twego serduszka
Za družkę, za družka
Będą dziwożony.

Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary;
Jak Krywań wysoki,

* Jakie to ziele, które dziwożony bardzo lubią, o tym przekonać się nie mogłem.

⁴⁴ Słodyczka to *Polypodium vulgare*, czyli paprotka zwyczajna. Zbierały ją matki przed urodzeniem dziecka. W czasach, kiedy nie było smoczków, a cukier niedostępny ze względu na cenę, podawano dzieciom do ssania korzonek słodyczki.

Tak twój świat głęboki,
Skoroś dziwożoną⁴⁵.

Ucichły kobzy, ucichły i dudki,
A ledwo skonał dźwięk ostatniej zwrótki,
Gęśl zadzwoniła i śpiewanie dzikie
Złało się w cichszą i miłszą muzykę.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat dziwożon nawiedzić mogą.
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

Wszystkie tam wody⁴⁶ płyną kryształem;
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całem,
A z diamentu każde światółko.

Wielkie, pod niebo, są nasze skały;
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki jako kryształy —
A jak noc świeże bory i pasze.

Bo u dziwożon nasz się kraj kluje;
Bo u nich każdy zdrój się poczyrna,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje
Dzika, podziemna, lecz hał rodzina.

— Słyszycie? — Janosz rzekł do towarzyszy:
— Jaką tam gędźbę* wyprawują dziwy?⁴⁷
Słyszycie, bracia? — powtórzył strwożony.

* Gędźba, stary wyraz, to samo, co dziś muzyka.

⁴⁵ W rękopisie *Kościeliska* pieśń ma nieco odmienny kształt. W strofie czwartej występują największe różnice. Niestety, jeden wyraz jest nieczytelny, a i sens budzi wątpliwości. Pieśń nie ma tu ostatecznego kształtu, np. zamiast ostatnich dwóch wersów wspomnianej strofy występuje jeden, brzmiący: „Być ci dziwożoną”. Ostatni wers pieśni brzmi: „Już dziwożona”.

⁴⁶ W rękopisie *Kościeliska*: „Wszystkie potoki”.

⁴⁷ W wydaniu Brockhausea błędnie: „dziewy”.

I miał przyczynę: bo we wdzięcznej ciszy,
Która śpiew pieśni, podniosły się wrony
I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy —
Gacki* pisnęły, w gwałt huknęły sowy —
Ponurych wilków rozległo się wycie —
Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,
Jak żeby wichur przeleciał zimowy.
I echem śpiące szczeknęły parowy.
Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
A nie zmiarkuje, co ma trzymać o tem.
Słuch⁴⁸ to do drzewa, to na głąz położy;
Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
Nierad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;
Chce powstać z miejsca, ale nagle siada
I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
W cieniach zarośli, na granicach blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
Skał zrumienionych, jezior pałających
I ugwieżdżonej ogniami polany,
Powstaje wkoło widok półpodziemny;
Duch tam lub człowiek mignie na przemiany,
To duch półjasny, to człowiek półciemny.
Między pnie świerków, między cienia smugi,
Snują się gęsto postacie kobiece;
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice —
U czapek sterczą bezkwietne paprocie;
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;

* *gacek* — nietoperz.

⁴⁸ *słuch* — tu: uszy.

I tu, i owdzie badają ciekawie,
Niby nierade i rade zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie strasznego.
Wilki pod krzami⁴⁹ czają się gromadą —
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali;
Opodał węzów różnobarwe skręty.
Świeci odbłaskiem zwierciadlanej stali,
Większy nad inne, i cudnej piękności,
Wąż, co ma grzebień złocistej jasności —
Królem* on węzów zwany u górali.
A w większym mroku, widziadła człowiecze,
Na widmach końskich, mkną się lasem chyżo;
Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
Czasem nad brzegi lasu się przybliżą —
I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew śpilki⁵⁰.
Oko ich wąskie, jako ślad iskierki.
I pierś, i głowa, jak w owcy kołtunach —
Gdzie się przybliżą, odezwą się wilki,
Sowa ciekawie zaziera⁵¹ przez świerki,
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy;
A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
Nieżywa głowa** skacze w ślad za niemi:
Z okiem rozwartym, z ustami ściętymi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy.
To długie włosy, jak skrzydła, roztoczy,

* Podług górali, wąż ten istnieje rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnej piękności, a na głowie grzebyk, do korony podobny. Napastowany wydaje gwizd donośny, a tysiące węzów przybywa mu na pomoc.

** Ta głowa bez reszty ciała, obrosła bardzo długimi włosami, błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

⁴⁹ kierz — krzak, krzaczek.

⁵⁰ śpilka — szpilka.

⁵¹ zazierać — patrzeć w głąb czegoś, spoglądać.

I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
To znów w skrzele długie włosy zwinie
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z podziemi jak z wody wyskoczy!
Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły,
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
Krewne spółczucie ludzie znajdowali;
Bo nie gardzili naówczas przyrodą —
Bo ją — jak matkę — znali i kochali.

Ścichła powoli dziwnych głosów walka;
A koło stosu powstał okrzyk: — Salka!
Salka nam teraz zaśpiewać powinna!
Na to wołanie wybiegła góralka,
Smukła jak jodła, niby sarna zwinna.
Żywe jej oko gra nurtem płomienia,
Śpiew jej słowiczy dzwoni od niechcienia,
A jednak skały zdaje się przeszywać,
A jednak światłem zdaje się rozlewać.
Cóż, gdy dla śpiewu strun gęśli poruszy?
Wtenczas myśl pieśni, smutna czy wesoła,
Wylana⁵² kształtem czarta lub anioła,
Porywa serce i tańczy po duszy.
Salka gęśl wzięła; przygrywek jej krótki;
Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:
— Cóż wam zaśpiewam? O chmurnej dolinie!^{*53}
I tak zaczęła, bez kobzy i dudki:

* Kościeliska Dolina ma dzisiejsze nazwisko dopiero od porażki Tatarów, wprzód więc inne mieć musiała; dowolnie nadałem jej miano: pochmurna, z przyczyn w pieśni wyłożonych. Ze źródła, o którym pieśń spomina, wypływa Dunajec Czarny.

⁵² W wydaniu Wasilewskiego, za „Ziewonią”: „wylata”, co raczej wydaje się niepotrzebną zmianą.

⁵³ Zob. przypis 75 na s. 61.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta —
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana,
Lecz na niej mgły gęste
I deszcze w niej częste.
Dolina często s płakana.

Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajca kolebie,
Panuje straszny duch potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za kroplę stąd biedną
Piekielne bezedno⁵⁴
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana;
W niej srebro, złoto jak śmiecie:
Nie złota duch patrzy;
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały,
Aż w głębię pójść skały —
I na strach mocną ma głowę,

⁵⁴ W rękopisie *Kościeliska*: „Weź mu kroplę jedną / A piekła bezedno”.

Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność⁵⁵,
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła⁵⁶,
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Gład pęka — Tatry drżą całe.

Cudnie śpiew dzwonił w zasłuchanym gronie;
Cudnie się błąkał echem rozbudzonem.
Same niebiosy przychylały skronie,
Rzęśniej gorzały licem ugwieżdżonem.
Ogień sobótki, jak południe, pała —
Na szczycie nieba północna drży zorza;
Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź hoża,
Poważnych starców rozmowa ustała.
I było chwilę, jakby śmierć powiała,
Jakby świat dumał północną modlitwą.
Tylko Janosza spojrzenie się rwało
Duszą, w spojrzeniu, w niepokoju całą —
Rwało, na duchów tajemniczą bitwę.
Kędy pod lasem, w przymroczonej łunie
Król węzów świetnie złoty grzebień jeży,
Tam — głębiej, potwór na koniu⁵⁷ się sunie,
Stanął, przez chwilę śledzi okiem węża,
Potem łuk bierze, naciąga i mierzy.
Wąż łeb podnosi, łeb w górę wypręża,
Połyska wieńcem i groźnie zasyczy.
A wtem u łuka struna zaskowyczy,
Strzała zniknęła, dumny wąż upada —

⁵⁵ W rękopisie *Kościeliska*: „Znajdzie nieśmiertelność”.

⁵⁶ W rękopisie *Kościeliska*: „Lecz poczwara wściekła”.

⁵⁷ W rękopisie *Kościeliska*: „potwór półkonny”.

Padając, świsnął: od onego⁵⁸ świstu,
Z drzew przełęcznionych leci chmura listu,
A zewsząd węzów i gadzin gromada,
Z liści, spod liści wysuwa się błyskiem,
Pnie się na konia, ze sykiem i piskiem,
Dosięga jeźdźca, chwytą w sto obręczy,
I wszystko razem w dół się obaliło.

Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod węzów mogiłą.
Pisk, jęk, gwizd, łoskot! Przykra to muzyka
Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszczą.
Dziewicze koło ciaśniej się zamyka,
Wstrzęśli się męże mimowolną dreszczą;
Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie;
Niepewne oczy w gęstwinę patrzyły:
Szelest się zbliża, z gęstwy trzej wybiegli;
Każdy na szczudle, jakie czasem służy
Tutejszym ludziom do prędszej podróży.
Radośnie klaśli ci, co ich postrzegli:
— To Ludek, Ludek! długo nam żądany!
— Haj! haj! — zawołał Ludek, syn Michała,
Z rodu Garoszków, pierwszy, gdzie są tany;
Rej wszem pieśniarzom, Podhalańcom chwała,
A młody dziedzic na miłą polanę,
Gdzie skały, Zamkiem Zakopańskim^{*59} zwane.
Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszej piosenki —

* Nieraz można między górami trafić na masę opok, wyobrażających w całości swojej obwarowane miejsce. Do rzędu takich zjawisk należą skały w Zakopanem, i z tego powodu Zamkiem Zakopańskim nazwane. U ich podnóża wytryska w kształcie kilkosążniowego wodospadu źródło Białego Dunajca.

⁵⁸ *onego* — tego.

⁵⁹ Zob. przypis 265 na s. 105.

Dziś setne śpiewać i sam składać umie.
Piszczałkę jego słysząc wśród tysiąca,
Piosenka jego tak w serce idąca,
Że starce nawet z łzami myślą o niej,
Że samo echo przeciąglej nią dzwoni.
Każdy rad, każdy słucha go ciekawie,
I on też chętnie przytomny zabawie,
Kędy za stare dzieje odśpiewane,
Łzy i oklaski może wzięść w zamianę.
Wszyscy w głos wielki witali go radzi:
— Cóż Ludek powie? Skąd ich* Bóg prowadzi?
Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
— Niech wam Bóg szczęści! — pomieszany powie:
— Ja wraz⁶⁰ z Maniowej**⁶¹. — Licho nam zagraża;
Tatar na nasze następuje zdrowie.
Bądźcie bacznymi. Na mocnym Czorsztynie,
Ode dni kilku, przez rozkaz starosty,
Kazano czuwać zamkowej drużynie;
Zawarto wszystkim i bramy, i mosty!
Starzy dumali; lecz młodzi górale,
Toporki w górę cisnęli zuchwale,
I zawołali: — Co? W halach Tatarzy?
Któż to na nasze hale się odważy?
Kto się odważy na te bory, głązy,
Na te topory, bodaj na te razy?
I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięście.
Ale Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
Do serc gorących to powiedział słowo:
— Powoli, dzieci! Wielkie to nieszczęście,

* U wielkiej części pokoleń słowiańskich zaimek użyty w trzeciej osobie liczby mnogiej znaczy uszanowanie dla tego, do kogo się odnosi. Górale służą za przykład tego.

** Ogromny garb tego nazwiska, w tymże paśmie, co Kluczki i Pieniny. Wieś Manio-wa leży niedaleko tej góry na drodze z Czorsztyna do Nowego Targu.

⁶⁰ *wraz* — tu: w tej chwili idę.

⁶¹ Obecnie nazwa wsi brzmi: Maniowy.

Ten dziki Tatar, brzydszy⁶² od szarańczy —
Już on nie dzisiaj, jak świat wielki, tańczy.
Kiedy z państw przegnał Kingę świątobliwą^{*63},
To i przez nasze wąwozy przejść zdoła!
— A czy z nich wyjdzie? — odparła młódź żywo;
— Bawmy się lepiej! — wołano dokoła —
Ludek też naszej pomoże ochocie.
Przy ich śpiewaniu⁶⁴ zapomnim o trwodze.
Ludku, śpiewajcie! — Pieśniarz był w kłopotcie,
Przystał na koniec: — Spieszno ja przechodzę;
Ale, co mogę, zostawię po drodze.
Strachem was witam, w strachu was porzucę,
O mnichu, bracia! o mnichu zanucę:

Gaśnie zachód na obłokach,
Gwiazdy łamią się w potokach;
Kwiaty zroszone do snu opadły;
Lasy ściemniałe dumać zasiadły;
Drzemie ziemia cicha,
Nic nie uśpi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry;
Łśni księżycem głąz ponury.
Próchno się ogniem umarłym błyszczycy⁶⁵,
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje,
Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy,
Po przepaściach, przez wąwozy;
Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką;
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczurką;

* Jest tu mowa o św. Kunegundzie, uciekającej przed Tatarami do Węgier.

⁶² W rękopisie *Kościeliska*: „Ten dziki Tatar; ten Tatar gorszy”.

⁶³ W wydaniu Brockhauza z 1870 roku błędnie: „Knigę”.

⁶⁴ W rękopisie *Kościeliska*: „Przy jego pieśniach”.

⁶⁵ W rękopisie *Kościeliska*: „Ogniem umarłym próchno się błyszczycy”. W wydaniu Wasilewskiego z 1911 roku błędnie: „umarłych”.

Z głazu, mchem wysłiznie,
Z wód, łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wąskiej jak włos rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni:
Gdzie nie pomyśl, zajdzie —
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy.
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potłum⁶⁶ to lichy, prosimy, Boże!
Mocą krzyża swego
Zasłoń nas od niego.

— Oj, dzieci! Z mnichem nie trzeba żartować! —
Rzekła Plewina, staruszka ostrożna:
— Kogo przydybie ta mara pobożna,
Lepiej by temu żmiję pocałować.
Spotkanie mnicha tego narobiło,
Że Janosz żyje, Bóg wie, po jakiemu!
— Jakże to było? Jakże to tam było?
Powiedźcie, matko; będziem radzi temu.
Tej całej sprawy niejedyn z nas nie wie.
— Ludek nam powie! — rzecze Salka żywa
— Oni go nieraz spominają w śpiewie —
Oni to znają. Niech Ludek zaśpiewa.
Na błagające spojrzenia dziewczyny,
Na zaklinanie skupionej drużyny,
Ludek, rad nie rad, ku ognisku wrócił,
I z wtórem kobzy tak znowu zanucił:

Ranna jaskółka na juhasów woła,
Pstrokacieją Wyżni boki.
Czego Wyżnia tak pstrokata?

Czy jaki wicher dmie w Gewont*⁶⁷ wysoki
I na sztuki go rozmiata?
To Janosz swój statek rozpuścił dokoła.
Dzwoni fujara i śpiewek na drzewa⁶⁸
Idzie górami w sto śpiewek;
Któż te cudne pieśni składa?
Czy za górami sto góralskich dziewczek
Stu góralom odpowiada — ?

Tu pieśniarz uciął; pod palcem kobziarza
Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.
Ze środka lasu wypadł wicher luty⁶⁹:
Wyrywa jodły, słupem liści tarza:
Płomienie stosu kręci wichru śrubą;
Mroczy polanę chmurą dymu grubą —
Każdy się tulił, wszyscy się pytali:
— Czym⁷⁰ struny pękły? Skąd ten wicher luty?
Czyście słyszeli, jak coś jękło w dali?
Byłoż to echo, kiedy pękły druty? —
Wszyscy pytają, a nikt nie odgadnie.
Lepiej to widzi Janosz ze swojemi:
Zaledwie wicher spod lasu wypadnie,
Jak przed godziną skoczył on od ziemi,
Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki,
Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:
— Czy wy widzicie, widzicie w kapturze?
Opryszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,
Potem po sobie z uśmiechem spojrzeli:
Bo nie widzieli, tylko wielką burzę,
Tylko słup wichru, co liściami toczy —

* Gewont, góra uderzająca kształtem nagiej ściany, leży między Zakopanem a Kościeliskiem.

⁶⁷ Zob. przypis 69 na s. 60.

⁶⁸ W wydaniu Brockhauza z 1870 roku błędnie: „dziwa”.

⁶⁹ *luty* — zimny, mroźny.

⁷⁰ *czym* — dlaczego.

To nie ma dziwu, że się w duchu śmieli.
Janosz umilknął; drżały w piersiach słowa;
Oczy w słup stały, zawsze w jedną stronę;
Widziadło stąpa, liściem otulone;
Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
Na piersiach leży długa broda siwa,
A trupia głowa siedzi na ramieniu.
Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu:
Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
Leci ćmą w ogień, uderza piorunem,
I stos rozwała; widziadło brodacza
Stos rozburzony poważnie przekracza,
Wlecze za sobą dym i skry całunem,
I burzą coraz dalszą w lasach znika.
Wszystko ucichło, Janosz się odcyka⁷¹,
Jak po śnie strasznym; przeciera powiekę,
Niepewnie w okrąg poziera i słucha,
I sam do siebie przemawia po cichu:
— Czyż to ty byłeś? ty, nieszczęsny mnichu?
Ciebież widziałem? Haj, widziałem ducha.
Nieszczęście niesie! bliskie czy dalekie!
Biada nam! komu? mnie czy im? Pobiegę,
Polecę do nich, zawołam, ostrzegę,
Niech do dom idą, niech będą gotowi.
A będąż wierzyć? komu? opryszkowi?
Bajce o strachu? — Hej, Janoszu! w drogę,
Tu niebezpieczno. — Czekajcie! Nie mogę,
Nie mogę odejść! Ich tutaj coś spotka,
A spólna dola, zawsze, zawsze słodka!
Usiadł i czeka, niechaj, co chce, będzie.

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie.
Straszny to wichur, ale wždy⁷² przeminął.

⁷¹ *odcykać się, odcknąć się* — ocknąć się.

⁷² *wždy, wždy* — jednak, wreszcie, w końcu.

Stos gore znowu. Gdzież to Ludek zginął?
Czy nie ze sobą burza go porwała?
— Gdzież tam! — ktoś woła — gracz to syn Michała!
On rad, że wreszcie od was się wywinął.
Zaledwo wicher ognisko rozmiotął;
On się na szczudłach co żywiej wydzwigał,
Aż zatrzeszczało, tak dalej pośmigał,
Zawołał: — Reta!* — a pewno chichotał.
— Niech sobie lecą na szyi złamanie;
Jakoś i bez nich będziem mieć śpiewanie —
Zawoła Salka: — Niechaj lecą sobie,
Ja wam na oko, jak tam było, zrobię.
Wy też, Magiera, świadom rzeczy całej.
Ja będę Kasią — i wedle tej skały
Będę zawodzić i jagody zrywać,
A wy, Magiera, pod bukiem usiądźcie,
Będziemy sobie wzajem przyśpiewywać.
A wy, Nasieka, starym mnichem bądźcie.
Skrójcie się w gąszczu i, jak strach na Kasię,
Wpadnijcie na mnie — ja powiem o czasie.
No, pamiętajcież! — I w zaroślach ginie.
Antosz Nasieka w gunię się ubiera,
Jak w kaptur mniszy — i siada w gęstwinie,
A spod bucyny tak nuci Magiera:

Co bym ja dał! co bym ja dał!
Żebym we dnie i we mroku,
O zachodzie i o świcie,
Żebym całe, całe życie
Miał cię, Kasiu, przy swym boku.
Pół mej trzody ja bym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
A za drzewami dziewczę się odzywa:

* Reta, to samo, co gwałtu, wyraz ludu polskiego.

Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoję.

Co bym ja dał! co bym ja dał!
Żebym twoje piersi białe,
Jako wzgórki uśnieżone,
A jak puszek wypieszczone,
Mógł dotykać życie całe.
Ja bym ci polanę dał!

Śpiewak znów ucichł i przygrywa w dudy,
A dziewczę z gęstwy nuci jako wprzód:

Miej dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoję.

Co bym ja dał! co bym ja dał!
Żebyś u tego zarzewia,
Na to łóżko, jak w kolebkę,
Złożyć chciała ciało gibkie,
Jako pręcik kosodrzewia^{*73}.
Ja bym siebie tobie dał!

Długo śpiew krąży po przestworzu cichem,
Aż do gęstwiny leci głos ze śmiechem:

Nie chcę trzody, nie chcę pola,
A twoja bądź wola.

Pieśń się skończyła; starzy lubowali,
Młodzież to piosnkę, to pieśniarkę chwali;
Wszyscy czekają, co nastąpi dalej.
Ot! i mnich wreszcie podnosi się, mruczy.
Nagle dokoła zatętni, zahuczy;
Salka wypada, krzyczy, co tchu staje,

* Kosodrzew, rodzaj krzaczastej sosny. Rośnie w najwyższych roślinnych strefach.
Ściele się po ziemi tak gęsto, prętami tak giętkimi, że, jak w sieć, można się weń uwikłać.

⁷³ Zob. przypis 19 na s. 50.

Utraca siły i mdleje śród drogi.
— Dobrze udaje! — krzyczą — jak udaje!
Ale wnet radość wrzasła gwarem trwogi:
Stęknęły głązy, trzasnęły konary,
I jezdne zewsząd suną się poczwary;
Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
I nakrywają góralów strzał chmurą.
— Tatarzy, przebóg! — zagrzmiął głos Kiczory.
Wałaszki w rękę! do góry topory!
Górale do mnie! kto zdolny na opór.
Za mnie tu! za mnie, kobiety i starzy!
Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaśwista,
Wypuści w górę, jak głównię, swój topór.
Półkolem obok staje młódź barczysta,
A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy,
Po owczych kudłach otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.

Fragmenty zaczętych pieśni *Kościeliska*¹, zamieszczone w wydaniu Zygmunta Wasilewskiego

Nie masz, jak są nasze Tatry,
Nie ma nad naszych górali:
Nogi polotne jak wiatry,
Ciała twarde jak ze stali.
Naszych górali omijaj z ostrożna,
Z naszych góralek wodę by pić można;
Piersi bielutkie jak śniegi Krywania,
A kibić piękna jak pręt kosodrzewu.

Narada dziwożon

Między górami noc padła głęboka
I nasadziła strachów po parowach.
Tam z drzew wygląda, jak starzec, opoka,

¹ *Sobótka* pierwotnie miała być częścią składową obszerniejszego poematu pt. *Kościelisko*. Z pozostałych po Goszczyńskim papierów, gdzie przechowały się notaty i porozpoczynane urywki różnych pieśni tego poematu, wnosić można, że poeta roztoczyć chciał w fantastycznych obrazach na tle Tatr ważniejsze momenty dziejów Polski. *Sobótka* należy, jako wstawka, do pieśni o zdobyciu Sącza przez Szwedów. Zebrany w Kościelisku góralom Kobziarz opowiada dzieje dawniejsze o najściu Tatarów. Fragmenty tu podane są urywkami z dalszych części poematu, który nigdy nie był wykończony. Znaleziony w papierach pośmiertnych plan szkicowy całego poematu podajemy na końcu tomu między wariantami [przypis Z. Wasilewskiego].

W niniejszym wydaniu plan poematu znajduje się na s. 154—160. Wasilewski ozna-

Suchy świerk sterczy, niby Kościeliska,
Jak co żywego, skacze liść pod nogą,
Tylko robaczek świeci nade drogą,
Tylko gwiazdeczka między liśćmi błyska.
Nad wsią Łopuszną, nad Łopuszną rzeką
Garbi się góra, Małogóra² zwana:
W jej drapie³ jama — widać ją daleko —
W krzaki jałowcu, w siwy głąz odziana,
Lube i stałe dziwożon mieszkanie.
A dziwożony potężne są panie:
Kraj się ich ciągnie popod⁴ całe hale,
W ich mocy skarby, co je ma hal łono;
Podziemne domy w marmurach, w kryształach,
Rozlicznych kruszców ozdobami płoną,
Całe tam skały, jak na wierzchu ziemi,
Stoją ukute ze srebra i złota —
Jak tu na ziemi, stoją ich osady,
I dróg tysiące bieży między niemi,
A od nich tysiąc drzwi na światło ziemi.
Gdybyś ty poszedł do której pieczary
I zapaść w głębie był dosyć szczęśliwy,
To własnym okiem ujrziałbyś te dziwy.
Czasem tam paproć zasłania czczość⁵ szpary,
I szparka tobie zda się bardzo mała —
Czasem nieznacznie leży z boku skała,
Czasem napotkasz na kształt lisiej jamy;
Niechby Bóg pomógł przebyć te przeszkody,
A wszedłbyś nagle pod olbrzymie bramy,
W nieobejrzane podziemne przechody,
Stanąłbyś nagle w dziwożon dziedzinie.
Nie zawsze ciemne więżą je jaskinie:
Na światło słońca wychodzą niekiedy

² Zob. przypis 27, s. 120.

³ *drapa* — tu: spadzisty bok góry.

⁴ Zob. przypis 22, s. 50.

⁵ *czczość* — tu: pustka.

Dla dobra ludzi, najczęściej dla biedy.
O piękność rodu swojego troskliwie,
Czatuja pilnie, gdzie są położnice,
By zmienić dziecię za piękne — płacziwe;
Dorośle nawet chwytają dziewice.
O swoje skarby nad wszystko się boją.
Nieraz spuszczone przez nie wody zdroje
Zalały długie górników roboty;
A niech Bóg strzeże od ich mściwej psoty,
Jaką wyprawia, gdyby kto był śmiały
Ruszyć, co one pod swą moc zabrały!
Stań między nimi, a zadrżysz z przestachu,
Jaki skwierk⁶ słysząc w ich podziemnym gmachu,
W wielkim podziemiu, w głębi Małogóry,
Gdzie iskry światła nie zna cień ponury,
Chyba dziwożon oczy nietoperze,
Gdzie nigdy wiatry nie zawiąły świeże,
W odwiecznych ścianach uroszonej skały
Liczne dziwożon gromady siedziały.
Na naszym świecie była noc na schyłku,
A dla nich pora nocnego posiłku:
Siedziały w kupkach⁷ i słodyczkę jadły,
Kiedy się nagle od otworu strony
Dał słyszeć hałas, jakby grzmot dławiony,
I towarzyszeki pomieszane wpadły.
— Biada nam, siostry! Biada towarzysze! —
Krzyknęły tłumnie swojej płci zwyczajem —
Oto w tej chwili jakowis przybysze,
Odmienni mową, dalecy stąd krajem,
Ważą się gwałcić macierzystą ziemię,
Przyszli wygubić rodzime nam plemię.
Która chce widzieć, niechaj się potrudzi,
Co tam pobili najmilszych nam ludzi,

⁶ *skwierk* — lament, narzekanie.

⁷ *kupki* — grupki.

Jak nasze ciche państwo zaburzyli,
Nas pobudzili grzmotem swoich gromów,
Nakładli trupów blisko naszych domów,
Nam najpiękniejsze łąki krwią splamili;
Cośmy nasiali, cośmy zbierać mieli,
Wszystko końskimi kopytami ścięli!
Niwcą wszystko, wdzierają się wszędzie!
Gdzież się podziało nasze panowanie?
Z naszymi skarby co się dalej stanie?
Z nami, o siostry, cóż to dalej będzie?
I pojedyńczo⁸, i tłumne odgłosy
Długo się, długo przeraźliwie darły;
One by mogły przedrzeć niebiosy⁹,
Gdyby ich wieczne skały nie zawarły.
Zebrać się w radę stanęła uchwała;
Jak się toczyła, jaki skutek miała,
Tego nikt z ludzi świata nie odkryje,
Bo też tam ucho nie sięgnie niczyje.
Tylko na końcu okrzyk był słyszany:
— Biada przybyszom dalekiej krainy,
Co śmieli napaść nasz lud ukochany,
Co się łakomią na nasze dziedziny!
Biada przybyszom! — Jeszcze raz krzyknęli
I w różne strony z wrzaskiem polecili.

Janosz i dziwożona

A w głębiach ścichło, jakiś czas dźwięczało,
Jak w uchu, kiedy bliski piorun strzeli.
Dźwięk zakrętami podziemia przepływa,
W setne zasklepy¹⁰ głucho się rozprasza,

⁸ Zob. przypis 34, s. 52.

⁹ Prawdopodobnie błędnie odczytany autograf przez Wasilewskiego — brak jednej sylaby w wersji.

¹⁰ *zasklep* — sklepienie, pieczara.

¹⁰ Mój skarb...

Dochodzi jamy, gdzie Garasz¹¹ spoczywa,
I bije w ucho śpiącego Garasza.
Budzi się ze snu, patrzy rozespany —
Kobieca postać przy nogach mu stoi.
Przeciera oko: czy wino się roi,
Czy senna mara, czy cienia bałwany?
A blask ogniska na nią właśnie pada.
Ubiór — jak ubiór góralskiej dziewczyny,
Włos czarny w długie skręty się układa,
Na głowie miała czerwoną czapeczkę,
A na czapeczce wieniec z florecyny¹².
Garasz się dziwi, ale, patrząc lepiej,
Porwie się, oczy obłąkane wlepi
I, głos podnosząc, wykrzyknie: — To ona!
Kaśka, ach, moja! Umarła czy żywa?
I z rozpostartym objęciem się zrywa
I leci ku niej, czy z piekła, czy z nieba.
Ale kochanka szybko go odpycha,
Z lekka odskoczy: — Cyt! — przemawia z cicha —
O nie, nie — rzecze — wprzód pogadać trzeba,
Wprzód pomówimy. Już ja nie ta sama,
Już nie ta sama i ty nie ten samy!
Twoim dziś domem rozbójnicza jama,
My się dopiero na nowo poznamy!
— Kasiu, ty nie znasz, nie kochasz Garasza?
Zdumiony Garasz w półgniewie zapyta.
— Nie wiem — odpowie zjawiona kobieta.
Co było kiedyś, to się śniło tylko,

¹¹ Pieśń ta powstała widocznie przed *Sobótką*, bo imię Janosza nie jest tu jeszcze ustalone. Tutaj figuruje ono jako Garasz [przypis Z. Wasilewskiego].

¹² *Florecyna, ferecyna, florencyna, florcyzna* to ludowe nazwy roślin należących do podgromady paprotników — *Filices*. W *Dzienniku podróży do Tatrów* Goszczyński przytacza podanie, mówiące, że florecyna jest podobna do paproci, ma drobniejsze od niej listki i zakwita tylko raz w roku, o północy w Wigilię Bożego Narodzenia. Aby z niej czerpać korzyści, należy ją zdobyć, nie wiedząc o tym (S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów*. Petersburg 1853, s. 87).

To sen dla mojej dzisiejszej przyrody¹³;
Teraz się może zacząć miłość nasza.
Lecz po cóż w długie wdawać się wywody?
Ja dziś dla ludzi jestem dziwożoną;
Mnie mimowolnie porwano, zmieniono...
Ale, człowieku, co z tobą się stało?
Gdzie twoja chata, gdzie twoje koszary?
Gdzieś twą majątność przemarnował całą?
Straszysz po nocach, podobny do mary —
Jak zwierz rozbijasz po twojej dziedzinie,
Niewinnych ludzi krew po tobie płynie —
Wieleż ócz trupich patrzy z twego oka!
Dusza — jak piekło, serce — jak opoka!
Boisz się równo i światła, i nocy,
Nie masz pociechy na ziemi i w niebie,
Jeszcze urągasz i sióstr moich mocy!
Kto ci pozwolił do snu tej pieczary?
Za to, Garaszu, przyszedłam skarać ciebie.
A krew Garasza, jak rozdęte żary,
Podniosła serce, oczy zaiskrzyła:
— Szalona dziewko, ja bym twojej kary
Miał się obawiać? Nie twoja to siła!
Sprawdź tu jeszcze wszystkie siostry twoje
I tak sam jeden jeszcze wam dostoję!¹⁴
— O, jakie męstwo bić się z kobietami! —
Odpowiedziała smutnie dziwożona. —
Idź, gdzie Suderman¹⁵ wita piorunami,
Nie daj mu szarpać twej rodziny łona!
Wtedy, pozwalam, będziesz się przechwalał...

¹³ *przyroda* — także czyjeś cechy, istota kogoś. Życie było snem dla obecnej istoty, obecnego charakteru Kasi.

¹⁴ *dostać* — tu: dorównać.

¹⁵ *Suderman* — tu: Szwed (w znaczeniu: Szwedzi). Nazwa wiąże się z Sudermanią i jej władcą — Karolem Sudermańskim (1550–1611), późniejszym królem szwedzkim. Karol dążył do opanowania Inflant, czemu częściowo przeszkodziło zwycięstwo Jana Karola Chodkiewicza pod Kircholmem.

I cichy, niemy płacz resztę słów zalał.
— Lecz twoje szczęście być puchaczem lasów,
A męstwo — łupić bezbronnych juhasów.
Nie tak, Garaszu, nie tak ciebie znałam,
Nie taki byłeś, kiedy cię kochałam!
— Ha, teraz wierzę, żeś dawną kobietą,
Teraz przyjmuję twoje ukaranie.
Oto chcesz widzieć moją pierś przebitą?
Patrz więc! — I noża zza pasa dostanie —
Lecz dziwożona, pełna pomieszania,
Leci i sobą jego pierś zasłania.
O, nie! To nie dość umrzeć śmiało z żalem!
Nie takiej żądam od ciebie pokuty!
Cała twa kara — być dobrym góralem.
— Czegóż chcesz po mnie? Pójść na Sudermany?
Pójdę natychmiast i moich zabiorę.
Niechaj tam na nas całe piekło gore,
Niech w pierwszym kroku padnę, cały skłuty,
Pójdę natychmiast, tyś mi świadkiem, Boże,
Jeśli to kara i złączyć nas może!
Błysły radością oczy dziwożony,
Szyję Garasza objęła goręcej:
— Teraz mi, teraz przeszły świat wrócony!
Znów się kochamy: nie żądam nic więcej.
Ni tyle nawet nie pójdziesz na wroga,
Tylko twą czeladź góralom pošlemy;
Na Zamku Turniów¹⁶ jutro się ujrzymy,
A dzisiaj — bądź zdrow; każda chwila droga.

¹⁶ Zamkami nazywane bywają pionowe, spadziste turnie, w rodzaju słupów. W *Dzienniku podróży do Tatrów* Goszczyński pisał o Zakopańskim Zamku, czyli Kałackiej Turni, która znajduje się w Dolinie Bystrej. Górale tatrzańskimi zamkami nazywają także miejsca bezpieczne, gdzie można się schronić przed niekorzystnymi zjawiskami przyrodniczymi lub ludźmi. Być może Goszczyński ma tu na myśli Raptawicką Turnię lub — co mniej prawdopodobne — turnie Saturn czy Ratusz. Raptawicka Turnia mogła kojarzyć się z zamkiem (być może tę właśnie turnię wiązał z zamkiem Gromowida w *Odzie*) i znajdowała się nie-daleko źródła Czarnego Dunajca, za które wówczas uchodził wypływ spod Skały Pisanej.

I od radości rękami klasnęła.
— Ach, jakie szczęście, jaka dla mnie chwała!
A Garasz, wesół szczęściem tajemniczem,
Patrzył w kochankę i długo, i czule.
— I cóż, ta radość skończy się na niczem?
Ty nie scałujesz, ja cię nie przytulę?
— Dobrze, Garaszu — dziwożona rzekła,
Ale mi wprzód na wszystko przysięsz,
Że kiedy zechcę, pójdziesz aż do piekła!
— Na co przysięgi? Jak żadną przysięgą,
Pocałowaniem na zawsze mnie zwiążesz.
— A więc cię wiąże w tym pocałowaniu
Wielką, tajemną dziwożon potęgą.
A na znak tego noś moją roślinę!
I florecynę w czapkę mu wetknęła,
Mocny całusek do ust przycisnęła.
— Na Zamkach Turniów, pamiętaj, o świcie! —
Rzekła i wiatrem wionęła w szczelinę.

Mnich

Ha — ha! Kto jestem — mnich odpowiada —
Každy od razu z moich ócz wybada!
A strasznie patrzył upiora żrenicą.
Kto jestem, to mnie dzisiaj tajemnicą...
Mój zakon dziwny, mój klasztor wspaniały!
Jam jest... — i wskazał na tatrzańskie skały.
Kiedy się podniósł, nie pamięta ziemia.
W wielkim ołtarzu orzeł się rozplenia,
Po jego gzymsach kozioł rogi czepia;
Kiedy dzień zniknie, to go noc zasklepia,
Kiedy noc widna, to on oświetlony:
Ogromna lampa, światel miliony.
Kiedy noc zniknie, wszystkie świece gasną,
Za to ogromne, a jedno je zmienia,

Jedno, ogromne, i bardzo z nim jasno.
Dziwne, nabożne usłyszysz tam pienia:
Po rozpadlinach, szczytach i załomach,
Jak wieczne chóry wieczny wicher śpiewa,
Jak na organach gra obłok na gromach,
Niebieską wodą pokrapia ulewa,
A ja, okryty wieczną tajemnicą,
Ubrany w habit, z tą, ot, księgą duszą
Siedzę nad ciemną moją kropielnicą,
Gram z piorunami, śpiewam sobie z burzą,
Widzę świat z góry i śmieję się z cicha,
Gdy mówią: patrzcie na skalnego mnicha —
Bo ja zakonnic jestem kapelanem.

Tatry

Ziemia, księżycą światłem osrebrzona,
Leżała nago pod niebios błękitem,
Jakby miłosnym ogniem rozpalona,
I nie taiła wdzięków swego łona.
A święte Tatry, jako nocy gmachy,
Nieporuszone czerniały w błękitach,
I srebrne wody, jako srebrne blachy,
Snuły się w krętych, świecących korytach.

.....
Co to za góra, co stoi osobno?
To garb¹⁷... Widzę, jak się zgina;
Całych on wieków ciężar dźwigać musi,
Każdy rok nowym lodem go przydusi.
Czasem się wstrząśnie, aż runie lawina,
Czasem spotnieje, biedak spracowany,
A wtedy staną tak gęste tumany,

¹⁷ Być może Goszczyński ma na myśli Kominiarski Wierch, którego zarys przypomina garb, lub Osobitą, która wyrasta samotnie.

Że orzeł w miejscu, jak leciał, tak stoi,
Że kozioł kroku posunąć się boi,
Ale zuchwalec człowieczego rodu
Ginie z długiego i zimna, i głodu.
— A tenże dalszy i równy pierwszemu,
Co to jak schody prowadzą ku niemu?
— To..... a to jego palce.
W wiecznej z chmurami zostaje on walce;
Niech tylko która przybliży tam łono,
Olbrzymie palce natychmiast w niej toną
I bez litości szarpią je i porą¹⁸,
Aż krew dżdżu wyżmą, by członki olbrzymie
Góry nasycić, a zmarła na poły,
Omdlała chmura opada w rozdoły,
Lub, jak martwica, rozlewa się w dymie.

.....
A tej nazwisko — patrz ku zachodowi —
Co tak rozparta i na wierzchu chmury?
Przeklęta Baba¹⁹, nad wszystkie złośnica,
Matka niepogód!
Chciałaby rządzić okolicą całą,
Choć jedna z mniejszych. Biada tej krainie,
Skoro się w czepek z obłoku owinie!
Będzie płacz złości, co grozi nawałą.

.....
Tam, na południe, tam, gdzie księżyc błądy
Te srebrne blaski rozpostarł tak cudnie
Po nagich turniach — masz Giewontu²⁰ ścianę.
Z obu stron, spodem, biegą na południe
Piękne doliny, mało komu znane:
Tam w cieniu borów, pośród opok żłobu
Płyną Dunajec i Czarny, i Biały,

¹⁸ *próć, pruć* — pruć, rozdzierać, rozszarpać.

¹⁹ Babia Góra, szczyt w Beskidach Zachodnich.

²⁰ Forma „Giewont” pochodzi zapewne od wydawcy — Z. Wasilewskiego. Goszczyński zawsze stosował zapis „Gewont”.

Czarny tam z dalszej. Masz tu łoże obu;
Droga w doliny ponad obydwoma,
Nad Czarnym lepsza i lepiej wiadoma.
Druga, bliższa — gorsza,
Lecz, kto się skrada, dla tego jedyna.
Jest tu — już węższa, już szersza dolina,
Przez dunajcowe przerżnięta koryto.
Mieszkań, szałasów, ciągle, jak nabito,
A z lewej, z prawej, jak cieśnina duża,
Zarosłe bory i ogromne wzgórza.

Urywki

Już nadchodziła jasna chwila świtu,
Ale świat we mgłach wyglądał pochmurnie;
Chmury się wiły u Ornaku²¹ szczytu,
W chmurach się kryły groźne Smytni turnie²²,
W chmurach staw Smreczyn²³ rozdrzemany leżał,
W chmurach podwójny potok Pysznej²⁴ biegał —
Na ziemi, niebie, na dole, wyżynie
Mgła i spokojność na całej dolinie.

Do jaskini otwór ciemny, wąski —
Jaskinia była w marmurowej skale;
Świerk tam w zasłonę rozwiesił gałązki
I jarzębiny płoną tam korale.
Listek poziomki jagódkę piastuje,
A gład granitu przy progu wartuje.

²¹ Ornak w Dolinie Kościeliskiej. Zob. przypisy: 57 na s. 58, 73 na s. 60, 84 na s. 62.
W wydaniu Wasilewskiego — „Ornuka”.

²² Smytniańskie Turnie w Dolinie Kościeliskiej. W wydaniu Wasilewskiego błędnie „Smytin”.

²³ Smreczyński Staw, leżący w pobliżu Hali Ornak. Zob. przypis 56 na s. 58. Być może Wasilewski wprowadził tu formę, której Goszczyński nie używał: „Smreczyn”, choć w pozostałych tekstach nie dokonywał takich zmian.

²⁴ Pyszniański Potok.

Komentarze do *Sobótki* i *Kościeliska*, zamieszczone w wydaniu Zygmunta Wasilewskiego

*Sobótka*¹

Przedmiot powieści, z której wyjęta jest niniejsza *Sobótka*, odnosi się do czasu napadów tatarskich za Bolesława Wstydliwego². Sama powieść opiera się na podaniu następującym. Część Tatarów, plądrujących Polskę, uderzyła na Tatry. Mieszkańcy ustępowali przed liczniejszym wrogiem aż do doliny, znanej dziś pod nazwiskiem Kościeliska. Skorzystali z położenia: osadzili góry, co ją otaczają, ludźmi i przygotowali na wierzchołkach kłody drzew i wielkie kamienie. Skoro zaślepieni Tatarzy weszli na dolinę, górale łatwo przecięli im odwrót, w jedynym, bardzo wąskim przystępie³, i w tejże chwili zaczęli na nich walić drzewa i głazy. Tatarzy tym sposobem do szczętu byli zniszczeni, a dolina od mnóstwa ich szkieletów (kościelisk) otrzymała na zawsze nazwisko Kościeliska, jakoby doliny szkieletów.

Ślady równej porażki widać jeszcze dzisiaj na dolinie zwanej Biała Woda⁴, leżącej pod Giewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska. W istocie, wielkie mnóstwo rozrzuconych po niej ludzkich kości daje do myślenia każdemu, kto by nie wierzył w powyższe podanie góralów.

¹ Wstęp do pierwszego wydania w „Ziewonii” z 1834 roku, przedrukowany przez Wasilewskiego i błędnie opatrzony datą: 1838. Wstępu tego Goszczyński nie wprowadził do wydania Brockhause z 1870 roku.

² Goszczyński się myli. Bolesław Wstydlivy panował w czasie drugiego najazdu tatarskiego, a poeta ma tu na myśli najazd trzeci.

³ *przystęp* — dopływ, dostęp, tu: w wąskim przewężeniu między stokami.

⁴ Dolina Białego.

Fragmenty zaczętych pieśni *Kościeliska*

Pierwotny plan „Kościeliska” według notatek znalezionych w papierach pośmiertnych

Wstęp⁵. Szwedzi są pod Nowym Sączem. Wieść o zdobyciu Sącza rozchodzi się wokoło i przeraża wszystkich. Na Kościeliskiej Dolinie zgromadzają się górale z trzodami. Nadchodzi wędrowny kobziarz z kilku śpiewakami; ugoszczają go pasterze, wypytują o Szwedach i nie kryją przestachu. Kobziarz za całą odpowiedź śpiewa im porażkę Tatarów w owych miejscach. Zaczyna się powieść od sobótek.

Kasia objawia się Janoszowi, kującemu grootę zbójców ponad Kościeliską Doliną⁶. Kasia jako topielica.

Mnich, powieszony od Tatarów i przeszyty stu strzałami, rozmawia z puchaczem wód Białki i przez niego zgromadza dziwożony do narady.

Charakter Kasi jako dziwożony: tajemniczy, dziwaczny, wietrzny i posępny. Przywiązanie do gór rodzinnych, gdzie ich (dziwożon) państwo podziemne. Dalekowidzenie. Kocha Janosza wspomnieniem swojej miłości za życia; kocha jak duch, jak ducha, i dlatego chce jego śmierci. Dziwni są kochankowie dziwożon, jako: mnich, król węzów, głowa upiora itd.

Janosz żegna Chmurną Dolinę, oczekując dziwożony, która go zaprowadzi do źródła Czarnego Dunajca.

Janosz wykuwa w pieczarze swojej okienko; przebił je na wylot, opatrzył⁷ cudowny z niego widok na Chmurną Dolinę i, zmordowany, usnął nad źródłem pieczary. Wtedy widmo kochanki. Janosz, jakby przeczuwając widzenie się z kochanką, bierze dawno zarzuconą dudkę, przygrywa chwilę, a potem zanucił piosenkę: Tam na Wyżni mój szafasek.

Na wieść zbliżania się Tatarów górale opuszczają swoje siedziby dla udania się w głębie gór z całym dobytkiem. Przy tym zachodzą rzewne sceny pożegnań z ukochanymi górami... W tym czasie zebranie się dziwożon pod ziemią. Cichość. Pieśń Salki brzmi w podziemiach, powtarzana

⁵ Określenia poszczególnych fragmentów planu są niejednolite — formy „wstęp”, „końiec części pierwszej” współistnieją z numerowanymi pieśniami.

⁶ Janosz zapewne, w wyobrażeniu Goszczyńskiego, wykuwał jaskinię Okna Zbójniczek Niżne. Zob. przypisy 78 i 79, s. 61.

⁷ opatrzyć — obejrzeć.

od echa. Pieśń ta rozrzewnia dziwożony i pobudza je do obrony góralów sposobami nadprzyrodzonymi. Narada i jej skutki.

Górale zbierają się przy kościółku św. Anny pod Nowym Targiem, gdzie im przewodniczy odwiecznym zwyczajem starosta kościelny.

Pieśń 2. Bitwa na Wyżni. Kiczora zgromadza góralów, staje na czele i dowodzi utarczką z Tatarami; tymczasem kobiety, dzieci i starcy gęstwami uciekają do wsi. Janosz gwizdaniem zgromadza 20 swoich i czeka wątpliwej chwili boju. Gdy ta nadeszła, rzuca się z boku na Tatarów, sprawia w nich ogromne zamieszanie i rzeź. Zostaje ranny kilku strzałami, ale Tatarzy ustępują, Kiczora także ranny. Kiczora posuwa się na Kluczki, tam staje obozem i daje stosowne do prowadzenia dalszej wojny rozporządzenia.

Pieśń 3. Narada dziwożon przy trupie węża. Dziwożony płaczą nad trupem węża, potem naradzają się o sposobach zemsty nad Tatarami. Staje na tym, jak się zemścić, i ubolewają, że nie mają dosyć siły do zemszczenia się. Wchodzi mnich. — Siostry, dosyć żałości. Niech każda do swoich uda się zatrudnień. O zemstę nie troszczcie się: jest ona złożona w moje ręce, ale wszystko musi pójść swoim porządkiem, przepisany przez najwyższego sędziego, a kara będzie pewniejsza. Teraz przestańcie płakać, bo jeszcze nieraz zapłakać wam przyjdzie, nim się rozradują wasze serca. Ja to wam powiadam. Najwyższy sędzia polecił wykonanie swojego wyroku względem napastników. Obejrzyjcie pobojobisko; kto ranny mniej niebezpiecznie, wyssijcie ranę, bo strzały tatarskie jadem są napuszczane, niech żyje. Młode dziewczki i dzieci zabierzcie ze sobą. A Dziwożona z Kramnicy⁸ niech weźmie na siebie ciało najpiękniejszej dziewczycy, jaka się znajdzie między trupami na pobojobisku, niech zajdzie jak najprędzej drogę Tatarom, którzy się błakają po lesie, i, udając ucieczkę przed nimi, zaprowadzi ich nad potok Puszydło⁹, ażeby się dostali w ręce Kiczory.

⁸ Kramnica — skała nad przełomem Białki. Takie mieszkanie dla dziwożony byłoby zapewne odpowiednie, jednak w dalszych fragmentach planu Goszczyński nazywa ją Kasią z Kramnicy, co sugeruje, że chodzi o wieś. Być może Goszczyński miał tu na myśli Nową Białą lub Krempachy. Osady te leżą niedaleko Kramnicy.

⁹ W wydaniu Wasilewskiego: Buszydło. Pomyłka wynika prawdopodobnie z niewłaściwego odczytania rękopisu, gdyż informacje na temat Łopusznej, jak się okazuje, Goszczyński miał nadzwyczaj skrupulatne. Potok Puszydło stanowi dopływ Łopuszanki na wysokości, leżącego pod Łopuszną, Zarębka Niżnego.

— Potężny duchu! Ty nasz pan, ty więcej wiesz od nas. Powiedz, jak to się skończy.

— Chciaż więcej wiem od was, tego jednak powiedzieć wam nie potrafię. Wiecie o tym, że człowiek ma wolę swoją, a ta ziemia i jej sprawy do niego należą. Koniec każdego dzieła od jego woli zależy. My, choć mu nie podlegamy, ale mu nie rozkazujemy; nam tylko zlecona opieka nad nim, a kierunek jego woli zostawił sobie Ten tylko, co go stworzył; do nas więc należy wszystko robić z korzyścią, do niego korzystać z naszej pracy, on odpowiada za swoje czyny, on też robi, co mu się podoba.

— Potężny duchu! Kasia z Łopuszyny¹⁰ w wielkiem utrapieniu. Powiedziatyśmy jej, że Janosz był na sobótce, a ona przyjść nie mogła na ziemię, bo jej dusza czystsza od naszych. Pięć razy dziewicza krew trysnęła z jej ciała, a ona domyśla się wielkiego nieszczęścia dla Janosza. — Niech się nie lęka. Janosz pięć razy był ranny, ale jest bezpieczny. Wyssano mu jad z ran, a towarzysze jego już go dawno ponieśli na Chmurną Dolinę. — Kasia chciałaby go widzieć, ale choć nie jest pod twoją władzą, nie może na siebie wdziać żadnego ciała, bo wszystkie są w twojej mocy. — Kasia go zobaczy. Pocieszcie ją; powiedzcie, że Janosza wielkie przeznaczenie, jeśli nie zejdzie z drogi, na którą wszedł wśród spotkania z Tatarami, jeżeli dusza jego utrzyma się do końca w tej wysokości, na jaką wtedy wyleciała. Powiedzcie Kasi, że ja sam więcej jej opowiem, bo wyrok najwyższy oddał ją na czas pod moją wolę. Czyście dobrze jej ciało zachowały? — Nie zmieniło się w niczym od chwili, jakśmy je zdjęli¹¹ z Kasi. — Bo go niebawem będzie potrzeba.

Nadlatuje głowa trupia: Cóż tam słyszać? Co tam widać? — Tatarzy pod Sączem podzielili się na dwie ordy, a obie różnymi drogami zmierzają ku Nowemu Targowi.

.....
Wielkie siły, wielkie niebezpieczeństwo. Za dni cztery niezawodnie już tu będą.

— Leć nazad, nie odstępuj ich na krok, a na posłańców możesz tych ptaków użyć! — I zawołał na drapieżne ptactwo, które okryły pobojowi-

¹⁰ Powinno być: Łopusznej.

¹¹ Być może autograf błędnie odczytany przez Wasilewskiego i zamiast „zdjęli” powinno być „zdjęły”.

ska i rozrywały ciała trupów. — Do mnie tu, do mnie, orły, sępy, wrony, kruki z najszybszymi skrzydłami, z najbystrzejszymi oczami! Porzućcie ten raz Wyżnię, lećcie za trupią głową, ona was zaprowadzi na obfitsze biesiady. Tatarzy tu ciągną. Krążcie nad nimi czarną chmurą, bo to wasza potrawa; mniejszymi stadami ulatujcie nad mniejszymi oddziałami, największe stado niech pilnuje głowy wodza, bądźcie czarnym sztandarem, po którym bym poznał każdy ruch Tatarów. A ty, trupia głowo, jak będziesz miała co ważnego donieść, przysyłaj jednego z tych ptaków do mnie.

A ty, Kasiu z Kramnicy, wybierz sobie ciało najpiękniejszej dziewczyny z ciał, co leżą na pobojoisku, ubierz się w nie i idź, hukając po lesie, ażeby zwabić Tatara, jeżeli jaki błąka się po lesie, i prowadź go na Kluczki, gdzie Kiczora koczuje ze swoją gromadą. A wciąż hukaj.

A wy, inne dziwożony, pamiętajcie, co wam zaleciłem, a śpieszcie się, bo górale przybędą tu wkrótce sprawić pogrzeb swoim.

Stało się wszystko podług jego słów. Ptaki pociągnęły za głową trupią jak za orłem skalnym, jak czarny ogon komety, z gwarem zwołując na wszystkie strony swoją rodzinę. Dziwożony poczęły się krzątać na pobojoisku, a mnich ku Kluczkom się udał.

Pieśń 4. Kluczki. Świta. Na Kluczkach stoi Kiczora z gromadą łopuszańską. Rozporządzenia, jakie poczynił Kiczora. Orężem po zabitych Tatarach ubrał część góralów. Wezwał z Łopusznej i ze wsi pobliskiej wszystką młodzież zdatną do boju. Kilka oddziałów posłał w różnych kierunkach na zwiady i wytępienie Tatarów, gdyby się gdzie pokazali rozproszeni. Wysłał także do starosty czorsztyńskiego, czy by w zamku nie mogli znaleźć przytułku ci mieszkańcy, którzy są do boju niezdatni. Do innych wsi rozesłał z wieścią o tym, co zaszło, z zastrzeżeniem, aby się mieli na baczności. Wszystko to po naradzie z mnichem. Nadto po górach słupy, oblane smołą, zaleca stawiać, ażeby ostrzegały o zbliżaniu się Tatarów. W czasie, kiedy Kiczora opowiada Cystersowi, co zrobił, słychać hukanie. Cysters radzi, aby wysłać kilkunastu ludzi do schwytania Tatarów. Zrobiono to. Tatarzy, przyprowadzeni i badani, wyznają, co wiedzą. — W skutku tego Cysters radzi, co poczynąć, a Tatarów każe odesłać do Nowego Targu, ażeby nowotarżanie dowiedzieli się od nich, czego się mają obawiać, i stosownie postąpili. Na koniec uchwalono pogrzeb poległych. Pogrzeb. Koniec części pierwszej.

Źródło Czarnego Dunajca. Janosz otrzymał na Wyżni kilka ciężkich ran, które mu nie pozwalają walczyć jawnym bojem z Tatarami. Na niego więc przypada obudzenie sił nadprzyrodzonych w pomoc cofającym się góralom: do tego potrzeba udać się aż do źródeł Czarnego Dunajca¹², skąd ma powstać wielka burza, ale życie musi stracić. Janosz przystaje na to.

Odbywa tę podróż pod przewodnictwem swojej kochanki. W tej podróży opisać całe podziemie, czyli krainę dziwożon i wszystkie tyczące się nadprzyrodzonych góralskich istot dziwy.

Wchodzą w miejsce, skąd się Dunajec po raz pierwszy wydobywa z ziemi. W tej drodze Kasia tłumaczy mu wszystkie tajemnice podziemia. Droga do Ducha jest prawdziwym labiryntem. Korzeń Łomnicy, Krywanu¹³ — Morskie Oko i źródło Białki — jaskinia mnicha, jego skała i powieść o nim. Pogrzeb króla wężów. Coraz wychodzą na jakiś szczyt i widzą poruszenia góralów, zmierzających ku dolinie, i skutek swojej podróży — burzę, gromadzącą się w miarę tego, jak się zbliżają do gmachu Ducha Dunajca.

Kasi pierwsze objawienie się jest w jej własnym ciele (bo duchy nie mogą pokazywać się i wchodzić w bezpośrednie stosunki z ciałami ludzkimi, tylko w postaci ludzkiej), wygląda więc jak trup, utopiony w całej swojej okropności. Pod postacią duchową widzi ją Janosz dopiero po swojej śmierci.

Przed śmiercią żegna się z towarzyszami i z górami, po czym odprawia swoich towarzyszy do obozu góralskiego.

Pożegnanie to przed drugim umówionym nadejściem Kasi. Trzydziestu towarzyszy dokoła, Janosz żegna góry, drzewa, ptaszki, kwiaty, odzywającą się dudkę, każe jeszcze raz odprawić tańce i biesiady, potem zaśpiewać zbójceją piosenkę; po czym całują go wszyscy w kolej, podnoszą płacz powszechny i odchodzą do góralskiego obozu.

W jaskini Dunajca odpoczęli w pierwszym ustępie¹⁴, bo Janosz czuł się coraz słabszym. Wstali. Kasia szła naprzód. Brnęli długo, długo wąskim

¹² Zob. przypis 100 na s. 65.

¹³ W wydaniu Wasilewskiego: Krywanu. Być może rękopis był niewyraźny lub Goszczyński przeoczył jedną literę. W wydaniu Brockhousa zawsze występuje zmiękczenie w tej nazwie.

¹⁴ *ustęp* — tu: komora, załom.

korytem przeciw pędowi wody; koryto zwężało się, rozszerzało po razy kilka; minęli kilka sklepień, aż przyszli do ogromnego podziemia; na środku jezioro, z boku pod ścianą łódka, a woda na jeziorze to wybuchała, to się kryła. Siedli na łódce i czekali, aż przepaść cmoknie; w tej chwili woda pochłonięła całą łódkę i wtedy Janosz zginął. Janosz, zalany wodą, utracił zmysły; kiedy się ocknął, zdziwiony był bardzo. Leżał wśród światłości i życia, jezioro było z podobnym wirem jak pierwsze, ale woda leciała do niego wodospadem; był to już świat dziwożon. Kasia jaśniała pięknnością, bo łódka z jej i Janosza ciałem odpłynęła na świat ziemski.

O, wielką przebyliśmy drogę; dzięki Bogu, wszystkie największe niebezpieczeństwa przeszły! Janosza rany zniknęły, czuł, jakby się dopiero narodził, tak był wolny od bólu, tak był rzeźwy, zdrowy i silny.

Janosz idzie z Kasią jako duch, nie wiedząc o tym, że już umarł (śmierć jego taka lekka, bo ginie dla swojej ojczyzny); stąd dziwi się, obejmując okiem daleko więcej i słuchem dalej sięgając niż kiedykolwiek: dla jakiej to przyczyny? Nie może jeszcze przenikać ziemi i innych materii, bo dusza po śmierci nie od razu, ale stopniami przychodzi do tej dzielności¹⁵, tym prędzej, im człowiek żył pocciwiej na ziemi.

Dowiaduje się o tym dopiero przy samym końcu powieści, po spełnieniu wszystkiego, co przyrzekł, po zwycięstwie góralów.

— Kasiu, moja Kasiu! o, dlaczegoż to się tak prędko skończyło? Nie nacieszyłem się tobą, a tu trzeba się znowu rozłączyć. Ja myślałem, że nie wyjdę żywy, o, bodajem¹⁶ był umarł.

— Janoszu, nie, my się już nie rozłączymy, już ty mój, a ja twoja na wieki.

— Jak to, ty wrócisz na ziemię, znowu ożyjesz?

— Ja na ziemię nie wrócę, ja nie ożyję znowu, ale ty już umarłeś.

— Ja już umarłem?

— Patrz, twoje ciało leży tam pod skałą.

— To ja umarłem, kiedy myślałem, że zasnął? Ach, nie wiedziałem, że śmierć tak lekka.

— Nie każdemu. Najlejsza temu, kto swoje życie kładzie za życie drugich. Dlatego, mój Janoszu, tak lekko umarłeś.

¹⁵ *dzielność* — także siła oddziaływania, moc.

¹⁶ *bodaj* — partykuła poprzedzająca zdania wyrażające życzenia.

- A moje zbójowanie, czy je Bóg przebaczył?
- Zabijałeś drugich, aleś umarł za drugich. Twoja dusza czysta; przebaczyły ci dusze tych, których pobiłeś.
- O, jakiż ja szczęśliwy, moja Kasiu!

Skarb Ducha

Niebylica^{*1}



* Ta powieść osnuta na wierze gminnej, według której posiadanie kwiatu paproci daje wiedzę duchową wszystkiego. Paproć kwitnie w nocy św. Jana, o samej północy. Okoliczności tego kwitnienia, przedstawione w powieści, są wiernym malowidłem wiary gminnej. Scena odbywa się w Tatrach, gdzie płynie rzeka Białka.

¹ *Niebylica* — bajka niepodobna do prawdy, fałsz, zmyślenie; *pleść niebylice* — zmyślać, kłamać. Wydaje się, że Goszczyński bawi się tu znaczeniami. Pierwsze dotyczyłoby nieprawdopodobnej historii, określeniu temu nadaje poeta znaczenie gatunkowe. Poza tym słowo „niebylica” kojarzy się z nazwą pewnej rośliny, bylicą. Bylicę uważano za roślinę czarodziejską, odgrywała ona istotną rolę w obrzędzie sobótki, kobiety się nią przepasywały, palono ją w ogniskach. Na terenie całego kraju występuje bylica pospolita i bylica piołun, a jedynie w Tatrach — bylica skalna. Właściwości magiczne przypisywano bylicy pospolitej i — przede wszystkim — bylicy piołun. Mógł poeta skontaminować bylicę ze świętojańską paprocią. Nie należy także wykluczać, iż w pewnych regionach nazywano któryś gatunek paproci niebylicą, co jednak nie zostało odnotowane. Podobny kwiat opisuje Joanna Salomon w wierszu *Niebylec — kwiat nieznany*. Jest on „nowym stygmatem czasu / i dawnym kwiatem paproci” (zob. *Strofy o kwiatach. Antologia*. Wybór, oprac. i posłowie J. Kolbuszewski. Warszawa 1981, s. 130).

— A więc jak piorun twa, Pani, wola,
Gdzie chce, tam musi upaść koniecznie.
A więc już ciebie mam stracić wiecznie
I twój pierścionek — o gorzka dola! —

Westchnął i umilkł. Ona jękała:
— Mama — przeszkody — zły los — złe piekło —
Zimno, bez ładu, z jej ust się wlekło,
— Już cię nie Kocham! — powiedzieć chciała.

Z okiem i czołem utkwionym w ziemi,
Długo, cierpliwie słuchał młodzieniec;
Obrywał świeżo uwity wieniec,
W końcu wybuchnął słowami temi:

— Przekłęte wiecznie, po tysiąc razy,
Te młode, głupie chwile zapędu,
Gdzie duszę dajem² za cacko błędu,
Za wietrzne drwiących marzeń obrazy.

Jakbym ja dzisiaj umiał opłacić
Te mojej wróżki pamiętne słowa:
Synu! myśl twoja — diabłów podmowa —
Nie zyskasz tyle, co możesz stracić.

Jam wołał z gniewem: Oszczędź słów trudu;
Szkoda słów twoich: mnie cudu trzeba.

² *dajem* — *dajemy*, forma charakterystyczna dla dawnej polszczyzny.

Z cudu powstała ziemia, świat, nieba,
I mnie, bym ożył, potrzeba cudu.

Jestże to życie, ten kłębek lichy
Tych dni beziennych i bezpromiennych,
Ni to zimowych, ni to wiosennych?
Na mnie zwał, matko, wszystkie stąd grzechy,

Na mnie zwał całą pokutę za nie,
Byłem wy dostał przy twojej pomocy
Ten kwiat piekielnej czy rajskiej mocy,
Co zaspokaja wszelkie żądanie —

Co mi odsłoni kraj wiecznych tajni
I takie skarby posiąść dozwoli,
Jakich nie mogą w zwyczajnej doli
Ujrzeć i użyć ludzie zwyczajni.

Gdy mną tak miotał ogień rosnący,
Wróżka po długim widząc oporze,
Że zapaleńca chęci nie zmoże,
Dała mi przepis następujący:

— Dziś właśnie wieczór świętego Jana,
Idźże wzdłuż Białki³, przeciwko wodzie,
Po długim, bardzo długim pochodzie
Będzie tam wielka, piękna polana.

Kiedy już staniesz na jej połowie,
Ujrzysz na brzegu przeciwnym rzeki
Wysoką skałę: cztery smereki⁴
Rosną samotnie na skały głowie.

³ Białka — prawy dopływ Dunajca.

⁴ *smerek, smrek* — świerk.

Z tego ją poznasz. Wkoło gęstwina.
Wejście na skałę od wschodniej strony;
Jeden tam smerek jest rozszczepiony,
W tym rozszczepieniu rośnie krzewina,

To ziele paproć. Gdy tam przybędziesz,
Poświęconego noża żelazem
Określisz smerek i siebie razem
Rysą po ziemi, w tym kole sidziesz.

W ten nowy garnek wsadź głowę mocno,
Tak siedź i czekaj. W północnej dobie
Różne się dziwa pokażą tobie.
Dopiero w samą chwilę północną

Paproć zakwita. A tobie czekać.
Niech koło ciebie, co chce, się dzieje,
Niechaj na ciebie płomień się leje,
Ty siedź — broń Boże! z koła uciekać:

Jeden krok z niego, zginiesz na wieki —
Jeszcze coś więcej mówić mi chciała,
Jam już nie słuchał, świstnął jak strzała
I wkrótce byłem u mojej rzeki.

Nim jeszcze zmierzchno, polanę zbiegłem,
Wpadłem na skałę, znalazłem ziele,
Krąg czarodziejski skreśliłem śmieie,
Nakryłem głowę garnkiem i ległem.

Dokoła puszcza jak smętarz⁵, dzika;
Cicha, ponura, ludna w straszdyła,
A noc tak ciemna, jak są snu skrzydła,
Żadnego dźwięku, żadnego promyka —

⁵ *smętarz* — cmentarz. Romantycy lubili tę formę ze względu na skojarzenia ze smętkiem.

Chyba świetliczek, jak duch z próchenka,
Przesunie lotu jasnego strzałki.
Albo z przepaści skalnych szum Białki
Jak konający więzień zastęka.

Lecz wszystkie moje myśli u ziółka,
I moje oczy tylko dla niego,
I wszystkie chęci, ledwo wybiegą,
Wnet powracają do swego kółka.

Na poły w ziemi, w niebie na poły,
Co też ja szczęścia w tej chwili użył!
Moim skinieniom cały świat służył,
Moim pieśczołkom same anioły.

Wieczny podziemnych skarbów dostatek,
Potęgą wiedzy, świetne czci stroje,
A wszędzie myśl, wzrok i dłonie moje;
I to przez kwiatek, przez jeden kwiatek.

Kiedy tak marzę, zawrzała puszcza
I cała błysła światłości falą.
Gdzie rzucisz okiem, stosy się palą,
Przez puszcę jakaś roi się tłuszcza.

A mara marę niby wyściga,
Każda do stosu pędem się ciska.
Płonącą różgę chwyta z ogniska
I z dzikim śmiechem puszcę przebiega.

Ten widok zrazu tylko mię bawi,
Bom ufał w siłę koła tajemną,
Nagle jęk przykry słyszę nade mną
I tuż przy kole dziewczę się jawi.

Nie ma, jak inni, różdżki płomiennej.
Wzrok jej odrętwiał niby zdumieniem.

— Mój kwiat przy tobie! — rzecze z westchnieniem
Serdecznej prośby — jam był kamienny.

— Mój kwiat, ach, mój kwiat leży przy tobie.
Przerzuć go, przerzuć przez ten krąg zaklęty.
Oddaj mi kwiat mój, oddaj kwiat święty;
Co tylko zechcesz, dla ciebie zrobię. —

Zamilkła znowu — jam jak nieżywy.
Natenczas dziwne widmo dziewczęce
Z wielką rozpaczą załamało ręce
I uderzyło w głosik płaczący:

— Wszyscy już, wszyscy swoje pobrali,
I ja bym wzięła, gdyby ach! nie ty.
Duszo ochrzczona, synu kobiety,
Czyś ty czuł kiedy, jak serce pali?

Jak to boleśnie płakać na zgubę,
Przy której ufność pociech nie stoi?
Czy ty widziałeś łzy matki twojej,
Kiedy śmierć dziecię brała jej lube?

I jam kobieta! patrz! i ja płaczę,
Szczerzej, boleśniej niż która z matek,
Bo więcej tracę, mój skarb, mój kwiatek;
Nad wszelką rozpacz moje rozpacz.

On mój skarb cały, on moje życie;
On tobie na nic nie jest pomocny;
Dostyc dla ciebie, żeś taki mocny,
Żeś taką boleść sprawił kobiecie.

Użał się, użał mego cierpienia!
Bez mego kwiatka ja jestem niczem.
Gdzież teraz, z jakim pójść mi obliczem? —
I łkaniem zaszła — jam był z kamienia.

Widząc naówczas, że wszelka skarga,
Że mnie wymowa cierpień nie wzruszy,
Zalała oczy łzami od duszy,
Bije się w piersi, za włosy targa,

A głos przemienia w wycie zwierzęce:
— Cóż pocznę teraz, co pocznę, biedna?
Wszystkie go mają, tylko ja jedna —
Tylko mój przeszedł w ochrzczone ręce. —

I nagle zniknął wdzięk jej kobiecy:
Ciało odziały straszliwe kudły,
Dyszał łakomie bok jej wychudły,
Zawyła paszczą głodnej wilczycy.

Grom niesłychany po górach gruchnął,
Jak żeby niebo całe runęło;
Powietrze w okrąg ogniem zionęło,
Burzliwy wicher płomieniem buchnął.

Potem się puścił deszcz płomienisty;
Ogniste nitki ciemność krajały,
Trawy iskrami jak rosą grały,
Ogniem jak rosą kapały listy⁶.

Lecz same ognie mniej straszne były,
Niżeli kształtów potwornych dziwa,
Które, jak chmura kawek wrzaskliwa,
Moje siedzenie w krąg otoczyły.

Nikt nie wypowie, co się tam działo:
Płaczą, klną, grożą, rwą się, chcą zabić,
Byle mię tylko z koła wywabić;
Jam dech przyczał — aż larw nie stało.

I znowu było pusto dokoła,
Tylko znów ona w widmie dziewiczem,
I z uroczniejszym niż wprzód obliczem,
Lecz z posępniejszą chmurą wśród czoła;

— Pokonałeś nas twym czarnoksięstwem —
Znów zawołała i przykro zgrzytła,
— Zachciałeś doli, co mnie zakwitła,
Weźmij ją sobie, ale z przekleństwem.

Łudzisz się, łudzisz, bezmózga głowo,
Że moim łupem dni twe zbogacisz,
Ty zysk chwilowy stratą lat spłacisz,
Wiecznym niesmakiem słodycz chwilową.

Dumny, że skarby ducha posiadłeś,
Nie zdołasz, kiedy zechcesz, ich użyć;
Los bez twej wiedzy będzie ci służyć —
I tak go stracisz, jak mnie ukradłeś.

Wziąłeś kobiecie serce jej duszy,
Wyrwałeś miłość z dziewicy łona,
Piersią dziewicy będę pomszczona,
Stopa dziewicy ot! tak cię skruszy.

Pamiętaj! kiedyś staniesz tak przed nią,
Jak ja w tej chwili przed tobą stoję,
Moją łzą oczy zapłyną twoje,
Będziesz ją błagał tą przepowiednią —

A ona bez łez, bez współwzruszenia,
Wszystkie twe żale zimno odrzuci
I porwanego skarbu nie wróci!
Będzie dla ciebie także z kamienia. —

A gdym i na to był głazu bryłą,
Widmo krzyknęło: — Biada mu, biada!

Kto nieczysto skarb ducha posiada —
Trzykroć mu biada! — i w noc się stopiło.

Skoczyłem szybko z mojego głazu,
Patrzałem wkoło, badałem śmiało,
I nic nie było, co by ślad miało
Tego strasznego zjawisk obrazu.

Żadnego kwiatka — pustynia głucha!
Więc pomyślałem: Wszystko to śniłem.
Później za baśnię drugim prawilem,
Jaki sen miałem o skarbie ducha.

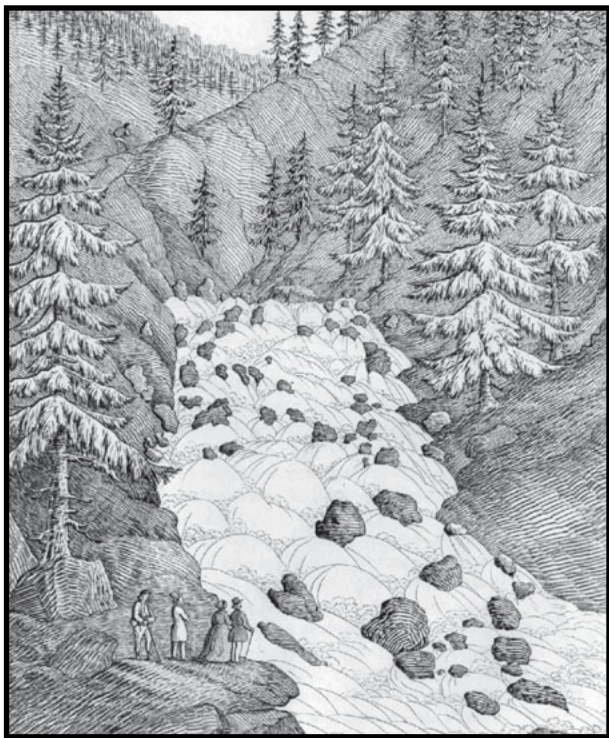
Tyś go dopiero, Pani, otwarła;
Przy tobie, Pani, dopierom zbadał
W owych dniach, pomnisz, żem go posiadał,
A dziś, żem stracił — tyś go wydarła.

Otóż spełniona prorocत्व połowa! —
Pani, ty milczysz jakby z kamienia!
Czy pragniesz całej wróżby spełnienia,
Moich łez jeszcze? — Bądź, Pani, zdrowa! —

Rok 1834

Straszny Strzelec

Powieść z rękopisu muzyka



Objaśnienie wstępne

W pierwszych latach mojej emigranckiej pielgrzymki po Galicji poznałem się z pewnym młodym muzykiem. Znajomość nasza była krótka: pędzeni oba wichrem jednejże niedoli w przeciwne strony, musieliśmy się rozstać, zaledwośmy się spotkali. Mimo to znajomość nasza nie była powierzchowna. Oprócz wspólności położenia i powołania wiązało nas jeszcze braterstwo sztuki i braterstwo przekonań politycznych. Zeszliśmy się więc jak dawni znajomi, a pożegnaliśmy się jak przyjaciele. Powieść, którą ogłaszam, jest drogą pamiątką tej krótkiej chwili, a razem pięknej duszy muzyka. Składa się ona z kilku zarysów od ręki życia emigranckiego i życia góralów.

Młody artysta, człowiek ludu sercem i przekonaniem, korzystał ze swojego pobytu w stronie mało znanej reszcie Polski, pomiędzy ludem równie nieznanym, a korzystał nie pod samym względem sztuki. Nie był to tylko człowiek smyczka, nie sama muzyka gminu zajmowała jego troskliwość. Widział on ważniejsze skarby w jego głębiach, i po te się zapuszczał. Przestrojony¹ po góralsku przebiegał góry, zamieszkiwał w najsamotniejszych chatkach, mięszał się pomiędzy juhasów, a zawsze z myślą polską. Czasami rzucił im słówko, którego dotąd nie słyszeli, rozjaśnił myśl, której dotąd nie pojmowali, odsłonił stronę życia, którą dotąd obojętnie pomijali: za to też dowiedział się niejednej rzeczy nieznannej sobie. Za tajemnicę kupował tajemnicę; a wtedy smyczek zamieniał na pióro i, zamiast nut muzycznych, pisał duszę ludu. Ta praca nie była pośledniejszą od pierwszej; on sam przynajmniej przynosił ją nad pierwszą.

¹ *przestrojony* — przebrany, ubrany.

Żałuję, że tylko ten jeden nabytek został moją własnością. Nie śmiałem prosić go o więcej, jemu też skromność przeszkadzała więcej ofiarować. Dzisiaj mocno tego żałuję. Nigdy już później nie spotkałem mojego muzyka: nie mogłem nawet śladu po nim schwycić. Los jego dalszy całkiem mi niewiadomy. Kto wie, co się z nim stało? Może i on, i wszystkie jego nabytki tak szanowne zginęły na zawsze! Miło mi, że chociaż ogłoszeniem tej powieści mogę uczcić jego pamiątkę².

Co się tyczy samej powieści, zostawiając o niej sąd czytelnikom, powinienem ostrzec, najprzód: że nie znajdą w niej może tej sztuki pisarskiej, jakiej się spodziewają; a potem, że będąc jedynie wydawcą, nie biorę na siebie obowiązku rozjaśniania, cokolwiek w tym utworze wydać się może zanedbano dziwne, czasem zaś niepojęte. Ogłaszam pracę cudzą bez żadnej mojej zmiany; tym bardziej nie pozwalam jej sobie tam, gdzie osoba pisarza występuje.

Początek rękopisu

Oto jest rękopis muzyka:

Opowiem tu jedno ze zdarzeń mojego życia, które może nie będzie bez użytku, a nawet bez zajęcia. Żebym je dobitniej odmalował, muszę o sobie kilka słów powiedzieć. Jakkolwiek osoba moja w tym obrazie jest podrzędna, koniecznie jednak wchodzi do jego całości.

Podczas rewolucji listopadowej służyłem jej z bronią w ręku. Zakończyłem schronieniem się do Galicji wraz z korpusem generała Różyckiego³, pod którego dowództwem przy końcu wojny walczyłem. Zostawiony tym sposobem własnej woli i tułaczemu życiu, chciałem jeszcze i to smutne położenie obrócić na korzyść Polski, o ile obrócić się dało.

Miałem z urodzenia zdolność do muzyki; rozwijałem ją znacznie przez długą i szczerą naukę i pracę; nadto widziałem, że prawdziwe dla niej żniwo jest na polu gminnym, zaniedbanym dotychczas, że tam dopiero może się przeobrazić w narodową, a tym samym pożyteczną; postanowiłem więc jako muzyk schronić się w głębie przyrody i ludu, i tam,

² *pamiątka* — pamięć.

³ Chodzi o generała Samuela Różyckiego (1781—1834).

przeczekując wielką naszą nawałnicę, pracować tymczasem, ażeby, przy wróconej pogodzie i dniu nowej walki, nie wypłynąć bez korzyści dla siebie i drugih.

Wybór miejsca pracy niedługo mi zawadzał. Zrodzony na mazowieckich płaszczynach, nie miałem wyobrażenia tak o śpiewie góralskim, jak o samych górach. Ujrzałem je raz pierwszy spod Krakowa, i wnet natchnienie miłości pół tajemniczej porwało mię ku Tatrom. Żądy mojej nie stało nic na zawadzie: co pomyślałem, to wykonałem natychmiast.

Na nieszczyćcie, było to już pod zimową dobę. Wiadomo, że w tej porze zamiera w górach życie bardziej niż gdziekolwiek: ta śmierć przyrody krzyżowała bardzo moje zamiary. Utrudniała mi ona pielgrzymkę pomiędzy ludem, jako tułaczowi, i zasłaniała przede mną świat muzyczny, który tylko w swobodnym letnim życiu góralów jaśnieć może w zupełności.

Kiedy tak duch Tatrów zamknął wewnątrz swojej krainy, musiałem zrazu ograniczać się na jego przysionku. Osiadłem więc w jednej ze wsi około Nowego Targu i obróciłem zimę na przygotowanie sobie lata. Wychowany wśród wieśniaków, miałem ja dawną znajomość wiejskiego ludu; miałem nawet nałogi jego życia. Miejscowej mowy prędko się nauczyłem, to mi wiele ułatwiło drogę mojego zawodu. Resztę trudności ułatwiła szczerza i mocna miłość nowo przybranego świata: ona zwała zaporę nieufności, która jest prawie wrodzona siermiędze ku sukni z kołnierzem. Zetknąwszy się raz sercami, coraz bardziej zbliżaliśmy się wzajemnie, miłowali się i poznawali.

Wszakże mój zamiar nie ograniczał się tym jedynie, aby z nich wybać, co mi było potrzeba; założyłem sobie także odkryć im, co oni wiedzieć powinni. Stosownie do tego postępowałem, i dobrze na tym wyszedłem. Obiedwie czynności tak się wspierały wzajemnie, że obu celom stało się zadość. Dowód tego powodzenia miałem dotykalny: byłem jak pomiędzy swoimi. Znajomości moje rozchodziły się kręgiem coraz obszerniejszym: wieś wsi, ludzie ludziom podawali mię kolejno, tak przejrzałem całą okolicę podtatrzańską, tak doczekałem wiosny i wszedłem w osnowę zdarzenia, które chciałbym opowiedzieć szczegółowiej nieco i z całym wrażeniem, jakie mi po nim zostało.

Biesiada juhasów

Właśnie czerwiec się zaczynał. Błękit nieba płowiął gorętszym co dnia światłem: ziemia w bujniejszą porastała zieloność. Tatry, płukane ciepłymi deszczami, wychodząc z ich kąpieli, co rano młodsze, wystąpiły na koniec w zwyczajnej swojej szacie z przejrzystego błękitnego blasku. Na mglistym ich czole błysnęła korona tęczy; w przepaścistych piersiach ozwał się oddech głuchego grzmotu, było to jakby hasło dla góralskiego świata — do nowego życia, pasterskiego. Jakby na hasło życie to budzić się zaczęło.

Otwierały się zagrody wiejskie, skupiały się trzody, wypływały z ogniska gór, ciągnęły w setnych promieniach na dalsze polany i ginęły za wzgórzami. Jedne ginęły, następowały inne, i znowu inne, jak fala za falą, aż zapełniły swoją powodzią całą okolicę. Gdzie rzuciłeś okiem, bieleły trzody w zieleni lasów i polan; po skałach snuli się pasterze i pasterki, po uboczach dymiły się bacówki. Gdzie zwróciłeś ucho, wrzał gwar bydła, odgłos kołatek, dźwięk rozlicznej muzyki, przeciągłe echa śpiewu góralskiego. Wszystkie widoki i dźwięki spletały się niejako w jedną pieśń młodego, pasterskiego świata. Ogromne słońce zachodu podnosiło ją do najwyższej wrzawy; w tej porze wszystko wracało do koszar i szałasów, wesołe i dniem ubiegłym, i nocą nadchodzącą. Uciszało się w miarę, jak gasła zachodnia zorza, w miarę, jak ciemność rosła. Otóż i noc, a z nią spokój zupełny. Na niebie tylko gwiazdy, po górach tylko ogniska jak gwiazdy po niebie, błędne, niepewne, a odpowiadają im daleki gwar biesiadujących juhasów, jeszcze dalej ostre hukanie góralskiej dziewczicy albo głuchy szum potoku, rozmawiającego z wiatrem nabrzeżnej dziczy.

Pod taki to wieczór siedziałem pomiędzy juhasami na polanie zwanej Kołatówką⁴. Nieopodal szumiąca Białka; przed nami pałało ognisko. Towarzysze moi byli dziarscy i weseli, jak zwykle juhasy, zwłaszcza o tej porze. Wieczera, tylko co ukończona, dodawała nowej rzeźwości ciału i umysłowi: znalazła się i gorzałka; jednym słowem zawiodła się⁵ mała biesiadka.

⁴ Polana Kałatówki w Tatrach Zachodnich. W „Noworoczniku Demokratycznym” forma bliższa właściwej — Kałatówka.

⁵ *zawieść się* — rozpocząć się.

Łatwo pojąć, że jako muzyk miałem w podobnych zabawach niepośledni udział. Przez czas mojego pobytu między góralami obeznałem się z ich piszczałką, kobzą i tym podobnymi instrumentami używanymi przez nich; nade wszystko schwyciłem tak ducha rodzimej, góralskiej muzyki, że mogłem grać im nie tylko znajome pieśni i tańce, ale i nowe tworzyłem. Niekiedy także pożyczalem u innych okolic; bo miłując od dawna namiętnie muzykę ludu, starałem się poznać wszystkie jej rozgałęzienia na ziemi polskiej i znałem ją dobrze. Trzeba było widzieć jak ucho góralskie dziwiło się zrazu wesołym śpiewom mazowieckim, skoczny kołomyjkom⁶, posępnym dumkom ukraińskim: z czasem oswoiło się z nimi i rade im było. Jednakże na dzisiejszy wieczór przygotowałem coś całkiem nowego — niespodziankę. Był to rodzaj poemaciku muzycznego. Myśl jego obejmowała wszystkie plemiona Polski, wszystkie koleje jej losów, całe życie.

Wstęp malował Polskę przedchrześcijańską, w życiu patriarchalnym, na łonie przyrody cichej, sielskiej, wśród szumu lasów, śpiewu ptaków. W tej części panował brzęk gęśli. Charakter jej był prosty, spokojny, rzewny, coraz bliższy melancholii: oznaczał przyszłą Polskę w zawiązku⁷. Naraz głucho zahuczały nieznane wiatry organów, jak uderzenie gwałtownego, przelotnego wichru — było to pierwsze objawienie się chrześcijaństwa — umilkły, a natomiast gęśl odpowiedziała. — Tu przez chwilę odzywały się na przemian to gęśl, to organ, niby walka Polski pogańskiej z chrześcijańską; ale akord organu coraz mocniejszy, uroczystszy, akord gęśli coraz słabszy, posępniejszy, aż nagle zajączał bolesnym płaczem i umilkł zagłuszony trąbą wojenną — a w tym jęku, w tej pobudce wojennej trąby był pierwszy płacz niemowlęcy Polski chrześcijańskiej, i zarazem pierwszy jej okrzyk wojenny, było znamię jej posłannictwa, jej przyszłości, całe jej życie dalsze. Z uciętego hałasu trąby, jak ze źródła, wypłynął strumień pieśni prostej, poważnej, religijnej, powracającej razy kilka, z odgłosem trąby po każdej zwrotce — ta pieśń to *Bogarodzica*, to Polska walcząca w imię chrześcijaństwa. Dźwięki pieśni coraz mocniejsze, coraz pełniejsze, coraz nowy odgłos przybywa do chóru, coraz nowe uczucie wpływa do ogółu muzyki: to dzika kobza góralska, to ruska lira, to kozacki torban⁸, to róg litew-

⁶ *kołomyjka* — ukraiński taniec ludowy, podobny w charakterze do polskich tańców góralskich.

⁷ *zawiązek* — początek.

⁸ *torban*, *teorban* — dawny instrument muzyczny, lutnia basowa.

ski — polski duch rozszerza się, wypełnia się duchami postronnych plebion. Po chwili ze zlewu⁹ wszystkich narzędzi podnosi się marsz uroczysty, tryumfalny — Polska na szczycie potęgi. — Trąba uderza coraz mocniej, coraz głośniej, coraz niestojniej, zagłusza dzikim gwarem całą muzykę: znać, że rycerska część¹⁰ narodu podnosi się nad cały naród. Wkrótce zaczyna się swar różnych dźwięków, nieład, dysharmonia. Wybuchają gwałtownie, jedne po drugich: lira, kobza, róg, i nikną, jedne po drugich, nagle, jęcząc, jak gdyby struny pękały. Trąba tylko brzmi jeszcze, ale coraz słabiej; jeżeli wzmoże się niekiedy, to na to, aby się tym ciszej odezwała; w końcu ucichła całkiem.

Taka była mniej więcej muzyka, którą ułożyłem dla góralów, wiecznie pod myślą, aby każdą okolicę Polski wiązać z ogółem wszystkimi włóknamy jej ducha; wiecznie w przekonaniu, że jej dzieci tym szczerzej i mocniej kochać się zaczną, tym ściślej złączą się, im lepiej się zrozumieją; a zaczną zaś lepiej się rozumieć w miarę tego, jak zaczną lepiej pojmować wzajemny swój język, który nie w samych tylko wyrazach leży, ale najważniejszą może częścią w uczuciach i w języku uczuć bezpośrednim.

Wykonanie tylko miało niezwalzone trudności. W układ dzieła wchodziły różnorodne tony. Chcąc je wykonać, jak należało, wypadało złożyć orkiestrę, co było niepodobne; ograniczyłem się przeto jednym instrumentem, i wybrałem skrzypce. Z niemałą pracą okazałem jednak, że naśladowania tonów, obcych skrzypcom, dosyć je dobrze oddawały. Poświęciwszy niemało tygodni samotnemu ćwiczeniu się w wykonaniu, przyszedłem na koniec do pewnej biegłości, i przeznaczyłem dzisiaj właśnie wieczór na mój koncert.

Chwila była prześliczna, jak ją opisałem, słuchacze weseli, rozgrzani uciechą, dobrze usposobieni. Zażądałem cichości, i otrzymałem ją łatwo; górale lubili moje granie. Zacząłem nie bez wewnętrznej obawy. Dlaczego? Wszak nie pierwszy raz im grałem? wszak miałem słuchaczy nieukształconych, których nagana i pochwała powinny były, zdaje się, być mi obojętne? Drżałem jednak wewnętrznym dreszczem. Byłże to dreszcz artysty rozmiłowanego w swoim dziele i lękającego się

⁹ *zlew* — zlanie się, połączenie.

¹⁰ Tak w „Noworoczniku Demokratycznym” i wydaniu dzieł z 1852 roku. W wydaniu z 1870 roku ten fragment brzmi: „rycerska część, część narodu...”, co zostało powtórzone w wydaniu z 1911 roku. Wydaje się, że jest to jednak przypadkowa zmiana tekstu.

o jego powodzenie? Byłoby to coś bardziej tajemniczego, nieodgadniego, dreszcz przeczucia? Tej zagadki nie mogłem sobie na razie rozwikłać, nie mogłem równie otrząść się z niepokoju, a chciałem; wstyd mi było mojej słabości. Przez tę walkę znalazłem się w dziwnym stanie wewnętrznym, w stanie jakiejś gorączki, zapomnienia się, które mi posłużyło nad moje spodziewanie. Siły ciała, energia woli rozumnej upadły wprawdzie, ale natomiast powstało coś wewnątrz mocniejszego jak wszystko, co dotąd w sobie znałem, roz płynęło się po całym ciele, o władło tak całą moją istotę, że zamieniłem się w jego maszynę. Natchnienie to rozciągnęło się dalej, wylało się na zewnątrz, wpłynęło w smyczek, w struny, w drzewo instrumentu; tak objęło jednym duchem, jednym życiem niezwykłym i mnie, i skrzypce, że zdało mi się, jakbyśmy jedno ciało stanowili, jeden instrument w rękach artysty niewidzialnego, niepojętego, mimo to wszechmocnego. Uderzyłem smyczkiem bez wiedzy.

Z pierwszym dźwiękiem wzrosła moja odwaga, ale coraz bardziej traciłem przytomność; na koniec zupełnie wyszedłem z siebie. Jak grałem? nie wiem. Musiało być jednak w mojej grze coś nadzwyczajnego. Miarkuję to po wrażeniu, jakie sprawilem na słuchaczach, a które postrzegłem dopiero, zakończywszy granie. Siedzieli nieruchomi. Oczy wszystkich tkwiły na mojej twarzy. Oblicza jednych osłupiały podziwem, inne znowu mieniły się grą wewnętrznych wzruszeń. Kiedy przestałem, pojrzeli po sobie: zdawało się, że prowadzili rozmowę oczami, że oczami udzielali sobie wzajemnego podziwienia.

— To, to muzyka — szeptali jakiś czas pomiędzy sobą.

— Do góralskiego serca! prawdziwie góralska! — zawołał jeden na głos.

— To nie góralska! nie! — odpowiedział inny.

— Ba! nie góralska! a ja wam powiadam, że ją gdzieś słyszałem — odezwał się Józek, muzyk z rzemiosła, i dlatego może najwięcej zachwycony graniem i milczący dotąd.

Juhasy zaśmieli się.

— Słyszałeś, a nie grałeś nigdy, choć ty nie chowasz dla siebie swoich piosenek.

— Nie wygram, to prawda, ale słyszałem i nieraz.

— No, no! nie udawaj mądra! Już to ty wszystko widzisz i słyszysz, czego ludzie nie znają.

— Józek dobrze mówi — przerwał inny juhas — bo ja także słyszałem tę pieśń.

— I ja ją znam. — I ja. — I ja — odezwało się kilka głosów.

— A gdzie? — zapytał jeden z niedowiarków.

— Gdzie? — odpowiedział Józek — tego nie wiem; ale przysięgnę, że ją słyszałem. Kiedy Stach grał, to mnie było, jakby ją ciągnął z mojego serca.

— A to prosimy zagrać. My gotowi drugi raz posłuchać.

— Ba! żebym potrafił, to byłbym wnet bardzo bogaty.

— A cóżby ci z tego przyszło?

— Poszedłbym do jamy pod Gewont, gdzie ten stary duch, co to wiecie, siedzi na wielkiej kupie złota. Jakbym jemu zagrał, to choćby był najtwardszy diabeł, musiałby się pokazać i dać swoich pieniędzy. Już co takim graniem, to pewnie bym go zaklął.

— Józek dobrze mówi. Nie taki głupi, jak się zdaje: szkoda, że nie taki mądry, jak potrzeba. Wielka szkoda, że nie umie grać jak Stach, a byłby czarnoksiężnikiem.

— A toć się można nauczyć. Żebym tylko jeszcze raz posłyszał. Stachu! zaczynajcie no jeszcze raz.

— Proście pierw, niech skończy — zawołał ktoś z boku.

Na ten głos nieznajomy zwróciliśmy wszyscy oczy w stronę, skąd się odezwał, i ujrzelśmy w rzeczy samej obcego człowieka. Nikt go nie widział, kiedy i jak przyszedł, a siedział jednak nieopodal od ogniska. Juhasy spojrzeli po sobie milczkiem, a w ich milczących obliczach przebiegały się zdumienie, bojaźń i uszanowanie.

Ja również nie miałem być zdumiony. Przyczyną jednak mojego zdumienia nie było nagłe przybycie nieznajomego, ale najprzód jego osoba. Ubrany był po góralsku; przez plecy wisiała długa strzelba, w rękę miał wałaszke¹¹, za pasem parę pistoletów. Kolosalna budowa ciała, ogromne barki, dłonie z palcami, którym podobnie grubych dotąd nie widziałem, szyja tej niemal objętości co głowa, wydęte, przestronne piersi, wyzierające bujnym zarostem spod rozkrytej koszuli, zapowiadały olbrzymią siłę. Odpowiednią jej energią tchnęło całe oblicze: było ono przy tym doskonałej męskiej piękności, poważne, nadzwyczaj spokojne i szlachetne wyrazem jakiejś duchowej szlachetności. Oczy pełne,

ciemnoniebieskie, błyszcząły jak gwiazdy; zdawało się, że opromieniały twarz i czoło. Długie, ciemne włosy, rozpuszczone obyczajem góralskim, podobnież wąsy i broda skędzierzawione, osłaniając większą część twarzy, robiły jeszcze dobitniejszym wyraz jej w częściach odsłanianych. Głos jego tak był czysty i silny, pełny i dźwięczny, przenikający i miły, w takiej harmonii z budową ciała, że z tego głosu można było odgadnąć całą prawie postać. Podobny widok musiał zrobić wrażenie; ale najmocniej zastanowiło mnie jego zdanie o mojej muzyce. Odpowiedziałem, jakim był powinien, że pieśń była całkowita i wygrana do końca.

— Nie! wy nie graliście całej.

A potwierdził to głosem tak pewnym, że zachwiał prawie moim własnym przekonaniem. Przynajmniej widziałem, że mogłoby się zanieść na spór trudny i zabawny; dlatego postanowiłem ustąpić i rzekłem z uśmiechem:

— Szanowny ojcie¹², wy to zapewne lepiej wiecie; ale ja nie umiem więcej.

— Kiedy tak — odpowiedział nieznajomy — to ja za was dokończę. Dajcie mi wasze skrzypce.

Machinalnie posłuszny żądaniu, które na rozkaz zakrawało, podałem skrzypce nieznajomemu. Pociągnął smyczkiem, dał kilka tonów, podstroił, a z tej pierwszej próbki poznałem, że nie był to zwyczajny wiejski skrzypek. Przyłożył drugi raz smyczek, przeleciał przez wszystkie struny, przez wszystkie tony jednym pociągiem, jakby w przegrawce¹³; podziwienie moje wzrosło; posłyszałem granie, jakiego nigdy nie słyszałem.

— To mistrz! — wyrzekłem w zapomnieniu się głośno, i zdawało mi się, że za mało powiedziałem. Lubo o podobnej biegłości nie miałem wyobrażenia, niczym ona jednak była obok tego czucia, tej duszy, jaką wlał w instrument. Skrzypce moje jak oczarowane, ozwały się głosem, jakiego nigdy nie miały, jakiego w żadnych skrzypcach nie znałem; zdawało mi się, że zaśpiewały, a śpiewając przemówiły. Przez chwilę pauza. Wlepiłem oczy w nieznajomego. Żadnej w nim zmiany, żadnej oznaki zewnątrz-

¹² Szanowny ojcie — ten zwrot ma wyrażać szacunek muzyka dla przybysza. W gwarze podhalańskiej w stosunku do osoby starszej, poważanej używa się zwrotu „krzesny ojce” — tu zmienione na „szanowny ojcie”.

¹³ przegrawka — przegrywka, przygrywka.

nej nadzwyczajnego wewnętrznego wzruszenia, ten sam wyraz co przed chwilą, tylko oczy patrzyły w księżyc. Naraz skrzypce jakby westchnęły z cicha, i powlokło się długie, równie ciche jęczenie, jak ciche, nieskończone echo westchnienia. Zdawało się, że melodia promieni księżycowych, spływając przez oczy do serca muzyka, grała z jego głębi w echu skrzypców: wciąż cicho, boleśnie, ponuro, pogrzebowo; kiedy niekiedy, w wymierzonych zwrotach, dziki wtór zaszedł się łkaniem lub brzękiem jakoby żelaza, a czasem, bardzo rzadko, chrapliwym wrzaśnięciem trąby. Pieśń pogrzebowa konała kilka razy i kilka razy podnosiła się — w końcu uciła.

Nieznajomy zawiesił smyczek nad strunami i przemówił:

— Słuchacie grania, ale czy rozumiecie? Czy wy się domyślacie, że w graniu Stacha patrzaliście na matkę waszych pradziadów, na waszą własną matkę, na matkę Polskę, na jej życie przez tysiąc lat? A to granie tam wam o niej gadało. Była ona wielka, szczęśliwa, sławna; prowadziła wojny w imieniu Boga prawdziwego i dla szczęścia bliźnich. Przyszedł szatan dumy i rozpusty, rozdzielił naród na panów i chłopów, oddał w ręce panów życie narodu i szczęście chłopów; natchnął jednych nienawiścią dla drugich; odebrał rozum jednym i drugim; wzbudził potem nieprzyjaciół obcych, i wszystkich oddał im w kajdany: Polska pogrzebiona. To wam Stach skrzypcami powiedział. Nie powiedział wszystkiego. Polska w grobie, ale żyje. Zagrzebano ją żywcem. Głosu jej nie słyszać na ziemi, ale pod ziemią. Słyszeliście go na własne uszy w moim graniu. Teraz patrzajcie, jak zmartwychwstanie.

I wrócił znowu do pieśni pogrzebowej. Wszakże nie był to już ten akord niski, głuchy, ponury, przewlekły, podgrobowy co wprzód; postąpił o jedną oktawę wyżej; jęczał jeszcze, ale w tym jęku widać już było więcej życia, coraz więcej; ruch tonów był szybszy; stopniami wchodziła do nich rozmaitość, coraz widoczniejsza, coraz tłumniejsza; przystępowały znowu jedne po drugich, kobza, torban, róg leśny; dźwięk gęśli odezwał się z początku w oddaleniu, następnie wracał coraz częściej i wybitniej; owładał na koniec pierwsze miejsce; wszystkie inne tony na wtór się zamieniły; a pieśń w najdoskonalszej harmonii płynęła czarodziejską melodią miłości, podnosiła głos, podwajała siłę i, takt po takcie, urosła w bicie kotłów, grzmot trąby, w muzykę męskiej energii. Naraz zawrzała całym pozornym nieładem walki wszystkich tonów,

całą jego dzikością, zawsze pod kierunkiem gęślowego pierwiastku. Tak wrzała chwilę, wzmagala się, słabła, znowu się wzmagala silniej, silniej, aż podniosła dźwięk trąby nad wszystkie dźwięki, który jakby dał hasło do ozwania się wszystkich narzędzi jedną powszechną pieśnią tryumfalnej radości, a cała muzyka zlała się w uroczysty, pobożny akord organów.

Skończył nieznajomy, oddał mi skrzypce z tą samą spokojnością, którą przez cały czas zachował, podniósł się, przewiesił strzelbę przez plecy, wziął w rękę swoją wałaszkę, powiódł po słuchaczach pogodnym, uroczystym wejrzeniem, zwrócił się ku mnie, powiedział tylko do mnie:

— Bądź jutro rano przy źródle Białego Dunajca¹⁴. — A innym: — Bóg z wami! — i odszedł.

Byłem w stanie duszy niepodobnym do opisania i pojęcia. Dopiero straciwszy nieznajomego całkiem z oczu, przyszedłem cokolwiek do siebie. Żeby nie granie jego, które mi jeszcze brzmiało w uszach i sercu, i w całej tej nocnej ciszy brzmieć się zdawało, żeby nie widok juhasów koło mnie, równie jak ja osłupiałych z podziwienia, byłbym myślał, że całą tę scenę śniłem.

Dobra chwila upłynęła, zaczym¹⁵ byliśmy w stanie porozumieć się spojrzeniami i przemówić. Wtedy dopiero postrzegłem, jak rozmaite uczucia owładły moimi towarzyszami. Jedni rzucali jeszcze błędne oczy w ostatku muzycznego zachwycenia, innych obejmował przestrasz; niektórzy, uważałem¹⁶, żegnali się; tamci mruczeli coś w nadąsaniu; ale dotąd wszyscy milczeli.

— Co to jest? kto to jest? — przemówiłem, ledwie zdolny uporządkować moje myśli, zgodzić język z myślami.

Górale wzruszyli ramionami i milczeli.

— Czy zna go ktokolwiek z was? — zapytałem znowu.

Za całą odpowiedź górale głowami potrząśli i znowu milczeli. Wszakże po chwili zaczęły rozwiązywać się języki, jedno po drugim, i następna wytoczyła się rozmowa. Pierwszy odezwał się Romek, najżywszy z tej gromadki:

¹⁴ Zob. przypis 261 na s. 104.

¹⁵ *zaczym* — zanim.

¹⁶ *uważać* — zauważać, spostrzegać.

— No, Józek! — zawołał z przymuszonym śmiechem — nie potrzebujesz chodzić za diabłem Gewontu, on sam przyjdzie do ciebie, zagraj tylko pieśń Stacha.

— To ty myślisz? — zapytał któryś — że to dziwowisko...? — zatrzymał się, nie śmiał kończyć.

— Juźci, że to on sam. Stach zagrał, Józek wspomniał, i oto jest.

— Juhasy! juhasy! — zawołał Kuba, który uchodził za poważnego między swoimi — zły macie zwyczaj gadać pod noc o takich rzeczach. Ja zaraz wiedziałem, że głupia gadanina Józka nie skończy się ni siak, ni tak. A teraz moja rada, żebyście już o tym skończyli.

— Ba, ba! — zawołali niektórzy. — Cóż nam może stać się gorszego, jak się stało. Poszedł, jak przyszedł. Ale co gra, to gra. Takiemu skrzypkowi nie żal sypnąć krajcarami¹⁷.

— Ej! nie żartujcie — podchwycił milczący dotąd Antek — kiedy nie wiecie, z czego żartujecie. Ja nie żartuję, bo ja coś wiem.

— Co ty wiesz? Może wiesz, kto on jest? Może go znasz? — zapytano ze wszystkich stron.

— Ja, czy znam, czy nie znam, ale są ludzie, co go znają. A słyszeliście wy o Strasznym Strzelcu?

— On że to? myślisz?

Antek potwierdził skinieniem głowy.

— To, dzięki Bogu, nic nam się złego nie stanie; wszak my nie strażniki¹⁸. On lubi góralów, on nasz brat.

¹⁷ *krajcar, gjarcar* — dawna drobna moneta w południowych Niemczech, na Śląsku i w Austrii.

¹⁸ W „Noworoczniku Demokratycznym” — cesarscy. Tekst zamieszczony w „Noworoczniku Demokratycznym” odbiega znacznie od późniejszych edycji dzieł, przygotowywanych przez Goszczyńskiego. Powodem prawdopodobnie była zmiana miejsca wydania. Pierwotny druk ukazał się w Paryżu, gdzie cenzura nie sięgała. Przed wydaniem dzieł we Wrocławiu poeta pisał do wydawcy — Z. Schlettera: „Zamawiam sobie tylko wyjątek dwóch lub trzech pism, które potrzebują przejrzenia i poprawek, ale to w taki sposób, żeby ta praca nie zaważyła bynajmniej drukowi całego dzieła” (S. Goszczyński: *Listy (1823—1875)*. Oprac. S. Pi-goń. Kraków 1937, s. 316). Nie zamierzał raczej poeta łagodzić wymowy utworu wskutek wpływu Towiańskiego. Pisał do J.B. Zaleskiego: „Rad jestem, że ci się podobały niektóre moje pisma. Ja sam widzę w nich wielkie wady, ale nie miałem nawet zamiaru oczyszczać z nich tego ogłoszenia. Wszystkie te pisma zachowałem po prostu jako zabytki mojej przeszłości, jako świadectwo dla przyszłości lepszej, mam w Bogu nadzieję. Pozostawało mi albo je zacho-

Ten obrót rozmowy zajął mnie jeszcze żywiej nieznanym. Wmieszałem się także do niej i prosiłem, aby i mnie chciano przypuścić do tajemnicy o Strasznym Strzelcu.

— Czemuż by nie? — odpowiedział Antek. — Co ja wam powiem, to wiem od mojego dziadka, a żaden z was nie wie tego, co mój dziadek: powiada mi wszystko, co sam tylko wie. Straszny Strzelec to niedzisiejszy człowiek. Cóż na to powiecie, że mój dziadek widział go jeszcze, jak byli u nas konfederaty?¹⁹ Straszny Strzelec trzymał wtedy z konfederatami, chodził po górach, napędzał górali do Polaków. Starzy ludzie, co to widzieli albo zasłyszeli, powiadają, że dużo wtedy góralów poszło z siekierkami, kosami i rusznicami na Moskali i nabili ich niemało. Przyszli potem cesarscy ludzie i powiedzieli góralom: Nasz pan to wasz pan!²⁰, a górale uwierzyli. Od tego czasu Straszny Strzelec rzadko się pokazuje. Wszyscy o nim słyszą, a mało kto go widzi. I nie ma czego chcieć, powiedziawszy sumiennie. Prawda, że góralom nic złego nie robi, raczej dobrze; ale dosyć popatrzeć na niego, żeby się człeku źle zrobiło. Od jakiegoś też czasu ma być gniewniejszy jak dawniej i góralom dokucza. Ta wielka zima niedawno, pamiętacie; albo ta straszliwa powódź, powiadają, że to przez niego. A wszystko to dlatego, jak prawią starsi nasi, że górale pozwalają spokojnie siedzieć u siebie cudzemu²¹: bo cudzych²² cierpieć nie może. Oni²³ wiedzą o tym; ale nic mu nie robią, bo się boją gorzej diabła. Jakże się nie bać, kiedy ma siłę za półtora niedźwiedzia, a za stu czaraparów²⁴. Oho! nie zaczepi go żaden tabacznik²⁵, żaden strażnik graniczny; żegna się

wać, jak są, albo zniszczyć. Zniszczyć nie godziło mi się przez wdzięczność dobrym natchnieniom w mojej przeszłości; przerabiać było także niepodobieństwem; zostawiłem więc je w stanie ich rodzimym, z małymi ulepszeniami” (ibidem, s. 331). W podobnym tonie wypowiadał się poeta w przedmowie do wydania Schlettera, powtórzonej w wydaniu Brockhousa.

¹⁹ Chodzi o uczestników konfederacji barskiej (1768—1772).

²⁰ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „Cesarz niemiecki wasz pan!”.

²¹ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „Niemcom”.

²² W „Noworoczniku Demokratycznym” — „Niemców”.

²³ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „Szwaby”.

²⁴ *czarapar* — żołnierz armii austriackiej. Mimo poszukiwań nie udało się odnaleźć bardziej szczegółowych informacji. O czaraparach wspominał także M. Czajkowski w *Legendach* (w: Idem: *Pisma*. T. 12. Lipsk 1885, s. 12) oraz w *Dziwnych życiach Polaków i Polek* (w: Idem: *Pisma*. T. 9. Lipsk 1865, s. 175).

²⁵ *tabacznik* — kupiec handlujący tabaką.

tylko, jak go zjrzy i ucieka, a potem dziękuje Bogu, że uciekł przed jego kulką, bo już niejednego znalaziono między górami, jak psa, co dawno parę wyzionął. Przeszły nasz strażnik, wiecie, przez co od nas się wynióśł? Oto raz w nocy spotkał się na linii ze Straszny Strzelcem, i chciał się z nim popróbować; ale nie uśpia²⁶ jeszcze do rusznicy, a Straszny Strzelec już go trzymał w garści; potem straszliwie zgrzytnął i zawołał: Daruję cię życiem, boś Lach²⁷, ale przysiąż mi tu zaraz, że porzucisz²⁸ służbę. Strażnik tak się przeląkł, że przysiągł, plunął na swoje rzemiosło i dziś pono jest pocziwym gdzieś tam gazdą.

— O, już to, że góralów lubi, to ja powiem coś o tym — przerwał jeden ze słuchaczy. — Znacie Hankę i jej krowę jedynaczkę. Zdarzyło się raz, że na górze, kędy Hanka swoją krówkę pasła, zerwał się piekielny wicher, porwał krówkę i już ją rzucił w przepaść; ni stąd, ni zowąd wyskoczył Straszny Strzelec, uchwycił w powietrzu krowę za rogi i postawił ją znowu na bezpiecznym miejscu.

— To święta prawda! — przytwierdził Antek, chcąc, zdaje się, uchodzić za człowieka, który wie najwięcej o Straszny Strzelcu. — Ale ja wam powiem jeszcze większą ciekawość. Wy wiecie, że Polscza to wielki kawał świata: Bóg wie, jak wiele mil od ściany do ściany, a Straszny Strzelec jest w całej Polscze jak w domu. Trafiąło się naszym ziemiakom²⁹, że poszedłszy na zarobek aż za Warszawę, tam go spotykali. A jeszcze ciekawsza, że o tej samej porze pokazywał się i tu w górach; tylko że na dolinach jest jak tamtejszy człowiek. Ale zaraz go poznano, bo i tam nazywa się jak tutaj i wyrabia te same dziwy.

Ciekawie słuchałem całej tej gawędy, z mniejszym może podziwieniem jak inni, ale z pokornym uczuciem, że równie jak inni byłem niezdolny rozwikłać powszednim rozumem zagadki Straszego Strzelca. Bujałem na domysłach, jak na falach, i w żadnym utwierdzić się nie mogłem.

Zważywszy jednak wszystko, co o nim krążyło w powieściach ludu, co sam widziałem, jego sposób życia, nienawiść ku urzędnikom cesarskim,

²⁶ *uśpiać, uśpieć* — zdążyć, zdołać coś zrobić.

²⁷ Lach — Polak (określenie stosowane na Litwie i Rusi), mieszkaniec równin (określenie stosowane przez górali).

²⁸ W „Noworoczniku Demokratycznym” występują tu dodatkowo słowa „psią niemiecką”.

²⁹ *ziemiaki* — współziomkowie.

skarbie³⁰ krajowców oznakami przychylności, to uzbrojenie, tę tajemniczość, którą się osłaniał, tę grę, która w nim dowodziła niezmiernych zdolności i niepowszedniego ukształcenia, skłoniłem się najwięcej ku myśli, że mógł to być jeden z owych ludzi śmiałych, zdolnych, przeznaczonych do wielkiego w społeczności zawodu, ale przez smutną jaką okoliczność wypartych z kolei szlachetnej w kierunku przeciwnym społeczeństwu: krótko mówiąc, jeden z owych zbójców, jakim powieści ludu nadały nazwiska Waligórskich, Bogusławskich³¹ i tym podobne.

Wiele, wiele nie wchodziło w ramy tego domysłu, ale wziąłem tymczasem najdorzeczniejszy z tych, które miałem pod ręką, i chciałem, o ile można, zbliżyć go do pewności; w tym celu rzuciłem juhasom zapytanie:

— Wiecie tyle o Strasznym Strzelcu, a sami powiadacie, że nikt go nie widział przynajmniej od dawnego czasu?

— To prawda — rzekł Kuba z powagą — ale czegoż ludzie nie wiedzą. I Pana Boga nikt nie widział, a przecież ludzie go znają; bo to, mój Stachu, ludzka powieść pewniejsza często jak własne uszy i oczy.

— Już to ja widzę, Stachu — podchwycił Antek — że wam trudno uwierzyć w góralskie baję, to będziecie mogli przekonać się o prawdzie sami, wszak Straszny Strzelec, pamiętacie, obiecał się wam jeszcze pokazać.

— Dobrze mówicie — zawołałem — od niego samego najlepiej o nim się dowiem.

— I nam powiecie³².

— A tymczasem pora spać, juhasy! — zawołało kilka głosów.

— Spać! spać! — powtórzył chór liczniejszy.

Po chwili ognisko samotnie już dogorywało.

Major Nikorowicz

Ja tylko nie mogłem usnąć. Gra życia, ogłuchłszy dokoła, nie ustawała we mnie, szła na wyścigi z muzyką czarodziejskiej nocy. Promienie noc-

³⁰ *skarbie* — zjednywanie.

³¹ Waligóra — bohater-siłacz z ludowej bajki. Bogusławski może został przywołany aluzyjnie, jako autor opery *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i górale*.

³² W „Noworoczniku Demokratycznym” jest dopowiedź „— Powiem”.

nych światel były po strunach duszy, jak po strunach gęśli; płynęły dźwiękami³³, myśli za myślami, jak strumień żywego źródła, a tym źródłem był nieznajomy góral.

Stał mi on ciągle przed oczami, unosił się na wszystkich falach myśli, opanował całą duszę. Przypuszczenie, że był zbójcą, nie mogło mnie zaspokoić; podobnie upadły same z siebie wszelkie inne domysły. Żadna z miar zwyczajnego człowieka nie przypadała do jego miary, skoro wszedłem w głębsze zastanowienie się. Jego gra, powieści miejscowe o nim, wrażenie, jakie na mnie zrobił, jakie zrobił na wszystkich, sama jego powierchowność, a nade wszystko wyraz oblicza, oznaczały człowieka niepośledniego, a co większa, niepowszednią istotę.

Tu muszę zrobić wyznanie, które mię wcale nie rumieni, że jestem skłonny do wiary w pojaw³⁴ nadprzyrodzone, a czemu daleko właściwiej służy nazwisko nadzwyczajności. Nie mając zamiaru robić wyznawców mojej wierze, nie będę jej usprawiedliwiał systematycznie; wiele byłoby o tym do powiedzenia, a miejsce nie po temu; dosyć, że każda nadzwyczajność robi na mnie wrażenie, które mnie pobudza raczej do głębokiej rozważań jak do szyderskiego uśmiechu. Znajdowałem się właśnie teraz w tym przypadku. Może to była gorączka bez snu, a może też gorączka całego życia, ale mniejsza o to jak na ten raz.

Przypuściwszy raz nadzwyczajność w objawieniu się nieznajomego, już nie mogłem zejść z toru tej myśli, dopóki nie zaszedłem do jej kończyn, dopóki tylko blask mi jej przyświecał. Niepodobieństwem byłoby dzisiaj zdać sobie sprawę z tych wszystkich marzeń, to tylko dobrze pamiętam, że mię rzuciły naprawdę w stan gorączki, przez którą całkiem się ze snu wytrzeźwiłem, tak, że, widząc na koniec niepodobieństwo uśnięcia, postanowiłem tej nocy jeszcze udać się do źródła Białego Dunajca. Pora przy tym osobliwie sprzyjała mojemu przedsięwzięciu. Noc była nadzwyczaj jasna i miła, znałem już cokolwiek bliższe drogi przez góry. Wędrówka ta wyteżyła jeszcze silniej moje czucie, podniosła duszę jeszcze wyżej. Żyłem zupełnie w innym świecie. Nie postrzegłem się, jak stanąłem na miejscu. Nie spotkałem nikogo. Do dnia było jeszcze daleko; wschód zaledwie płonąć się zaczął.

³³ Prawdopodobnie fragment ten powinien brzmieć: „płynęły dźwięki za dźwiękami”. Tak w „Noworoczniku Demokratycznym”.

³⁴ *pojawy* — zjawiska.

Usiadłem opodal źródła: czekałem, rozglądałem, rozszluchiwałem się; nikt nie przychodził. Poczęło świtać. Powiał wietrzyk poranny; poranną piosnkę zaszczebiotały ptaszki, tym lubym szczebiotem, którym na pół przebudzeni kochankowie sny sobie rozpowiadają; głośniejsze zaszeleściły liście, niby niewidzialna służba, krzątająca się około uprzątnienia domu dla nadchodzącego pana; silniejsze uczucie życia przeniknęło do duszy, uciszyło niepokój oczekiwania.

Owionęło mnie natchnienie ciche, błogie, rzewne; dobyłem fleta, zawtórowałem przyrodzie pieśnią samorodną, po raz pierwszy graną i zapomnianą w tejsze chwili; dźwięk jej szeroko się rozlegał po zroszonych górach, i skonał w chórze echa na skalistych szczytach. Przestałem grać, echa ucichły; jeszcze sam byłem. A słońce zbliżało się: widać to było po złotawszej coraz barwie obłoków, po tchnieniu ziemi coraz cieplejszym. Czułem je także po coraz większej wewnątrz spokojności: za którą przyszło wkrótce takie znużenie wskutek niespanej nocy i wytrzymanego boju myśli, że ani się postrzegłem, kiedy zasnąłem.

Sen mój był dziwny; jeszcze dziś wątpię, czy spałem. Pozostałem w tym samym stosunku do świata rzeczywistego. Słyszałem szelest drzewa, czułem każdy powiew wiatru, widziałem, jak słońce wschodziło; tylko że wszystkie wrażenia były cośkolwiek złagodzone, jak w żywym przypomnieniu; a wszystkie widoki przedstawiały się jak za szkłem zwierciadła. Zresztą widziałem i tę samą okolicę, i kamień, pod którym siedziałem, i pieniący się Dunajec, i jego źródło; nie odstąpiła mnie nawet myśl o Straszonym Strzelcu; czekałem jego przybycia, upatrywałem go jak na jawie, aż na koniec ujrzałem. Siedział naprzeciw mnie, przy samym źródle, z tym samym co wczoraj obliczem, tak samo jak wczoraj ubrany i uzbrojony. Widok jego przejął mnie dziwną bojaźnią, a raczej uszanowaniem; nie śmiały pierwszy powstać i przemówić. On zaś jakiś czas patrzył na mnie spokojnie, dobył potem z torby piszczałki i grać zaczął. Początek był smutny, bolejący; wkrótce potem³⁵ przeszła w coraz wyraźniejsze jęki, potem zaczęła słabnąć, a skończyła się głuchymi, pogrzebnymi tonami. Słuchałem z taką uwagą, z tak chciwym uczuciem, że dotąd ją pamiętam prawie całą. Skończywszy granie, Strzelec wstał, przeszedł koło mnie, do-

³⁵ Tu chyba powinno występować słowo „pieśń” zamiast „potem”. Tak w „Noworoczniku Demokratycznym”.

tknął mego ramienia lekkim jak powiew dotknięciem i tylko te słowa powiedział:

— Za trzy dni w Poroninie³⁶.

W tej chwili obudziłem się. Oczy moje zwrócone były za odchodzącym; ale zamiast jego ujrzałem biegnącego ku źródle człowieka w koszuli tylko, bez obuwia; miał on piersi szeroko odkryte, na głowie zawiązaną chustkę, w twarzy rozpalenie, gadał głośno do siebie; we wszystkich ruchach widać było stan nadzwyczajnego wzruszenia. Zbiegł szybko o kilka kroków niżej źródła, gdzie Dunajec potokiem już skakał po głazach, przypadł na brzegu, i począł pić tak gwałtownie, tak długo, że zląkłem się, czy nie stało mu się co złego. Powstałem szybko, zbiegłem w dół; jeszcze leżał; trąciłem go z lekka.

Na dotknięcie zerwał się równymi nogami, spojrzał mi w oczy z wyrazem dzikiej radości i ciekawości i zawołał gwałtownie:

— Ha! jesteś więc! gdzież ona? gdzież ona?

Na zapytanie moje: — Kto taki? — zapalał cały gniewem:

— Ty drwisz ze mnie. Na twoje słowo przyleciałem co tchu, jak mię, o tu, widzisz, a teraz pytasz: kto taki? Jakbyś nie wiedział, że dla niej przybiegłem. Zabij mnie, jeśli tego potrzeba, abym ją tylko natychmiast zobaczył. Śpiesz się, zabijaj!

Z tej mowy poznałem, że nieznajomy był przy chorych zmysłach.

Wziąłem go za ręce, wpatrzyłem się w oczy jego z dobrocią. Ręce pałały jak ogień, pulsa biły z podwojoną szybkością, twarz oblana była niezwykłym rumieńcem, oczy iskrzyły się, to latały na wszystkie strony, to stawały w miejscu jak kamienne. Przecież mimo to wszystko była w rysach pewna szlachetność, a twarz, okazująca człowieka około lat czterdziestu, ujmowała jakimś wyrazem dziwnie przyjemnym. Zrazu chciał się wyrwać, ale trzymałem silnie. Czy uczucie mojej przewagi, czy mój wzrok niezmrużony, upamiętały go wkrótce. Uspokoił się, a gdy mię obejrzał spokojniejszym przez chwilę wzrokiem, zdumiał się widocznie i zawołał:

— To nie on! Podobny, strój taki sam, ale nie on!

Nie wdając się z chorym i nieprzytomnym w badawcze zapytania, zdawało mi się stosowniej pomóc mu, aby jak najprędzej do łóżka się dostał;

zrobiłem więc uwagę, że chłód poranny jest za mocny, a on za lekko ubrany, że to może mu zaszkodzić, i zapytałem, gdzie się każe odprowadzić.

— Do Dubna!³⁷ — zawołał — do mojej żony. Ale nie trudź się, pocziwy bracie, ona sama tu przybędzie, tylko co nie widać. Dziwna rzecz, że jej dotąd nie ma.

Z tych dopiero słów doszedłem, że biedny chory był to jeden z towarzyszy mojej niedoli, emigrant, major Nikorowicz. Znalazł on przytułek w Zakopanem; ale znać go nie mogłem, bo nie wyzierałem za sferę wieśniaków. Wiele jednak bardzo dobrego słyszałem o nim. Mając stopień majora w wojsku rosyjskim, wielkie zaufanie u naczelników i dowództwo placu w Dubnie, poświęcił to wszystko, kiedy powinność Polaka powołała go w szeregi narodowe³⁸, i przeszedł do wojska polskiego. Wszystkie te ofiary nie kosztowały go wcale; ale miał żonę młodą, piękną jak anioł, z którą musiał się rozstać i nie mógł dotąd połączyć się: tu była nieuleczona rana jego duszy. Nie zdołał nigdy oswoić się z nieobecnością żony. Zdawało się, że ta miłość wzrastała z czasem i zawadami, które leżały pomiędzy nimi. O żonie mówił ciągle, o niej myślał nieustannie, do niej tęsknił coraz więcej. Przedsięwziawszy pewne środki sprowadzenia jej do siebie, miał on wprawdzie nadzieję, ale ta nadzieja, nie spełniona dotąd, rozdrażniała³⁹ tylko niecierpliwy smutek. Od dawna już postrzeżono w nim skłonność do melancholii, i zaczęto lękać się o jego zdrowie. O tym wszystkim wiedziałem z wieści: nie wiedziałem, że już zachorował.

Że to on był, a nie kto inny, miałem wszelkie rękojmie, i nie omyliłem się. Widok ten ścisnął mi serce niewymownym bólem, ale była to dopiero przegrawka do pieśni najboleśniejszych uczuć.

Widząc chorego w usposobieniu łagodniejszym, puściłem ręce, które dotąd trzymałem, przywiodłem go nadto do tego, że usiadł na jednym z głązów nadbrzeżnych. Po krótkim zamyśleniu się, znowu zaczął mówić, niby do siebie:

— Dziwna rzecz! powiedział wyraźnie: Śmierć twoja u źródła Białego Dunajca; znajdziesz ją, zobaczysz żonę. Ani śmierci, ani żony. Kto wie, może już przyjechała?

³⁷ Miejsowość na Wołyniu.

³⁸ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „rewolucyjne”.

³⁹ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „rozdrażniała”.

Zwracając się potem do mnie:

— Może ty wiesz o tym? Powiedz. Ale ty jej nie znasz. Nie znasz; a jednak widzisz ją tutaj!

I pokazał na czoło.

— Tu zawsze jej obraz, gdzie tam! obraz, ona żywa tutaj. Mógłbym ją zostawić, żyć bez niej choć chwilę. Wziąłem ją z sobą. Ona sama nie wie o tym, że jest ze mną. Wszak mi przyświadczysz? Widzisz ją? Nie widzisz? A! prawda, musiała odejść — do dzieci. Ach! żebyś wiedział, co to za matka! A to tak daleko i tak pilnują! Słuchaj, czy nie mógłbyś jej sprowadzić? Wy, górale, lud dowcipny⁴⁰. Sprowadź ją choćby czarami. Dam ci, co zechcesz. Ja wiem, że to trudno. I daleko, i pilnują. Ale będę ją miał na złość im. Wyraźnie dziś mi powiedział: Śmierć twoja u źródła; znajdziesz ją — to żonę zobaczysz. — Przyszedłem: ani śmierci, ani żony. Cóż robić? trzeba czekać. Ależ ja tak dawno czekam! A żyć bez żony-aniola, to tak ciężko! a czekać, to tak nudno. Już tyle lat czekam, a jednak to tylko tygodnie. Ani śmierci, ani żony.

Jeszcze jakiś czas prowadził rozmowę podobną, zwracając zawsze, jak piosenka, do ostatnich wyrazów. Kiedy ucichł, zasłonił oczy rękami i płakał; potem zaczął śpiewać, głosem coraz cichszym, coraz smutniejszym, dziwnie rzewny wierszyk, który, jak się później dowiedziałem, sam ułożył, błakając się w górach.

Czy to skutek wody, którą pił tak chciwie, czy świeżość chłodnego poranku, jak zwykle w górach, gorączka wolniała⁴¹, policzki bladły, oczy gaśły, głos brzmiał mniej silnie i całe ciało widocznie słabło. Drżały już pod nim nogi, kiedy siadał, siedząc, staniał się; skończywszy śpiewanie, chciał powstać, próbował po kilkakrotnie i nie miał mocy. Na koniec zupełnie zbladł, wyciągnął ku mnie rękę, ręka opadła, chciał coś przemówić, język się splątał; oczy zamknęły się, stoczył się z kamienia na murawę. Myślałem, że skonał; skoczyłem ku niemu, dotknąłem serca i pulsu, serce i puls biły, po twarzy zimny pot lał się strugami; było to tylko zemdlenie. Porwałem go na ręce, przyniosłem nad brzeg Dunajca, skropiłem wodą czoło i piersi, użyłem wszystkich sposobów trzeźwienia, jakie mi się nawinęły, aż w końcu przywiodłem go do zmysłów.

⁴⁰ *dowcipny* — tu: rozumny, bystry.

⁴¹ *wolniała* — stawała się mniej intensywna.

Otworzył oczy, ale mgła półśmierci leżała na nich; oblicze ożyło cokolwiek, ale bladeść omdlenia całkiem prawie została; chciał się podnieść, za ledwo mógł się ruszyć; w piersiach grało, kiedy milczał; cichy głos był jego, kiedy przemówił: zdziwił się zrazu stanem, w którym się znajdował, i miejscem, po chwili wszystko sobie przypomniał; pamiętał każdy niemal wyraz w obłąkaniu powiedziany.

— Dziękuję ci, bracie, dziękuję za twoje staranie — mówił słabym i przerywanym głosem. — Bóg ciebie zesłał. Bez ciebie byłbym zginął; miałem szalone zamiary. Ocaliłeś mnie; nigdy tego nie zapomnę. Ale kto jesteś? Zapewne nie z tego miejsca; nie pamiętam, żebym cię kiedy widział.

Nie czułem potrzeby robić przed nim tajemnicy z mojego stanu, powiedziałem szczerze, kto byłem. To wyznanie wielce go uradowało; ale nie miał siły zdobyć się na wyrazy odpowiednie uczuciu; podał mi tylko rękę, ścisnął mię słabo i prosił przede wszystkim, aby mu pomóc zmienić miejsce, gdzie by mógł wygodniej odpocząć, zaczym nabierze siły potrzebnej do powrotu. Nogi jednak nie służyły. Wziąłem go znowu na ręce jak dziecko, przeniosłem na suchsze miejsce, rozesałem góralską moją guńkę⁴² i położyłem go na niej.

Gorączka odchodziła widocznie, ale osłabienie powiększało się, a z nim cierpienia. Wtedy dopiero miałem widok dziwny, cudowny. Dusza, wrócona do zwyczajnego stanu, odzyskała uczucie wszystkich cierpień, i zarazem całą męską energię. Osłabienie, boleści, mocniejsze od sił żywotnych, rozlały się po obliczu, ale nie mogły złamać wyrazu pewnej spokojności, pewnego poświęcenia się, w którym cała dusza na jaw występowała. Twarz ta wyglądała jak chmurka ozłocona blaskiem słońca; zdawała się w tej bladeści śmiertelnej, w tej mgle najgłębszego smutku, promienieć wewnętrznym uśmiechem; widziałem świętą twarz męczennika. Wkrótce przejrzałem podobną duszę. Samo odkrycie mojego stanu już nas połączyło wszystkimi uczuciami i węzłami towarzysza broni, spółtułacza, Polaka, brata. Chory, odpłacając szczerą szczerością, zrobił wzajemnie spowiedź własnego życia, otworzył całe serce, wyśpiewał całą pieśń swojego nieszczęścia; a kiedy mówił o żonie, o dzieciach, widać, że dotknął najboleśniejszej struny. Konwulsyjna zmiana przebiegła jego oblicze, łzy potoczyły się w nadzwyczajnej obfitości, ale spokój przemógł. Widziałeś łzy z głębin duszy płyną-

⁴² Zob. przypis 13 na s. 116.

ce, a jednak obok nich widziałeś moc męża silniejszą od boleści, która takie łzy wyciska. Nie wytrzymałem tego widoku, zapłakałem mimowolnie.

Nie znam nic bardziej wzruszającego jak łzy w oczach mężczyzny, ale mężczyzny z duszą mocną. Miałem ojca, który był jednym z tych ludzi silnej woli, nieugiętego charakteru, żelaznej duszy. Rzadko widziałeś uśmiech na jego twarzy, a smutku nigdy. Pamiętam, raz, było to w dzieciennych moich latach, doniesiono mu o śmierci brata, którego bardzo kochał. Przeczytawszy list okropny, załamał tylko ręce, ścisnął potem nimi głowę i kilka łez po kamiennej twarzy spłynęło. Wstał, zamknął się w swoim pokoju, rzucił się na łóżko, obwinął głowę w poduszkę, i w tej postawie dwie lub trzy godziny przesiedział; tylko kiedy niekiedy słyszeliśmy jakby głucho ryk. Małym dziećciem byłem wtedy: od owego czasu widziałem wiele ócz we łzach, ale ani rzewny płacz dziecka, ani łkanie kobiety nie robi na mnie takiego wrażenia jak jedna, cicha łza mężczyzny, przypominająca mi boleść mojego ojca. I dziś płaczę, kiedy to piszę. Przyjmij, zacny ojcze, te łzy jako jedyną cześć pogrobową, na którą dzisiaj zdobyć się mogę; kto wie, czy będę miał kiedy smutną rozkosz złożyć je na twojej mogile!

Wzruszenie moje było bardzo widoczne, nie uszło uwagi chorego. Spojrzał na mnie z podziękowaniem i wnet zmienił ton rozmowy. Zaczął mówić o Polsce, o swojej wierze w prędkie przesilenie obecnych jej nieszczęść, o rychłej zmianie naszego tułaczego położenia, o radości za powrotem do kraju, do domów, do rodzin; a obwodem tego kółka przyszedł znowu do własnych nadziei, do swojej żony, do pewności, że ją wkrótce ujrzy.

— Bo ta moja słabość — mówił — nie ma nic strasznego. Dzisiaj czuję się znacznie lepiej. Tej nocy wprawdzie byłem bardzo słaby, nie miałem jeszcze nigdy tak gwałtownego przystępu maligny; widać, że się gorączka przesilała, bo teraz nic jej nie czuję, zostało tylko osłabienie, ale spodziewam się, że za dni kilka zupełnie do siebie przyjdę.

— Jakże dziwna to słabość — mówił dalej po krótkim przestanku — dziwna ze swoimi widzeniami; gdyż wszystko prawie pamiętam, o czym podczas gorączki marzę, a niektóre przywidzenia zostawiają po sobie szczególniejsze wrażenie. Jedno z takich widzeń miałem właśnie dzisiejszej nocy. Służący, który mię dogląda, myśląc zapewne, że usnąłem, wyszedł, zamknąwszy drzwi dobrze. Słyszałem to wszystko, bo tylko marzyłem snem gorączki. Wkrótce zdało mi się, że ktoś wchodzi, otworzyłem oczy i postrzegłem w istocie kogoś idącego ku mnie. Zdawało się, że nie było w nim nic

nadzwyczajnego; z ubioru i całej postawy wyglądał jak zwykły góral; mimo to uczułem niepojętą jakąś trwogę, coś podobnego do owej trwogi dziecka, które ma odebrać karę z rąk groźnych, a jednak najmilszych, trwogę całkiem dziecinną przed chłostą ojca. Prawda i to, że gość mój miał wyraz nieugiętej surowości, zresztą niewypowiedzianie piękny, odbłaskiem pewnej wewnętrznej potęgi. Zbliżywszy się do łóżka, powitał mnie najprzód słowami:

— Niech będzie pochwalony!

— A gdy nic na to nie odpowiedziałem, wziął mnie za rękę i rzekł:

— Mój synu, tobie źle.

— Te wyrazy tchnęły najczulszą dobrocią, ośmieliły mię, przeto odpowiedziałem:

— Ale może być dobrze.

— Czegoż ci potrzeba?

— Mojej żony, moich dzieci.

Góral obracał głową, jakby nierad z mojej odpowiedzi.

— W tym jednym przyczyna twojej słabości i wszystkich twoich cierpień. Źle robisz, że się poddajesz takim smutom. Polakowi one dzisiaj nie przystoją; to grzech; tobie jednak przebaczone, bo wiele cierpiałeś. Dlatego wkrótce zobaczysz swoją żonę.

Chciałem się zerwać, aby go uścisnąć przez wdzięczność. Przytrzymał mię:

— Wszak znasz źródło Białego Dunajca?

— Jakże miałbym go nie znać? W istocie najulubieńsze to dla mnie miejsce. W moich czarnych godzinach tam najbardziej lubię przesiadywać, nigdzie nie myślę tak jasno, tak swobodnie o drogich mi istotach, jak tutaj, w tym ustroniu, przy tym szumie. Tu najbezpieczniejszy byłem przed ludźmi, a przyroda najzgodniej wtórowała moim marzeniom.

— Biegnijże — mówił góral — do źródła, tam twoja śmierć; jak ją znajdziesz, to żonę zobaczysz. Już tam czekają na ciebie.

Kiedy w tej chwili rozbieram z zimnem zastanowieniem te wyrazy, nie znajduję w nich ładu, ale w pomieszaniu gorączki pochwyciłem je jak wyrocznie.

— Czy to być może! — zawołałem.

— Być musi — odpowiedział.

— Któż wy jesteście, nieoceniony człowieku, że tak dobrze ludziom ro-bicie?

- Nazywają mnie Straszny Strzelcem — i odchodził.
- Zobaczysz was jeszcze kiedy?
- Na swoim pogrzebie.

Na to opowiadanie chorego nie mogłem się powstrzymać od podziwienia⁴³, przerwałem i zapytałem, jak wyglądał? Chory opisał mi go takim zupełnie, jakiego ja widziałem. Podziwienie moje było tym większe i widoczniejsze; chory zapewne je postrzegł i przypisał innym przyczynom.

— Ot! zwyczajnie — rzekł — gorączkowe maryl. Tysiące podobnych przesunęło się w mojej słabości. Ale inaczej myślałem w owej chwili, po wyjściu widziadła. Wkrótce dała mi się słyszeć muzyka od strony źródła; smutna i wabiąca niezwykłym sposobem. Wyskoczyłem z łóżka, jak leżałem, i pobiegłem do źródła. Pamiętam rozpacz moją, nie znalazłszy obiecanej żony. Kto wie, na czym by się skończyło, gdyby nie twoja obecność, kochany bracie. Może bym i znalazł śmierć w Dunajcu. Dzięki Bogu, przeszło wszystko jak mara.

Kończył właśnie te słowa, kiedy ujrzałem dwóch ludzi, śpiesznie idących od strony hamerni⁴⁴. Ujrzawszy nas, podwoili kroku. Kiedy nadeszli, z uśmiechem powitał ich chory; byli to domownicy gospodarza, w którego domu Nikorowicz przesiadywał. Nie znalazłszy go w łóżku, zgadli od razu, gdzie go szukać. Chory chciał iść, ale sił mu nie starczyło na tyle; trzeba go było nieść aż do mieszkania. Pomogłem służącym. W domu jeszcze spano. Złożyliśmy chorego w łóżku, po czym go pożegnałem z obietnicą i postanowieniem jak najprędszego zobaczenia się.

Słowo pogrzebowe

Prace moje, że tak powiem, apostołskie, jakkolwiek nieudolne, że jednak prowadziłem je według pewnego planu, a przez to zależałem już od nich, nie pozwoliły mi bawić dłużej w Zakopanem, i tego dnia jeszcze zaprowadziły mnie o mil kilka, w okolicę z drugiej strony Nowego Targu leżącą. Przez to oddalenie, przez pilne zajęcie się innym przedmiotem nie

⁴³ *podziwienie* — zdziwienie, zdumienie, także podziw.

⁴⁴ *hamernia* — huta żelaza, kuźnia. Z kontekstu *Dziennika podróży do Tatrów* wynika, że Goszczyński ma tu na myśli hutę żelaza.

miałem ani czasu, ani sposobności wywiadywać się o staranie chorego. Ochłonałem równie z wrażeń, jakie na duszę moją wywarła tajemniczość Straszego Strzelca. Niewiele brakło, abym całe to zdarzenie za sen uważał i sam śmiał się z mojej przesądnej łatwowierności. Wszakże nie mogłem jeszcze podnieść się aż do tej wysokości zimnego rozsądku i, mówiąc prawdę, nie bardzo usiłowałem. Nadto pamiętałem dobrze sen przy źródle i czekałem z niecierpliwością jeszcze jednej próby, owego trzeciego dnia w Poroninie.

Właśnie w porę żadaną ułatwiłem się z moimi sprawami i wracałem nazad w okolice Morskiego Oka. W Nowym Targu zaszło mi słońce; przyspieszyłem kroku, bo się zanosilo na burzę, a nie życzyłem sobie spotkać jej w miejscu obcym. Zaczęło zmierzchać, kiedy wchodziłem do Poronina. Burza coraz bliżej i widoczniej zagrażała. Wszystkie szczyty Tatrów okryły się chmurami; widać już było dalekie błyskawice i głuchy odgłos grzmotów dochodzić poczynął. Naraz, w chwili cichszego powietrza, usłyszałem śpiewanie pogrzebowe; rzuciłem okiem w stronę smętarza⁴⁵ i postrzegłem na nim światła, chorągwie, jednym słowem pogrzeb. Jakby mię tknęło coś w serce, zapomniałem o burzy, o pośpiechu, udałem się co prędzej na smętarz. Za późno przybywałem. Ledwie zachwyciłem⁴⁶ końca ostatniego *Requiem*. Orszak pogrzebny, wracający skwapliwie, zapewne w obawie nadchodzącej burzy, spotkał mię przy wejściu do smętarza. Zapytałem o zmarłego. Niestety! natchnienie przeczucia nie omyliło; to on, Nikorowicz, spoczął dziś w grobie. Człowiek, na którego trafiłem, znał go, wiedział wszystkie szczegóły jego słabości i śmierci, opowiedział mi w krótkości wszystko. Od niego dowiedziałem się, że Nikorowicz przestał żyć nazajutrz po naszym widzeniu się. Zdaje się, że główną przyczyną jego śmierci, a przynajmniej śmierci rychlejszej, było oziębienie się wodą dunajcową. Stan przytomności, w którym go zostawiłem, trwał bardzo krótko. W kilka godzin szła gorączkowy objawił się gwałtowniej niż kiedykolwiek, i równocześnie prawie gangrena we wnętrznościach, tak silna, że w kilkanaście godzin spaliła całe ciało. Umarł z rana bez przytomności i mowy, które utracił na godzin kilka przed śmiercią. Dopóki był w stanie mówić, wzywał ciągle swojej żony, czasem jakby ją widział i rozmawiał z nią. Jeżeli nie o żonie, to o Polsce

⁴⁵ Zob. przypis 5 na s. 165.

⁴⁶ zachwycić — zauważyć.

marzył; kilka razy wspomniał z rodzajem przestachu Straszego Strzelca, nawet i mnie miał w pamięci, jak to z opowiadania łatwo domyślić się mogłem.

Pocziwy opowiadacz mówił mi wszystko ze łzami w oczach. Powszechny miał być płacz przy jego śmierci, bo posiadał wszystkie przymioty ujmowania sobie ludzi, z którymi żyć mu przychodziło. A ktokolwiek zaznał go choć najmniej, przywiązywał się do niego trwałym wspomnieniem. Liczny też był orszak pogrzebowy i cały żałobą dusz okryty. Widziałem to na wszystkich prawie twarzach.

Smutne to zdarzenie napełniło mnie niewymownym bólem. Był mi on jakby nieznanym, ale miał tyle praw do ostatniej części⁴⁷ z mojej strony, jako pocziwy człowiek, jako Polak, spółtowarzysz, spółwyznawca, spółofiara. Pobiegłem na grób jego; kilku znajomych mi górali przyłączyło się do mnie. Ledwie do połowy był zasypany; wypełniał się powoli. Patrzałem smutnie, jak za oddalającym się w coraz głębszą wieczność; a myśli były jeszcze smutniejsze, łzawsze niż oczy.

Tak więc skończyłeś, kochany towarzyszu, wszystkie twoje przedsięwzięcia, nadzieje, rozkosze w marzeniach, cierpienia w rzeczywistości, w oddaleniu od stron rodzinnych, w tęsknotach, w boleściach, między obcymi. Obca ręka zamknęła ci oczy, obca ręka rzuciła ostatnią grudkę ziemi na twoją mogiłę. Zimna liłość, urzędowa miłość bliźniego otaczały łożę twego skonania, zamknęły wieko twej trumny, pożegnały cię w imieniu tego świata, gdzie miałeś istoty tak drogie tobie, którym tak drogi byłeś. Twój anioł ziemski gdzieś daleko; może w tej chwili marzy o tobie, o swoim, o wspólnym szczęściu, wypieszcza pocałowania, którymi ma cię powitać, ani wie, że ta chwila leci ku niej z największą rozpaczą, jaka w kobiecie uderzyć może. Twoja żona marzy o mężu, dzieci o ojcu, a żona wdowa, a dzieci sieroty. Dowiedzą się o swoim nieszczęściu, kiedy już najmniejsza pociecha w pomoc przyjść nie może, kiedy nie będą mogły złożyć ostatniego pocałowania, choćby na martwym ciele, kiedy nawet na grobie twoim uklęknąć nie będą mogli. Zginąłeś dla nich bez śladu. Szczęśliwy jednak, że przynajmniej we własnej ojczyźnie spocząłeś. Ale ja, ale mnie podobni, kto wie, czy posiadziemy to szczęście? kto wie, jakie wiatry będą igrały z naszymi resztkami? O módl się, módl się za nami, abyśmy w Polsce pomarli!

Przerwał mi te smutne dumania ruch i szmer na smętarzu.

Jakiś orszak zbliżał się ku grobowi, nierozeznany⁴⁸ z początku, bo już dobrze zmierzchać zaczęło. Kiedy się nowi przychodnie zbliżyli, a do tego kilkakrotny błysk nieba oświecił smętarz, dostrzegłem kilkadziesiąt górali, a na ich czele zgadnijcie kogo? — oto Straszego Strzelca.

Na widok jego zadrżałem mimowolnie. W tejże chwili przyszło mi na myśl objawienie się jego Nikorowiczowi i obietnica widzenia się z nim na grobie. Ta myśl, uroczystość miejsca, ciemność nocy, połyski burzy, obwiałe dziwnym, nadzwyczajnym tonem całe to zdarzenie, do nadzwyczajnego stroju podniosły moją duszę. Oniemiałem na chwilę.

Strzelec zbliżył się, stanął nad grobem, uchylił kapelusza i wyrzekł uroczystym głosem: — Pokój temu domowi! — a w całym powietrzu, jakby na jego rozkaz, najgłębsza nastąpiła cisza. Przez chwilę patrzył po zgromadzeniu: korzystałem z tej chwili, ośmieliłem się dłużej nieco zatrzymać wzrok na nim. Znalazłem go takim samym jak podczas owego muzycznego wieczora; tylko w wyrazie oblicza dostrzegłem więcej nadziemskiego piękna, nadziemskiej wzniosłości, bo nic prawdziwszego, że mimo ciemności i przerywanego światła błyskawic twarz jego zdawała się mocniej jaśnieć niż innych przytomnych⁴⁹. Postawa także wydała mi się ogromniejszą jak wprzód; a w nieruchomości pełnej życia i wdzięku można ją było wziąć⁵⁰ za najdoskonalszy wzór potęgi wywodzącej życie z grobu, uosobionej w nagrobnym posągu. Otworzył usta do mówienia, a silna burza z błyskawicami znowu grać poczęła, tak silnie, tak blisko, jak żeby w piersiach się jego poczyniała.

— Dzieci moje — zawołał — tu, do grobu wszyscy! i słuchajcie. Nie człowieczy głos mówi do was, ale głos Boga; ja go tylko tłumaczę na wasz język. Słuchajcie! Sprowadziłem was tutaj, aby wam dać wielką naukę. Widzicie ten grób drobny, lichej? A on jednak większy, potężniejszy jak te góry: leży w nim wasz męczennik, wasz święty, wybraniec waszego ludu. Widzicie dokoła te czarne chmury po dolinach, po górach? to ziemia polska w żałobie po umarłym. Słyszycie te głuchoe grzmoty? powietrze polskie modli się za nim. Całe niebo błyska! to niebo sprawia pogrzeb ciachu, a otwiera się dla duszy. On już błogosławiony. Powiem wam, dłacz-

⁴⁸ *nierozeznany* — nierozpoznany.

⁴⁹ *przytomni* — obecni.

⁵⁰ Zob. przypis 38 na s. 124.

go. Urodził się on Polakiem, los poddał go w służbę obcego⁵¹. Miał on dostatek, pojął za żonę piękną kobietę, doczekał się dzieci, był tak szczęśliwy jak wy, którzy macie dostatek i rodzinę; w tym szczęściu mógł całe życie przeżyć, gdyby chciał być dla swojego tylko żyć dobra, i zostać wiernym nieprzyjacielowi swojej ojczyzny; ale on pamiętał na to, że pierwaj był Polakiem jak sługą obcych⁵², jak mężem i ojcem. Otóż przyszła wojna, o której niedawno słyszeliście tylko, a nie chcieliście jej zobaczyć, jakbyście i wy byli obcymi. Naród polski, co na dolinach, wziął za broń i wezwał wszystkich braci do wolności; wtedy i on zapomniał⁵³ o swoim dostatku, o żonie, o dzieciach, porzucił wszystko, poświęcił wszystko, a poszedł bić się za Polskę; bo nasz pierwszy dobrodziej to nasza ojcowizna; dla niej nie chciał przyjąć przebaczenia dobrodziejów nieproszonych⁵⁴, i dla niej umarł jak wygnaniec, pomiędzy obcymi ludźmi, z daleka od swojej rodziny. Nie czas mu było jeszcze umierać; zgubił go grzech jego własny. Ukochał jedną kobietę tyle prawie co Polskę, cierpiał dla niej tak samo prawie jak dla Polski; ta miłość przyspieszyła mu koniec: z czystą miłością Polski byłby żył dłużej dla żony, byłby żył dłużej dla dzieci, byłby lepiej umarł — w bitwie. Był to jedyny grzech jego, i ten go zgubił. Pamiętajcie, dzieci, na to, co mówię. Strzeżcie się jego grzechu, naśladowcie w poświęceniu. Uważajcie dobrze, co mówię, bo mówię według waszego Boga. Nie przestaliście być Polakami⁵⁵. Waszym bratem najpierwszym Polak; kochajcie wszystkich, ale nade wszystko Polskę⁵⁶. Tak chce Bóg, który was stworzył na ziemi polskiej, z oj-

⁵¹ W „Noworoczniku Demokratycznym” zamiast „obcego” następują tu słowa: „Moskale, nieprzyjaciela Polski, jak wy jesteście w służbie Cesarza, podobnego nieprzyjaciela. Car dobrze płaci, kiedy chce kupić sobie miłość i wierność, tak jak wasz Cesarz opiekuje się wami, nazywa się waszym ojcem, abyście tylko wyparli się swojego narodu”.

⁵² W „Noworoczniku Demokratycznym” — „moskiewskim”.

⁵³ W „Noworoczniku Demokratycznym” występują tu dodatkowo słowa: „o przysiędze, którą złożył swojemu Cesarzowi, o jego łaskach”.

⁵⁴ W „Noworoczniku Demokratycznym” brak frazy rozpoczynającej się od słów „bo nasz pierwszy...”. Pierwotnie tekst brzmiał: „za nią bił swoich dobrodziejów, dla niej nie chciał przyjąć ich przebaczenia”.

⁵⁵ W „Noworoczniku Demokratycznym” występowały tu słowa: „Jesteście dziś poddanymi Cesarza, ale dlatego nie przestaliście być Polakami”.

⁵⁶ W „Noworoczniku Demokratycznym” zamiast tego zdania: „Wasz brat nie Niemiec, ale Polak, kochajcie nie Ojca Cesarza, ale matkę Polskę, nie panów niemieckich słuchajcie, ale waszego narodu”.

ców Polaków i dał wam myśli i języki polskie. Zapomnieliście o tym, poszliście przeciw woli Boga i Bóg was ukarał⁵⁷. Dalej będzie wam gorzej. Nazwą was niemową⁵⁸; wasz język zapłacze się i zacznie, Bóg wie, po jakiemu⁵⁹ gadać; wasze wsie, wasze góry, wasze wody, wasi ojcowie, co w grobach, nie pojmą was wkrótce; a jak staniecie na strasznym sądzie i Bóg zapyta was po polsku jak Polaków: Coście zrobili z waszą ojczyzną? a wy nie zrozumiecie go nawet, czy wiecie, co was wtedy czeka?

Zatrzymał się i w tejże chwili uderzyło kilka piorunów, jeden po drugim, tak blisko, że widoczny dreszcz obleciał wszystkich.

— Przekleństwo i kara zdrajców! Sam Bóg powiada wam o tym. Na kolana, dzieci! — zawołał głosem, jeszcze bardziej grzmiącym. — Dusza umarłego wychodzi z grobu, rozplywa się po waszych duszach. Pamiętajcie, że każdy z was już ma ją w sobie. Będzie ona wam świadczyć przed Bogiem na zbawienie albo potępienie wasze. Bądźcież Polakami, kochajcie Polskę⁶⁰. Bo powiadam wam, że jej dusza jest zawsze pomiędzy wami, i nie porzuci was do sądnego dnia, a na sądnym dniu ona was przed Boga poprowadzi. Wy sami nawet słyszycie ją nieraz, widzicie, czujecie; ona was broni mimo waszej wiedzy, ona także i karze was czasem. A możecie ją poznać po wielkiej władzy nad wszystkimi siłami ziemi i nieba polskiego. Powiada chmurom: Przyświadczyć moim słowom! — i oto chmury świadczą.

Mówca umilkł, a głuchy war grzmotów przebiegł niebo od końca do końca i zakończył piorunem, od którego wstrząsła⁶¹ się cała okolica.

— Powie niebu: oblej łzami nowy grób wygnańca polskiego! i niebo płacze.

Mówca umilkł, a rześny deszcz szeroko się zamglił.

— Zechce znowu, ażeby pogoda błogosławiła koniec pogrzebu, a wnet widzicie niebo wypogodzone.

⁵⁷ W „Noworoczniku Demokratycznym” występowały tu dodatkowo słowa: „Wdaliście się w braterstwo z Cesarskimi, które nie dla was i oto jesteście jak bydło, bez narodu, bez ojczyzny”.

⁵⁸ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „Niemcami”.

⁵⁹ W „Noworoczniku Demokratycznym” zamiast „Bóg wie, po jakiemu” — „po niemiecku”.

⁶⁰ W „Noworoczniku Demokratycznym” występowały tu słowa: „i jej służcie”.

⁶¹ W „Noworoczniku Demokratycznym” — „wstrząsła”.

Zaledwie tych słów domawiał, chmury poczęły przeciwnymi wiatrami rozlatywać się na wszystkie strony, deszcz ustał, wprost nad samym grobem błysnęła jedna gwiazdka, a od niej coraz, coraz szerzej niebo się odślaniało, tak że wkrótce zgarnięte obłoki wisiały tylko po krawędziach horyzontu.

Mówca dalej ciągnął: — Poznacie ją lepiej, kiedy tak ukochacie waszą Matkę, że nie będzie między wami nieprzyjaciół, tylko wszyscy bracia, jedna rodzina⁶². Niech wam Bóg pomaga i błogosławi! Zobaczymy się kiedyś przy innej burzy.

To wymówiwszy, Straszny Strzelec wyszedł z koła i po kilku zrobionych krokach zginął wszystkim z oczu, jakby zniknął.

Łatwo sobie wyobrazić stan pozostałych przy grobie. Jedni modlili się, drudzy spojerali na siebie w niemym zdumieniu, inni przebąkiwali: to anioł boski! to czarownik! to cud!

Co się mnie tyczy, zagadka moich domysłów rozwiązała się jasno: widziałem objawienie duszy polskiego ludu. Przynajmniej tak mi się chce wierzyć. Błogo mi, pomyślałem sobie, żem doczekał takiego widzenia, ale błogosławię ten, kto słyszy na swoim grobie takiego mówcę.

*

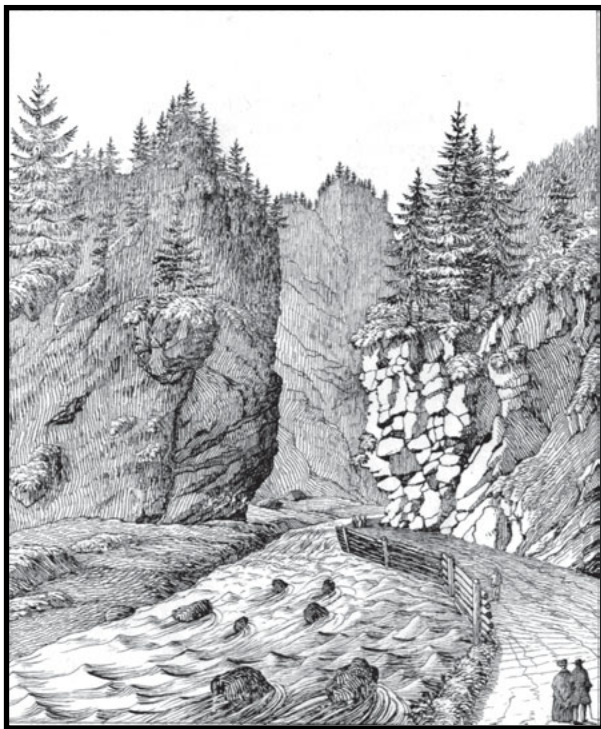
Na tym się skończył rękopis muzyka. Jeszcze raz powtarzam, że się nie podejmuję dowodzić rzeczywistości opowiedzianych wypadków. Komu ta cudowność będzie przeciwna, niech ją uważa za ramy poetyczne rozsądniejszych myśli. Ja przyjmuję wszystko, w dobrej wierze, za jeden obraz, nadzwyczajny może, ale niezupełnie nadprzyrodzony.

Pisano w grudniu 1841 r.

⁶² W „Noworoczniku Demokratycznym” zamiast tego zdania występowało inne: „Ją poznacie się [się — niepotrzebne, pomyłka w druku — A.K.] lepiej, kiedy tak ukochacie Polskę, że wyrzucicie z pośrodku siebie wszystkich jej nieprzyjaciół”.

Oda

Powieść z czasów Bolesława Chrobrego



W najgłębszej i najpiękniejszej ustroni Tatrów, wśród skał szarych, wśród lasów świerkowych, leżał zamek Gromowida, zaczepiony jak koza na urwistym boku góry, a w takiej wysokości, że szczyty jego spoczywały już na tle ciemnej zieleni kosodrzewia; wyżej łysiała już tylko opoka, przemykały się kozy, świstały strzały strzelców, przechadzały się wiatry i chmury, grały i płonęły pioruny. Pod nogami jego ponure gęstwy borów drzymały wiecznym, nieruchomym obłokiem; dolina najświeższej zieleni wygiętym pasmem gór patrzyła ku nim, jak oko wiecznie wesołe, a wzdłuż jej błyskały fale Czarnego Dunajca, jak połysk ruchawej żrenicy. Nie ma w całych Tatrach dzikszej i piękniejszej okolicy, nie ma też cichszej. W dzień śpiewy i okrzyki pasterzy, dźwięki piszczałek, gwar trzód były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, wesołą, pogodną; w nocy szum wiatrów i wód, gwizdy bobaków¹, ryk niedźwiedzi, hukanie nocnych ptaków były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, ponurą, zamgloną. Noc i dzień, pogoda jasna i chmurna przedstawiały się tu jak zmiany oblicza zawsze pięknego.

Takie było ustronie, takie życie wokoło zamku Gromowida. Ale milsze, pełniejsze i cichsze życie panowało w zamku. Gromowid, doświadczony mąż boju i głośny w wyprawach Chrobrego, i Oda, najpiękniejsza z góralek, używali tu pierwszych rozkoszy połączenia się swojego, z pełnej czary małżeńskich pieśnyczek, całymi duszami. Z umysłu wybrał Gromowid tę ustron i zamknął się w niej przed światem, aby świat nie miał najmniejszego udziału w ich szczęściu, aby nic ich nie wytrzeźwiało z upojenia. A upojenie nowożeńców było niemałe, jak były płomienne, silne

¹ Zob. przypis 138 na s. 77.

samą dzikością owych czasów ich serca. Gromowid postrzygany był jeszcze obyczajem pogańskim, w młodzieńczych dopiero latach poznał wiarę prawdziwą; przyjął on ją z całym zapalem, ale nie zdołał oczyścić krwi i ducha z resztek bałwochwalstwa; często hołdował przewadze ciała, nieugłaskanym namiętnościom. Takie też piętno miała jego miłość dla młodej małżonki.

Podobna była miłość Ody dla Gromowida. On ją nawrócił; a dzień zaślubin był dniem chrztu dla niej. Miłość Boga prawdziwego weszła w serce Ody z miłością kochanka ziemskiego, zlała się z nią, zgasała w niej prawie, i wydała tylko rozkosz i upojenie ziemskie. Nie dziw, że takie dwa serca półpogańskie zapomniały dla szczęścia swojego o wszystkim — przynajmniej na czas jakiś; żyły tylko przez siebie i dla siebie. I nie w samej chwili pieśniami można było postrzegać owo ich zlanie się w jedno. Kiedy Oda śpiewała rodzinne, tkliwe pieśni, serce Gromowida topniało, oczy zachodziły łzami, duch niewieści wstępował w niego. Kiedy znowu Gromowid opowiadał srogie wyprawy, dzielność wodza Lechitów, piękną okropność bitew, radość rycerskiego serca w zgielku bojów, większą jeszcze na polu zwycięstwa, popłoch nieprzyjaciół przed tchnieniem odwagi, Oda zapominała o słabości swojej płci, czuła rozchodzącą się po członkach męską siłę, drżała do miecza, gotowa była lecieć w ogień bojów. Takimi byli w cichym ognisku zamkowym, takimi byli na częstych wycieczkach w góry: Gromowid nie wstydził się przykładać rycerskiej ręki do niewieścich robót żony, Oda nie wzdygała się przed trudami i przygodami łowów na najdziksze gór zwierzęta. Było w tym wszystkim wielkie szczęście, ale to szczęście nie mogło trwać zawsze, nie mogło trwać długo. Przyszedł czas nareszcie, że poznał to Gromowid. Sumieniem jego począł kłócić niepokój, uciechy poczęły gorzknąć wewnętrzną zgryzotą. I w rzeczy samej coraz jaśniej widział, że był występny.

Bolesław obwołał kraj trzykrotnymi wiciami na wyprawę kijowską, a on skrył się w ustron, aby się nie znalazł na ich drodze. Cały naród w obozowym ruchu, a on gnuśniej w miękkich objęciach kobiety. Na próżno jego zbroja odbrzmiewa wojennym trąbom, głos ulubionej zagłusza zbroję. Wojsko pociągnęło na Ruś, wieści o bojach i zwycięstwach już obiegają Polskę, radują, wstrząsają wszystkie serca, a tylko jego serce odrętwiało. Odrętwiało dla czynu, ale nie dla zgryzoty.

Gromowid kochał Ode, ale nie przestał kochać ojczyzny i rycerskiej chwały. W upojeniu rozkoszy małżeńskich nie stracił całej pamięci na to, co był winien krajowi. Poznał, że uciechom małżonka poświęcił obowiązki męża Polski. Odtąd dwa sprzeczne uczucia stanęły naprzeciw siebie, jak dwa groźne wrogi; długo, długo spokojne, zaczyn się zmierzają. Starły się na koniec. Walka od chwili do chwili stawiała się gwałtowniejszą, ale wciąż niepewną. Miłość niewieścia, pieśczęty niewieście, sprzymierzone ze wszystkimi czarami cichego, łatwego szczęścia, trudne były do pokonania; wzmacniała je nadto osłabiona wola Gromowida. Ale ta walka odbierała rozpieszczonemu sercu najdroższy skarb jego, najpierwszy warunek szczęścia — spokojność. Miłość niewieścia, pieśczęty niewieście straciły połowę swojego uroku, nie ustępowały jednak z pola, aż przyszła chwila, która walkę rozstrzygnęła.

Noc była późna. Gromowid spoczywał obok swojej małżonki. Książę zaglądał w okno. Chmury przelatujące to zakrywały, to odsłaniały twarz jego. Blask walczył z ciemnością wewnątrz komnaty: podobna walka uczuć miotła sercem Gromowida. Nie mógł usnąć, a jednak, znużony rozkoszą, podniósł się, patrzył w twarz kochaną: głęboki sen osłaniał ją urokiem swoich skrzydeł, głębokie tchnienia podnosiły jej piersią, usta uśmiechały się przez sen; przyłożył do nich swoje, na próżno! i w nich nie znalazł spokoju. Wstał cicho. Bez myśli, bez wiedzy szedł do zbiorowej sali. Książę i tutaj patrzył przez okno: to jasnym okiem przeglądał zbroje, to, chmurząc się, okrywał je cieniem. Te zbroje, ten pozór wojny, powiększyły udręczenie, obudziły wstyd w sercu Gromowida. Nie śmiał stąpać, bo każdy krok rozlegał się po nocnej ciszy, jak echo groźby, i budził brzęk rycerski; rzucił się na najbliższą ławę, zadumał się, uczuł znużenie, zmrużył oczy, i zdawało się, że usnął. Krótki był jego spoczynek, dziwne przebudzenie. Porwał się równymi nogami, przetarł oczy, pozierał dokoła, niby przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i puścił się szybkim krokiem ku sypialnej komnacie. Zbliżył się do drzwi, zwolnił chodu, wspiął się na palce, stąpał zaledwie dotykając ziemi, z lekka drzwi komnaty uchylił i wszedł do niej: w północnej ciszy słychać było gwałtowne, nierówne bicie jego serca. Zbliżył się tymże stąpaniem do łoża, obejrzał je iskrzącym od jakiejś trwogi okiem, odetchnął ciężko, jak żeby ogromne brzemie zrzucił z piersi, ukląkł przy łożu, załamał ręce i, wzniosłszy w górę pobożne wejrzenie, zawołał półgłosem:

— Dzięki Ci, o Boże dobry, że to był tylko sen marny!

Po tych słowach wstał, wahał się niby między jakimiś myślami, ale w końcu wyszedł równie cicho jak śpiesznie. Biegł prosto, gdzie spał Warcisz, stary, wierny sługa od lat niemowlęcych.

— Warciszu! — rzekł, budząc sługę. — Wstań, mam z tobą pomówić! Słuchaj: tobie nieobca nauka guślarzy. Poradź się jej teraz i uspokój mię. Oto przed chwilą wszedłem do wielkiej sali i miałem dziwne widzenie, niby przez sen, niby na jawie. Patrzałem jakoby na moją zbroję, co tam wisi, i ujrzałem, że się poruszyła i szła ku mnie. Gdy stanęła tuż przede mną, zobaczyłem pod nią młodzieńca precudnej urody, z wejrzeniem dziwnego blasku, ale smutnym; długie włosy wymykały się kobiecym war-koczem spod szyszaka, a dwa orle skrzydła wielkie i jasne spadały z pleców jak u ptaka postrzelonego. Młodzieniec wziął mię za rękę, postawił przed oknem i ręką wskazał za okno. Wtedy zobaczyłem nieznana mi jakąś krainę, ogromne pola i lasy, i wielką bardzo rzekę, i na górze przy rzece gród jakiś okazały, bardzo warowny. Na murach grodu widziałem tłumy uzbrojone, a pod murami widziałem wojsko nasze², jak przez mgłę, poznałem jednak, że nasze. Co dziwniejsza, wyraźnie rozpoznałem postać Chrobrego. Obrócony był ku mnie twarzą, oczy miał gniewne, a stał tak blisko mnie, że iskry jego oczu padły mi na serce; zdaje się, że jeszcze dotąd je czuję. Spłonałem cały wstydem, spuściłem oczy, młodzieniec pociągnął mię znowu za rękę w stronę przeciwną. I oto znaleźliśmy się przed drzwiami sypialni. Młodzieniec pchnął drzwi, a ja ujrzałem na łożu — czy uwierzysz? mamże powiedzieć, co ujrzałem? Moją Odę w objęciach jakiegoś obcego, jakiegoś mnicha. Zadrżałem z gniewu, jak nigdy nie drżałem. Nie wiem już, co w tej chwili chciałem zrobić, ale młodzieniec zniknął, a ja ocuciłem się, nie wiem dotąd, ze snu, czy z widzenia, i ujrzałem się na ławie, jak przed tym przywidzeniem. Warciszu, zlituj się, powiedz mi, co ten sen znaczy?

Starzec wpatrywał się ze zdumieniem w twarz swojego pana, drżącego jeszcze na wspomnienie okropnego snu, przeżegnał się, pomyślał i zawołał:

² Tekst poprawiony według „Dziennika Domowego”. W wydaniu Brockhauza z 1870 roku brzmi: „Na murach grodu widziałem wojsko nasze [...]”. Uzupełnienie podkreśla sens widzenia Gromowida — wojsko polskie dopiero oblega gród, który jest silnie uzbrojony, tak więc jego obecność wydaje się niezbędna.

— Bóg z tobą, Gromowidzie! Próżno się trwożysz. Jest to nic więcej jak ostrzeżenie boskie. Ten młodzieniec — to twój Anioł Stróż. Owa kraina obca — to Ruś. Owe wojsko — to nasi i Rusini w boju; a mnich obok twojej żony — to ty, Gromowidzie — daruj staremu słudze — to ty sam, jaki jesteś w dzisiejszej twojej nieczynności, i jakim będziesz, jeśli dłużej tak zostaniesz. Gromowidzie, to ostrzeżenie Boskie, nie waż go lekce.

Gromowid słuchał z uwagą. Nie pokazał żadnej urazy, przeciwnie, z pokorą, ale głosem silnej woli, odpowiedział:

— Twoja prawda! Dziękuję ci za nią, Warciszu. Otworzyłeś mi oczy na moją hańbę, ale jeszcze pora otrząsnąć się z niej. Nie, nie powinienem dłużej zostać. Trzeba mi jechać do wojska, i pojadę, a pojadę dziś jeszcze, natychmiast. Idź zaraz, rozbudź wojenną czeladź, i niech w mgnieniu oka będą gotowi do drogi.

Warcisz ośmielił się poradzić, aby czekał do rana. Trzeba wszakże i snu użyć, bo podróż nużąca; potrzeba i żonę pożegnać.

Gromowid był niezachwiany; wola jego poszła już w tym kierunku, że złamie wszystkie zapory; mimo to, wspomnienie żony zhamowało³ go na chwilę, zamyślił się i wnet wrócił do pierwszego postanowienia, z mocniejszą nawet wolą, zdaje się, bo rzekł:

— Nie, zostaw czeladź⁴ do rana. To będzie trwać za długo, to rozbudzi cały zamek, i ona w tym czasie może się obudzić, a ja muszę wyjechać. Dla mnie więc tylko przygotuj konia, a resztę jutro po dniu wyprawisz; wszak drogę wiesz, zwyczajną; wypoczywając, będę czekał mojej służby. Idź. Zbroję sam przywdzieję.

Warcisz miał odchodzić; chwila nieprzyjazna jeszcze raz uderzyła w Gromowida. Zatrzymał sługę:

— Czekaj, odjechać bez pożegnania, bez ucałowania Ody, to boleśnie! A tymczasem, kto wie, może jedno jej słowo — ty wiesz, co jej słowo, co jej łza może nade mną — może by mię zachwiały, odwiodły od postanowienia. Nie chcę jej widzieć. Ty ją pożegnaj ode mnie! Powiedz jej, co mię kosztował ten odjazd, powiedz i to, że musiałem tak zrobić.

Mimo to stał w miejscu i myślał sobie:

³ *zhamować się* — powstrzymać się, opanować się.

⁴ *czeladź* — służba u magnatów i szlachty, pomagająca w domu, strzegąca zamku, towarzysząca w wyprawach wojennych.

— Ale nie, pójdę sam, pożegnam; albożem słaby jak kobieta?! Nie będę jej budził. Jeżeli się obudzi, potrafię oprzeć się jej wyrzekaniom; jeżeli nie, pożegnam śpiącą, będzie to, znać, wola Boska. Warciszu — rzekł głośno — chodź ze mną!

Weszli do sypialni. Oda spała wciąż snem głębokim. Długo stał i patrzył w nią Gromowid; pragnął, zdaje się, jej przebudzenia. Zdobył się wreszcie na krok stanowczy, przechylił się ku uśpionej, dał pocałowanie kradzione, i znowu stanął, i czekał jeszcze, i patrzył dokoła. Warcisz pociągnął go z lekka do wychodu⁵.

— Chwila jeszcze — szepnął Gromowid. — Co postanowiłem, to zrobię, ale jeszcze chwila.

Oko jego padło na dziewiczy wieniec Ody, który jako pamiątka ślubna wisiał nad łóżkiem. Gromowid zdjął go, położył na głowie Ody, szepcząc półgłosem, a w twarzy widać było, że mówił z głębi ducha:

— Żono moja, oto przez ten wieniec masz być jako dziewczica aż do mojego powrotu. Noś go do mojego powrotu. Biada temu, kto się go dotknie przede mną, biada głowie, co go straci. Tak mi, Boże, bądź świadkiem i ty, Warciszu!

A oblicze uśpionej, jakby się w niej odbiło przykre uczucie Gromowida, zamgliło się pół smutnie, pół rzewnie wewnętrznym niby płaczem, a ręka uśpionej podniosła się przez sen, i spoczęła na wieńcu, jak żeby⁶ chciała go przytrzymać.

Gromowid nie widział już tego. Zdaje się, że mało ufając swojej woli, wybiegł co prędzej z sypialni i udał się do zbrojowej sali. Za chwilę stał już na dziedzińcu w przyborze rycerskim, a przed nim stary sługa z koniem.

— Warciszu! — zawołał, dosiadając konia. — Nie zapomnij powtórzyć Odzie, co ci powiedziałem. Ja powrócę prędko, zdrowo, tego jestem pewny. Ty bądź jej opiekunem, ojcem. Pocieszaj ją, strzeż jej. O! strzeż jej, jak żrenicy w oku. Stary, ty wiesz, jak ją kocham. Biada nam wszystkim, gdybym jej nie znalazł taką, jak zostawiam, taką piękną i niewinną!

Domawiał tych słów już na koniu; w milczeniu dał mu ostrogę. Z wolna przejechał dziedziniec zamkowy, z wolna spuścił się z góry; ale raz na

⁵ *wychod* — wyjście.

⁶ *jak żeby* — jak gdyby.

płaszczynie doliny, pognął konia w całym pędzie, jak żeby lękał się za sobą pogoni, płaczu i wyrzutów swojej Ody.

2

Boleść Ody po odjeździe Gromowida porównać można tylko ze szczęściem, którego używała w jego objęciach. Była ona tym gwałtowniejsza, im zerwanie szczęścia było mniej spodziewane. Każda chwilka przeżyta z Gromowidem w pieszczotach, w rozkoszy, w marzeniach przyszłych pieszczot i rozkoszy, zamieniła się we łzę bolesną; za każdym krokiem, w każdym przedmiocie zjawiał się jego obraz, ale za mgłą tęsknoty i żalu. Cały świat otoczył Odę jak chmura smutku; przeszłość i przyszłość rozlały się w okrąg jej serca morzem płaczu. Na próżno stary Warcisz dla pocieszenia biednej powtarzał jej najtkliwsze z ostatnich słów odjeżdżającego męża, przyświadczał jej o jego nieznośnej wewnętrznej walce w chwili odjazdu, wymawiał go obowiązkami syna ojczyzny, męża rycerskiego, zaręczał szczęśliwy i rychły powrót; słowa pociechy padały na zbolełe serce jak palące krople na świeżą ranę; tylko rozjątrzały boleść, powiększały cierpienie. Wkrótce stały się one jej nieznośne, a unikając ich, poczęła unikać ludzi. W końcu samotność zamieniła się w potrzebę życia, w pewien rodzaj uciechy, jedynej rozkoszy, jaką w tym stanie znaleźć mogła. Czy to w domu, czy za domem, wszędzie i zawsze chciała być sama. W domu, zatrudniona niewieścią robotą, przesiedziała dzień cały między cichymi ścianami swojej komnaty, niewidziana od nikogo. Podobnie błąkała się po dniach całych między górami. Jeżeli kiedy zdarzyło się jej wezwać do tych wycieczek swoje służebnice, z dala kazała im być od siebie, a ona nad brzegiem jakiego potoku, nieruchoma po całych godzinach, odurzała myśl jego szumem, oko pędem fali, roiła dziwne maryl, żyła w świetle zaświatnym. Straciły dla niej urok pieśni rodzinne, które dotąd tak lubiła, które w gronie swoich niewiast słuchała z taką rozkoszą: dzisiaj znieść ich nie mogła, oprócz kilku najrzewniejszych, najlepiej przystających do cierpiącej duszy. Czasem z cichej zadumy przechodziła do gwałtownej rozpaczy; a wtedy szemrała przeciw dobroci Boga, bluźniła wojnie, sławie, ojczyźnie, wszystkiemu, co ją rozłączyło z mężem. Boleść Ody, jednym słowem, nie była to boleść niewiasty łagodnej, poddanej, czekającej cierpli-

wie końca swoich cierpień, ale duszy półdzikiej, silnej, czynnej, która każde uczucie miłe czy niemiłe gotowa jest posunąć do ostateczności, wyczerpać do dna. Kto pod takim bodźcem szuka końca swojej rozpacz, znajdzie go wreszcie.

W tym stanie największą jeszcze miało dla niej ponętę obcowanie z dziką przyrodą gór, a z największym upodobaniem zwiedzała te miejsca, do których łączyło się wspomnienie jej męża. Pewnego dnia czy ten, czy innego rodzaju pociąg zaprowadził ją na skały, które tworzą jakoby bramę Kościeliska od strony płaszczyzn. Tam fale Dunajca żegnają się po raz ostatni z macierzystą doliną, i z głuchym szumem opuszczają domowe swoje góry; stamtąd rozległy widok właśnie na okolicę, która leży między strapioną Odą a jej mężem bojującym: stamtąd może pierwsza ujrzy błyszczącą zbroję powracającego, może pierwsza usłyszy tętent jego konia.

Słońce letnie dawno zgasło; czerwony zachód bledniał; wszystkie już gwiazdy wyrzały z głębi niebios; grubym cieniem okryły się nieobejrzane lasy Tatrów; księżyc podniósł się zza gór i oblewał swoim blaskiem całą okolicę. Szarzały z dala, jak groźne widma, nagie opoki obliczem wychylonym z czarnej otchłani świerkowych gęstwin; po dolinie rozścielała się w dziewiczej bieli mgła powiewna, a Oda siedziała jeszcze na wierzchu opoki, w niepokoju pragnień, pod falami nadziei to żalu, z okiem i uchem ku drodze wytyczonym. Głęboko pod jej nogami wrzał głuchy szum Dunajca, wtórowały mu z różnych stron dalsze i bliższe pohukiwania sów i puchaczów. Nie było słychać żadnego śpiewu wdzięcznych dnia ptaków. Muzyka gasnącej przyrody grała uroczyście, ale ponuro. Żaden wiatr nie śmiał jej zakłócić; liść nieruchomy zdawał się z trwogą jej słuchać. Dokoła cisza i ciemność; tylko rojami iskier krążyły świętojańskie robaczki. Dwie domownice⁷ Ody, najczęstsze towarzyski jej późnych przechadzek, leżały pod świerkiem, z dala od niej. Oda, jak zwykle, chciała być samą; chciała sama z brzegu przepaścistej skały słuchać szumu Dunajca, dobierać do jego posępnego tonu posępniejsze jeszcze myśli. Ona by tak całą noc przetrwała. Z wolna, z cicha na drugiej stronie przepaści, ozwały się dźwięki, niby strojenie gęśli, niby przygawka; uciłły, podniosły się znowu, ale już w tonie jednej myśli, tęsknej, rzewnej,

⁷ *domownica* — osoba stale mieszkająca w danym domu, często razem z kimś mieszkająca, tu: służące mieszkające wraz z Odą w zamku.

powolnej, przez pół religijnej, zaokrągliły się w całość zwrotki, umilkły i znowu się ozwały, tą razą⁸ z towarzyszeniem głosu czystego, dźwięcznego, pełnego, męskiego; jednak czuć w nim było, że pierś, z której wychodzi, rozbita jest sercem gwałtownych wzruszeń. Pieśń ta była następującej treści:

Cześć tobie, o bogini mojej nocy!
Jaka ty blada i posępna, a jednak taka jasna i piękna!
O, czemuż nie mogę cię widzieć w każdej chwili jak teraz:
Wschodzisz dla mnie dopiero wtedy, kiedy słońce gaśnie;
Tylko przez zasłonę nocy raczysz mi świecić.
Tylko nocne ptaki wtórują moim pieśniom.
Ale ty je słyszysz. O! gdybyś wysłuchała!
O! prześliczna bogini, nie schodź z mojego nieba!
Miliony gwiazd nie zastąpią mi ciebie.
Świeć tak dla mnie przez dzień cały,
Słońce wesołe jest niczym obok twojej smutnej bladości.
Wysłuchaj mnie, o bogini mojej nocy!

Od pierwszego dźwięku zadrżała Oda, niby trwogą, niby — Bóg wie, jakim uczuciem. Lękać się nie miała przyczyny; przyszło jej zaraz na myśl, że śpiewak jest na przeciwnej skale, że zatem ubezpiecza ją zaporą głębi, której żaden skok śmiertelny przebyć nie potrafi. Im pieśń dłużej się ciągnęła, tym bardziej słabło pierwsze wrażenie przykre, a wzmagало się milsze. Wkrótce nie miała już chęci, a prawie mocy oddalić się, poruszyć się. Każdy dźwięk przykuwał ją do miejsca, jakby nowe ogniwo niewidocznego łańcucha; było coś czarodziejskiego w tej pieśni razem pobożnej i żalostnej. Podczas grania służebne przybliżyły się także, z odmiennym jednak wrażeniem; widać, że się niepokoiły, ale nie śmiały pierwsze przerywać zasłuchania się pani. Dopiero, kiedy pieśń ucichła, a Oda niby ockniona, poczuwszy je przy sobie, zwróciła się ku nim i zapytała, czy słyszały granie, starsza ze dwóch, sędziwa Maria, za całą odpowiedź rzekła:

— Odo, czas wracać do domu. Przybliża się godzina złych duchów i złych ludzi. Bezpieczniej nam być daleko od tego miejsca i od takiego śpiewania.

⁸ *tą razą* — tym razem.

Nie było powodu odrzucać wezwania Marii. Oda bez oporu powstała, ale po kilku krokach zatrzymała się, bo śpiew znowu się odezwał w następnych słowach:

O, prześliczna bogini mojej nocy,
Ledwie mi błysnęłaś i już zachodzisz!
I znowu nieprędko cię ujrzę, chyba jutro.
I znowu będę się dręczył ciemnością, sam ponury jak ciemność.
O, czemuż nie możesz mi świecić zawsze jak teraz?
Jaskinia moja dzika, naga, pusta,
Ale znajdziesz w niej cześć i miłość, jak bóstwo.
Tam nas nie rozdzieli żaden obłok —
Tam będziesz wschodzić i zachodzić w mojej miłości.
Wysłuchaj mię, ozdobę nieba i ziemi!

Głos śpiewaka, coraz posępniejszy, tchnął coraz głębszym wzruszeniem pobożnym, błagalnym, a przenikał serce jak głos miłości i wlewał w nie takie upojenie. W podobnym upojeniu stała Oda; przerwał je nie-toperz, który znęcony bielą niewieściego rąbka, snuł się jakiś czas wokoło nieruchomej Ody i w końcu padł na jej piersi. Krzyk przestachu, powtórzony przez służebnice, zagłuszył tajemniczą muzykę. Pomięszane, wszystkie trzy, oddaliły się natychmiast i spieszenie poszły ku zamkowi; wszakże jakiś czas jeszcze gnały za nimi tajemnicze dźwięki, coraz, coraz głuchsze. Kiedy w oddaleniu całkiem umilkły, a czas, ruch i bliskość domu przegnały wszelką obawę, Oda zwróciła rozmowę do owego śpiewu; już jego wrażenie ocknęło się z dawną mocą.

— Prześliczna pieśń! — zawołała.

— Prawda — rzekła Maria — ale bezpieczniej nie słuchać jej.

— Cóż w niej może być złego? Jest to nic więcej tylko modlitwa do księżyca.

— Tak! modlitwa do Ziewonii⁹, do biesa, którego czczą nasi bracia niewierni, modlitwa pogańska.

— A jednak piękna. Szkoda, że śpiewak był ukryty.

— Odo! co mówisz? — zawołała Maria — lepiej podziękować Bogu, żeś go nie widziała.

⁹ Ziewonia — rzekome bóstwo słowiańskie, inaczej Żywie — bóstwo życia.

— Albo go znasz Mario?

Maria przeżegnała się z przestachem.

— A niech mnie łaska Boża od tego uchowa!

— Dlaczego? — zapytała Oda tym ciekawiej. — Któż on jest? Cóż o nim wiesz, Mario? Powiedz!

— O! powiem. Dzięki Bogu, jesteśmy już jak w domu, mogę mówić bezpiecznie. Owóż ten śpiewak to Czarnodum.

— Pierwszy raz o nim słyszę.

— Bodaj tak nigdy nikt nie słyszał — rzekła Maria ciszej, a potem zwyczajnym głosem wiodła takie opowiadanie:

— Nie bardzo dawno zjawił się on w naszych górach, już pono po odjeździe naszego dobrego pana Gromowida — niech go Bóg jak najprędzej przyprowadzi — przynajmniej od tego czasu zaczął się pokazywać. Dzisiaj mieszka jawnie w tej wielkiej pieczarze, wiesz Odo, co to ją widać wysoko pod górą, idąc za falą Pysznej ku Dunajcowi. Chodzi jak mnich i prowadzi życie pustelnicze. Ale ludzie inaczej o tym gadają. Bóg to wie najlepiej, ale powiem, com słyszała. Miał on być guślarzem naszych dawnych bogów, zacych został chrześcijaninem, a został nim, jak mówią, tylko ze strachu przed nakazem księżęcym i władzą biskupa, dla oczu ludzkich, ale tajemnie żyje i modli się dawnym obyczajem. Toteż, jak słyhać, dawne bogi przebywają z nim i sprzyjają mu szczerze; dlatego wyprawia różne dziw. Pełno o tym gadek, może prawdziwych, a może i wymyślonych, ale to pewna, że wiele wie i wiele może zrobić swoimi guśłami. Pokazuje nawet takie rzeczy, których żaden człowiek ludzką mocą nie mógłby zobaczyć: dziewczkom ich kochanków, junakom ich dziewczęta, choćby nie wiedzieć gdzie były; a tak je widzisz, gdzie są i co robią, jak żebyś była z nimi. Ale za tę ciekawość drogo trzeba płacić. Jak tam z chłopami, nie wiem, ale co kobiety — to każda prawie wyniosła od niego nieszczęście; bo przez czary swoje co zechce, to robi z człowiekiem, który się jemu aby trochę poddał, tak że się zapomina o Bogu nawet i o najświętszych jego przykazaniach. Jak temu nie wierzyć? Dostyc słyszeć jego śpiewanie, ażeby już poczuć, co tam nieczystej mocy. Gdybyż tylko śpiewał; ale ludzie utrzymują, że kiedy mówi do człowieka, to tak pęta serca, jak żeby śpiewał, a pęta w grzechy.

W podobny sposób stara Maria gadała jeszcze dłużej, ale Oda, zdaje się, nie słyszała wszystkiego. Głębokie zamyślenie się w połowie rozmowy odjęło jej uwagę na resztę. W całym opowiadaniu jedno ją uderzyło:

— On guślarz, on może każdemu pokazać osobę żadaną, on jej męża pokaże; mniejsza o to, jaką mocą.

Ta myśl padła na zamgloną duszę Ody jak promień niebieskiej czy piekielnej jasności? Nie wiadomo; dosyć, że ją rozradowała, opanowała całkiem, uspokoiła nawet, bo się zmieniła w niezmiennie postanowienie: iść do pustelnika i zażądać od niego pomocy w swoim stroskaniu. Jej życie obecne tak nieznośne, a ulga tak łatwa do znalezienia: możnaż ją odrzucić? Przeciw złemu, gdyby jakie stąd mogło wynikać, znajdzie obronę w świętej wierze i małżeńskiej miłości.

3

W owych wiekach prostoty rozumu, uśpienia ducha, a silnych żądź ciała, serce, puszczane raz w pewnym kierunku, niełatwe było do zhamowania. W walce między złym a dobrym uczuciem pierwszy silniejszy popęd jednego lub drugiego rozstrzygał już prawie stanowczo spór pomiędzy nimi. Oda, poddawszy się raz z upodobaniem myśli, ażeby za pomocą guślarstwa ujrzeć nieobecnego męża, nie odstąpiła już swojego zamiaru. Jeżeli ją czasem zachwiały groźne posłuchy o podejrzanym pustelniku, jeżeli stanęły przed oczami zewnętrzne przeszkody w spełnieniu zamiaru, jeżeli niekiedy mimowolne drżenie serca wśród rozkosznych marzeń podniosło się jak tajemne ostrzeżenie, wszystko to było tak chwilowe, tak słabe wobec jej postanowienia, że nie czuła prawie żadnego oporu wewnątrz siebie, a przynajmniej wyraźnego, że zatem nie zachwiała się ani na chwilę. Kilka dni jednak upłynęło, zaczęły mogła skutecznić swój zamiar; czas ten był jej konieczny, aby sobie zapewnić powodzenie przez dokładną znajomość niektórych szczegółów; nadto konieczna była pewna ostrożność, ażeby to widzenie się nie wyszło spod zasłon najgłębszej tajemnicy. Wiedziała najprzód, że nikt jej w tym nie pomoże, wszyscy raczej będą przeszkadzać; czuła, że sama swój zamiar musi spełnić, bez świadków¹⁰, bez powierników. Stosownie też przygotowała się. Zręcznie, ubocznie wyciągnęła z opowiadań wszystkie potrzebne objaśnienia: gdzie jest na pewno ustroń pustelnika, jakimi drogami dojść do niej, w której porze on sam jest widzialny.

¹⁰ W „Dzienniku Domowym” błędnie: „środków”.

O sposobność wyjścia nietrudno było, służba zamkowa przywykła już do jej samotnych wycieczek.

Tak przysposobiona wyruszyła na koniec dnia jednego w zamierzoną drogę. Przechód¹¹ był długi i przykry; po śladach kóz dzikich, między odwieczne zwaliska lasów, pod urwiste wyżyny, przepaścistymi łożami suchych potoków; nieraz po drodze niewiadomej obłąd¹² zachwyił, ale oswojona z górami, pokonała to wszystko, lubo nie bez utrudzenia nogi. Wszakże daleko ciężej było sercu. Jakaś trwoga skryta, obca jej dotąd, niby niewyraźne przeczucie niewiadomej złej przygody, burzyła jej piersi, zatrzymywała uderzenia serca, tamowała oddech. Nieraz podwójne to znużenie, wewnętrzne i zewnętrzne, zmuszało ją stanąć wśród biegu, odetchnąć, odpocząć; aż dopóki znowu coś mocniejszego nie porwało jej woli i nie popchnęło dalej. Im bliżej była celu, tym słabszą, tym lękliwszą się czuła. Nieraz gotowa już była odstąpić swojego zamiaru i wrócić bez widzenia się z pustelnikiem. Znajdowała się właśnie w podobnej niepewności, kiedy w uszy jej zadzwonił znajomym głosem śpiewanej pieśni¹³; ale w żywszych jej tonach przebijała się jakoby radość. Granie było tak bliskie, że słyszała wyraźnie następujące słowa:

Wysłuchałaś mię, moja bogini!
Zajrzałaś w czarną pierś mojej pieczary,
Ciemność jej uciekła przed blaskiem,
Życie moje spłonęło jak niebo otwarte.
O! zostań tak i patrzaj tak wiecznie,
A gdzie ty, tam niebo dla mnie i dla ciebie.
Cześć wam, cześć potężne bogi!

Oda zadrżała, nie wiadomo jakim wzruszeniem, ale nie miała już chęci cofnąć się. W duchu pieśni było coś na kształt radosnego powitania, był urok, który ku sobie wabił. Oda postąpiła kilka kroków i ujrzała się tuż przy jaskini. Przed jej czarnym otworem, na olbrzymim pniu zwalonego świerku siedział śpiewak z gęślą na kolanach. Oda domyślała się w nim pu-

¹¹ *przechód* — przemarsz.

¹² *obłąd* — błąd, pomyłka, mylnie obrana droga.

¹³ W „Dzienniku Domowym” fragment ten brzmi: „w uszy jej zadzwonił znajomy dźwięk gęśli, wtórzący słowom pieśni znajomym głosem śpiewanej”.

stelnika. Ubiór jego był krojem ubioru zakonnego, ciemny, obszerny. Kap-
tur na głowę zawdziany¹⁴ zakrywał większą część twarzy, reszta oblicza gi-
nęła pod gęstą, kędzierzawą brodą. Na szelest zbliżającej się Ody gęślarz
zawiesił granie, podniósł głowę, cisnął iskrami z małych, ognistych oczu,
ale wnet je zniżył, odrzucił gęśl na bok, powstał z powagą i rzekł łagod-
nym, ale uroczystym głosem:

— Witam cię, żono możnego Gromowida. Przychodzisz widzieć sa-
motnego mieszkańca jaskini. Oto go masz przed sobą.

Jakby zgadł, że pomieszanie Ody nie da jej łatwo zacząć rozmowy;
wszakże słowa jego wprawiły ją w zadumienie, od pomieszania nie mniej-
sze, ale razem podały do ust pierwsze słowo:

— Jak to? — zapytała zdziwiona — ty mię znasz, pobożny ojcze! Nie
widziałam cię nigdy.

— Słońcu na niebie — odpowiedział pustelnik — a Odzie na ziemi
trudno się ukryć. Wiedziałem nawet, że dziś tu będziesz, i czekałem na cie-
bie. Nie dziw się, skoro wiesz, do kogo przychodzisz. Jakiejże usługi żądasz
po mnie, dziecię moje?

Oda, zdumiona jeszcze bardziej, nie wiedziała znowu, jakim słowem
usta otworzyć. Dobroć pustelnika przysła jej w pomoc.

— Droga przykra — rzekł on — upał nużący; jesteś, Odo, zmordowa-
na, odpocznij na siedzeniu, jakie ci biedny pustelnik ofiarować może —
i wskazał drzewo, na którym dopiero siedział.

W słowach tych przemówił do serca Ody znajomy głos śpiewaka z całą
ujmującą łagodnością, z całym urokiem zniewalania i ośmielił ją na koniec
wobec nieznajomego. Usiadła na wskazanym drzewie, spojrzała w twarz
pustelnika i widziała ją schyloną pokornie ku ziemi; było to może potrzebn-
e, aby zupełna swoboda mogła wejść do jej myśli, aby się usta rozwiązały
do rozmowy, dla której tu przybyła. Pustelnik jeszcze raz wsparł ją, zapy-
tując o powód, któremu on winien obecność tak możnej pani w jego dzi-
czy tak smutnej.

— Mamże ci, ojcze, koniecznie już powiedzieć ten powód? — rzekła
wreszcie Oda. — I strach mnie, i wstyd, ale moja miłość mocniejsza od
wszystkiego, a dzisiaj tyle cierpię, ile kocham. Ojcze, ty nie będziesz się
śmiał ze mnie, ty musisz być tak dobry, jak jesteś pobożny i mądry. Nie

wiem jednak, jak ci to powiedzieć. Ludzie utrzymują, że masz mądrość guślarzy i moc rozkazywania duchom. O mój ojcie, wiesz zapewne, jak ja mojego męża kocham, a dzisiaj muszę żyć bez niego. Wojna przypadła jak ptak drapieżny i porwała mojego gołąbka; i oto zostałam sama, ani wdowa, ani żona. Nie wiem, gdzie jest? co robi? kiedy powróci? Nie mogę się pocieszyć i nie mogę przestać smucić się. Ratuj mię, ojcie, daj mi pociechę, daj szczęście!

Pustelnik słuchał spokojnie, z okiem spuszczone, czasem błyskał nim w górę, mienił się na twarzy; rozrzewniały go widać te wynurzenia niewieście, tak proste a tak serdeczne, bo zawołał wzruszonym głosem:

— Jakąż pociechę mogę ci dać? jakie szczęście? Ja, ja sam, tak — ich potrzebny?

— Pokaż mi mojego męża! Czy żywy, czy umarły, pokaż mi go! — odpowiedziała Oda z całą żywością i mocą panującego jej uczucia.

Pustelnik pomilczawszy chwilę, zapytał:

— Kobieto, wierzysz ty w Boga chrześcijan?

— Wierzę.

— I w jego dobroć?

Oda znowu potwierdziła.

— Jego więc prosz o to!

— Ach! prosiłam po tysiąc razy, najgorętszymi łzami! Nie chciał mię wysłuchać! — rzekła z głębokim westchnieniem.

— I mnie nie zechce — odpowiedział ponuro.

— Wszakże powiadają, że niejednego pocieszyłeś tak, jak ja chcę być pocieszoną. Czemużbyś dla mnie zrobić nie mógł tego, co robiłeś dla innych!

— Dla innych robiłem, powinnaś to wiedzieć, przez moc przychylniejszą nam jak moc nowej wiary, przez bogi ojców naszych.

Słowa te dały cokolwiek do myślenia Odzie; krótko się wahała.

— Ha! — rzekła — kiedy inaczej być nie może, zrób i dla mnie przez bogi ojców.

Guślarz przybrał postawę i głos uroczystszy jak dotąd:

— Czy myślisz — mówił — że to tak łatwo, jak zapragnąć? Bogowie są bogami. Nie mamy ich na pierwsze zawołanie. Nie rozdają darmo łask swoich. Kto chce ich mieć po sobie, musi szczerze wyznać ich potęgę, gorąco prosić, a nade wszystko musi je uczcić. Czy pojmujesz to, moje dziecko?

Oda nie pojmowała widocznie, bo zapytała natychmiast:

— Jakąż cześć potrzeba im złożyć?

— Przede wszystkim potrzeba zaprzeć się innych bogów — odpowiedział pustelnik.

Strach mimowolny ścisnął serce Ody.

— Jak to! — zawołała — nawet prawdziwego Boga?

— Nawet Boga, którego masz za prawdziwego — rzekł pustelnik głosem niezmiennym.

Oda nie wiedziała zrazu, co dalej począć, ale dobre natchnienie padło na jej serce w tej chwili:

— Ojczy — rzekła — jesteś-że ty chrześcijaninem, że tak mówisz?

— Alboż powiedziałem, że nie jestem? — odpowiedział; a gdy Oda milczała, mówił dalej:

— Córkmo moja! tak! jestem chrześcijaninem, ale kiedy robię to, czego wymagasz po mnie, wtedy robię przez bogi dawne, domowe; wtedy jestem tylko guślarzem, poganinem. Inaczej nie miałbym ich pomocy; inaczej nikt jej mieć nie może.

Umilkł, a gdy Oda, stroskana niespodziewanym warunkiem, zatopiona była w myślach, odezwał się znowu, już łagodniej:

— Odo, nie będę ci stawiał czczych trudności. Nie pojęłaś mię zapewne i dlatego przestraszyłaś się moimi słowami. Nie idzie tu o zupełne wyparcie się chrześcijańskiego Boga. Starzy bogowie są dobrzy, kochają nas zawsze jak dzieci tych ojców, którzy ich przez tyle wieków tak szczerze kochali. Zrobią wiele dla nas, chociaż niegodnych, przez dawną przychylność. Z naszej strony przestaną na małym. Dosyć im jakiegokolwiek znaku uczczenia, jakiegokolwiek ofiary. Czy jesteś do tego przygotowana?

— Niech wiem, co się im podoba zapragnąć, a może...

— Oni przestają na małym, powtarzam ci, Odo! Lekka ofiara z czegośkolwiek, co należy do Boga chrześcijańskiego, zjedna ci ich zupełnie. Widzę na twoich piersiach krzyżyk, daj im ten krzyżyk!

— O Boże! — zawołała Oda — mogę to zrobić? Jest to drzewo z krzyża, na którym umarł Bóg prawdziwy, i ślubny upominek Gromowida.

— Upominek Gromowida! — powtórzył z widocznym wzruszeniem pustelnik, ale z cicha, a głośno zawołał:

— Tak, Odo! będzie to najmiłsza ofiara bogom i pomoc ich niezawodna.

Oda załamała ręce.

— O ja nieszczęśliwa! mamże się pozbyć tego, co mi najdroższe i najświętsze. Nie! Wolę z moim Bogiem cierpieć, jak dotąd cierpiałam.

— Cierpieć! — mówił Czarnodum — któż cię od tego odwodzi? I ja cierpię przez tegoż Boga! Ale pomnij, że może nie sama będziesz cierpieć. Może za wszystkie twoje cierpienia nie otrzymasz jedynej nagrody, do której wzdychasz, nie ujrzyś już więcej twojego męża. Stare bogi są mściwe i potężne; kiedy zechcą złe wyrządzić twojemu mężowi, nowy Bóg nie zasłoni go. Rozważ to dobrze.

Oda słuchała, płakała, łamała ręce. Kochała męża, ale nie mogła przenieść na siebie, aby dla jego miłości przeniewierzyła się i tej miłości, i Bogu. Jej serce, chociaż upadające, miało jeszcze nad sobą wierną straż dobrego anioła. Czuła, że nie powinna była zrobić zadość żądaniu pustelnika, wołała zrzec się nadziei, jedynej ulgi, na jaką w nieznośnym swoim cierpieniu rachowała.

— Nie! — rzekła. — Tego nie zrobię. Niech się dzieje wola Boża!

Wstała, aby odejść.

Pustelnik zdawał się ciągle zachowywać największą spokojność.

— Dobrze mówisz, Odo — rzekł przy pożegnaniu — jednak twój upór niewczesny¹⁵. Wielkie bogi przebaczą łatwo błędom takiej miłości jak twoja. Wszakże rób, jak ci się zdaje. Mimo to pamiętaj, że moja nauka gotowa ci zawsze służyć. Przyjdź, kiedy zechcesz; oto przyjdź jutro. Tej nocy pomówię ze starymi bogami. Może na mniejszym datku przestaną: spodziewam się, że to uproszę. Ażeby jednak skutek moich modłów był pewniejszy, zostaw twój krzyżyk w domu. Wiedz jeszcze i to, że jutro właśnie księżyc w dobie najprzyjaźniejszej widzeniom; opuściwszy tę chwilę, może by długo przyszło czekać na podobną.

Pustelnik ze świętobliwym obliczem skłonił głowę na znak pożegnania, a Oda smutnie wracała do zamku.

Oda w płochym poczęciu swojego przedsięwzięcia nie przeczuła trudności ważniejszych jak zwykle ziemskie: rozmowa z pustelnikiem dała jej przykro uczuć tę nieprzezorność. Teraz dopiero ujrzała, że jej postępek może się wiązać ze sprawą sumienia, ze sprawą religii. Warunek, położony przez mnicha, stanął jak przeszkoda, której nie można było lekceważyć.

¹⁵ *niewczesny* — w niewłaściwym czasie, niepotrzebny, nieestosowny.

W pierwszym, prawym natchnieniu przeszkoda ta sprowadziła ją prawie z drogi, na którą weszła nierozważnie, zniszczyła prawie zamiar niebezpieczny. W takim usposobieniu wróciła do siebie i przetrwała aż do nocy. Ale odepchnięta myśl występna czekała ją w bezludnej sypialni, na samotnym łożu, pośród nocnych ciemności; tam to, sprzymierzona ze smutnymi marami przeszłego szczęścia i goryczą chwil obecnych, wystąpiła potężnie do zaciętej walki. Silnie jakiś czas opierały się religijne uczucia, ale świeżo zaszczerpione, i to w sercu chwiejącym się co chwila mocniej, nie miały już w nim pewnej podpory, a namiętności rozumowały jak prawda, jak niewinność, przynajmniej odziały się w pozory tego obojga; trudno więc było sumieniu pozyskać przychylny sobie wyrok Ody, która chętniej widziała w sprawie jego przeciwników sprawę własną.

— Zostawić krzyż w domu — tak myślała Oda — możeż w tym być coś złego? Wszakże przez to nie wyrzekam się mojego Boga, nie poddaję się innym bogom. To rzecz tak mała: a za to użyję takiej radości, zobaczę męża, dowiem się o jego losie, pocieszę serce, odzyskam spokój, którego nie znam od tak dawna, a bez którego nic mi po życiu. Byłoby grzechem przeżyć jeden dzień bez krzyża na piersiach?

Na próbę postanowiła zdjąć go z siebie i bez niego noc przepędzić. Co pomyślała, to wykonała natychmiast. Wróciwszy do łoża, aż sama się zdziwiła, że pozbycie się świętego znaku nie obudziło w niej żadnego przykrego uczucia; przeciwnie, weszła w nią jakaś swoboda, pewne zadowolenie. Następnie, i to już mimo jej wiedzy, stan ów przeszedł w upojenie gorączkowe, ale rozkoszne. Otoczyły ją pokusy wszelkiego rodzaju. Wszystkie uciechy małżeńskie położyły się obok niej w zmysłowych prawie postaciach: zdawało się jej nieraz, że widzi, że dotyka swojego męża, że czuje uściski jego. Krew płomieniem grała po żyłach, serce biło przyspieszonym tchnieniem rozkoszy, wpadała w rodzaj omdlenia, w złudzenie graniczące z rzeczywistością; a kiedy ocknęła się z niego, otwarła oczy, poznała się na złudzeniu i westchnęła za szczęściem, które albo już zniknęło, albo przedstawiało się jak niepewna przyszłość; wtedy snuły się po myślach w natrętnym widzeniu jaskinia pustelnika, jego postać, odziana jakimś niezwykłym urokiem, po sercu rozlewała się melodia jego muzyki potężnej, jego głosu równie potężnego. Wtedy drżała całym ciałem, a jednak nie było to drżenie trwogi przykrej. Ona w tej chwili byłaby się rzuciła z uściskiem miłości na martwe drzewa i kamienie; w drzewach i głązach czułaby swojego

męża, znalazła ogień jego uścisków. W podobnych marzeniach usnęła na pół pokonana, a sen był dalszym ich wątkiem. W podobnych marzeniach znalazło ją przebudzenie, pokonaną całkiem.

W ocucone ucho zabrzmiał, jak pobudka szatańska, odgłos słów pustelnika: Powinnaś przyjść jutro albo nigdy!

— Idę! — odpowiedziała Oda — i zamiar był już niezachwiany.

Z niecierpliwością czekała chwili sposobnej do tajemnego wymknięcia się z zamku, uchwyciła ją z radością, i oto jest już w biegu do jaskini. Droga świadomsza, jak wczoraj, podróż jednak mniej pośpieszna. Spotykały ją dziwne wypadki, niby ostrzeżenia, niby przeszkody. Zaraz z początku przeleciał jej drogę ptak nieznany, rzadkiej piękności. Stała mimowolnie, on usiadł; szła ku niemu, on zerwał się i ulatywał w stronę zamku. Długo nie mogła się mu napatrzeć, a ptak siadał, ile razy stała, podnosił się, jak tylko była przy nim, i zawsze ku zamkowi zmierzał, w końcu odpoczął na jednej z baszt zamkowych. Oda porzuciła nieużyteczną pogoń, wróciła na swoją drogę, ptak wydał żalosny śpiew i zniknął pod niebem. Dalej ujrzała sarnę: sarna nie pierzchnęła, zwróciła się ku idącej, wlepiła w nią piękne swoje oczy, dozwoliła zbliżyć się, pogłaskać, ulizwała jej rękę, zawsze z wejrzeniem błagającym; potem, igrając, okrążyła ją w skokach razy kilka i biegła ku zamkowi, postawając¹⁶ i oglądając się na Odę, jakby ją zawrócić chciała. Oda odwróciła się od sarny i szła dalej swoją drogą; a smutny bek zwierzęcia długo było słychać. Wkrótce zapomniała o ptaku i sarnie, stała już przed jaskinią.

Pustelnika nie było; szukać go wewnątrz nie miała odwagi, nie czuła potrzeby. Jeżeli jest, posłyszysz ją, obaczy i nie omieszka wynijść¹⁷. Wolała doczekać, zwłaszcza że potrzebowała wypocząć, bo upał, mimo pory dnia przedzachodniej, mocno jeszcze doskwierał i zgrzanie spieszego chodu oblewało ją rześystym potem, a cień był gęsty i lekki wietrzyk powiewał ochłodą. Usiadła więc na głazie, oparłszy się o ścianę skały, bokiem do otworu jaskini. Nie upłynęło chwil kilka, kiedy w pieczarze ozwała się muzyka i śpiew pustelnika.

Początek brzmiał niejako radośnym witaniem; w dalszym ciągu duch muzyki zmienił się, przeszedł w narzekanie, w błaganie, a tchnął najgo-

¹⁶ *postawac* — zatrzymywać się, stawac.

¹⁷ *wynijsc* — wyjść.

rętszym uniesieniem miłości. Dotąd słowa pomagały dźwiękom; wkrótce słowa ucichły, struny tylko dzwoniły; a w dźwięku ich zaszła nowa zmiana. Dyszało w nich jakieś lube omdlenie, jakieś upojenie rozkoszne, aż do obłąkania. Słyszac je, zdawało się, że muzyk odchodził od przytomności, że palce na oślep uderzały po strunach; niekiedy muzyka całkiem się rwała. Wszystko to nie przeszkodziło, ażeby Oda nie utonęła w niej całą duszą. Widać to było po niej, coraz widoczniej, im dłużej trwało granie. Zdawało się, że gorąco mocniej dokuczało, uciskało. Odrzuciła zasłonę z twarzy i piersi, rozpuściła przepasane szaty; bujny warkocz swobodnie rozplynał się po ramionach spod dziewiczego wieńca; twarz całkiem odkryta jaśniała rozkoszą i pięknnością zachwycenia; piersi, zaledwo przesłonię, wysoko się podnosiły, to nagle na długo się układały: w całej postawie malowały się upojenie, rozkosz, zachwycenie. Muzyka ucichła w pieczarze, a w jej uszach, w jej sercu jeszcze brzmiała. Opamiętał ją szelest od pieczary. Zaledwie zdołała zarzucić zasłonę i spojrzeć w stronę szelestu, kiedy pustelnik kilku szerokimi krokami stał już przy niej.

Porwał drżącą ręką rękę Ody, i zmienionym głosem zawołał, wskazując na jaskinię:

— Tam, tam wejźmy. Bogi czekają.

Te ruchy niezwykle, ten głos przejęły Odę strachem; poczuła w nich jakieś niebezpieczeństwo. Ale Oda nie była z tych kobiet, które niebezpieczeństwo rozbraja. Pierwsze mimowolne wrażenie prędko przeminęło; a na jego miejscu znalazła się odwaga i siła. Porwana raczej jak podniesiona z siedzenia silną ręką pustelnika, zaledwie stanęła na nogach, dała mu uczuć całą moc swojego oporu, podniosła dumne wejrzenie, sięgnęła ręką pod zwierzchnią szatę, i w tejże chwili w rękę jej nóż błysnął.

Pustelnik, czy to jej spojrzeniem, czy widokiem noża uderzony, odskoczył o kilka kroków; zdumienie odebrało mu widać mowę na razie, bo nieprędko zawołał żałośnie:

— O nielitościwa, za co ty mię tak dręczysz? Daj mi ten nóż!

— Nie, ojcie — rzekła głosem pewnym — tego noża nikt mieć nie może oprócz mnie i Gromowida.

— Odrzuć go od siebie.

— Dlaczegoż mam odrzucić?

Pustelnik nie mógł natychmiast odpowiedzieć, po chwili dopiero przemówił:

— Czy nie widzisz, że on ma podobieństwo krzyża? Możemyż z nim przemawiać do bogów?

Pustelnik zdawał się mieć słuszość; postrzegł zakłopotanie Ody i wtedy groźniej się odezwał:

— Odo, ty żartujesz sobie z bogów, których łaski pragniesz. Ściągasz ich pomstę na siebie i na mnie. W jednej chwili zniszczyłaś wszystkie skutki mojej całonocnej modlitwy.

Był to nowy cios dla Ody. Zapomniała o wszystkim, co się działo przed chwilą, i była znowu kobietą jak dawniej:

— Jak to? — zawołała. — więc i dzisiaj z niczym powrócę?

— Przez własną winę — odpowiedział pustelnik. — Bogi są obrażone, przebłagać ich niepodobna, dopóki będziesz mieć przy sobie cokolwiek, co by przypominało ich przeciwnika.

Oda zasmuciła się, spuściła głowę, łzy miała w oczach; jej nadzieje, kupione tak drogo, znowu się w nic rozwiały.

— O srodzy bogowie! — zawołała. — jeszczeż wam nie dosyć ofiary, którą zrobiłam?

Nie była jednak w stanie rozstać się ze swoim nożem, nie mogła także odstąpić od zamiaru, któremu już tyle poświęciła. Stała jak posąg, nie wiedząc, co począć; nieopodal siedział pustelnik, i on także jak posąg, niby¹⁸ wewnętrzna niemoc pozbawiła go wszelkiej władzy. Tak oboje długo milczeli.

Pierwsza zaczęła Oda, zwracając się ku niemu z błagającym wzrokiem:

— Ojczy, ty cierpisz przeze mnie! przebac. Ale wymagasz po mnie¹⁹, czemu się moje serce opiera. Czyż moja w tym wina? Nie odbieraj mi przecież wszelkiej nadziei. Daj mi jeszcze tę noc do namysłu. Może przez tę noc i bogi przebłagać się dadzą. Powiedz, czy mogę jeszcze mieć jaką nadzieję?

— Tylko bogowie to wiedzą — odpowiedział pustelnik smutno i uroczyście.

— Zapytaj bogów — rzekła prostoduszna — zapytaj ich teraz, jeśli to być może. Trudno mi odejść w niepewności, w której zostaję.

Pustelnik podniósł się.

— Odo! o Odo! — rzekł głębokim głosem serca — nie ma, czego bym dla ciebie nie zrobił. Bądź miał za to choć wdzięczność twoją?

¹⁸ *niby* — jakby.

¹⁹ *wymagasz po mnie* — wymagasz ode mnie.

- Do śmierci — odpowiedziała.
- A więc pójdę, zapytam bogów zaraz.

To wymówiwszy, zniknął w mroku jaskini. Długo nie było go widać. Przez ten czas Oda słyszała tylko przytłumiony głos jego, przytłumione westchnienia, łkania; domyślała się, że bogowie byli mocno obrażeni i uporni²⁰ w gniewie. Wyszedł na koniec i głosem uroczystym przemówił:

— Odo, wola bogów jest taka, a wyrok ich nieodmienny: Zobacysz męża jutro, jak tylko księżyc w dolinę zajrzy, ze szczytu Smytni²¹. Przyjdiesz w ślubnej twojej sukni. Nie będziesz mieć przy sobie żadnego znaku nowej wiary, żadnej broni. Bogowie chcą uroczystej cześci²² i ufności. Czy przystajesz na to?

Po krótkim namyśle Oda przyrzekła.

Pustelnik zawołał z widoczną radością:

— Dzięki ci, Odo, za twoją uległość. Oby przez cały ten czas bogowie byli z tobą. Jutro więc, o zmroku, czekam na ciebie tutaj.

Oda pożegnała pustelnika i zwróciła się ku domowi: można by mniemać, że w smutku, w niepokoju wewnętrznej walki, jak wczoraj, albo w nieufności ku pustelnikowi, a przynajmniej w cierpieniu, że jeszcze o jeden dzień musi przewlec się spełnienie ulubionego jej zamiaru, pocieszenie się widokiem męża. Bynajmniej. Ostatnie widzenie się z pustelnikiem wprowadziło ją w stan niespodziewany od niej samej, a może i od niej samej niepojęty, którego zagadki trzeba by szukać chyba w tajnikach serca kobiecego. Myśl jej nie mężem głównie, ale pustelnikiem była zajęta. Zaczem straciła jaskinię z oczu, nie mogła wstrzymać się, aby nie obejrzała się na nią kilka razy, a za każdą razą widziała pustelnika klęczącego, z twarzą zwróconą ku niej, z rękami wyciągniętymi w jej stronę: zapewne modli się za nią, cierpi dla niej. I zaraz obok tej postaci pokornej stanął jego obraz groźny na początku widzenia się. Co tam było siły, co ognia, co namiętnego uniesienia, a jednak rzucił to wszystko pod jej nogi na jeden niechętny rzut jej oka, w proch zamienił się przed nią. Niepodobna nie podziwiać jego męskiej woli, niepodobna nie litować się nad jego pokornym cierpieniem. A w jego graniu, w jego śpiewie ile biegłości, ile uczucia. Kto-

²⁰ *uporny* — uporczywy.

²¹ Zob. przypisy 72, s. 60 i 29 na s. 234—235.

²² Zob. przypis 47, s. 198.

kolwiek on, w jakiegokolwiek objawi się przemianie — człowiek to niezwy-
czajny, nieobojętny; jakiegokolwiek obudza uczucia, obudza je w stopniu wy-
sokim, a z nich zlewa się jedno, które nie może być nienawiścią ani zim-
nym podziwieniem. Uczucie jednak Ody nie było jeszcze miłością. Wszak-
że i to pewna, że miłość dla męża słabła przy nim, że przy nim poczę-
ła gasnąć myśl o mężu, a przynajmniej tęsknota za nim złagodniała. Oda
przyjdzie znowu jutro, wypełni wszystko, co pustelnik zalecił, aby nie ob-
razić bogów; ale gdyby coś nowego przeszkodziło czarom i zawiodło na-
dzieję, Oda gotowa pocieszyć się myślą, że spędziła chwil kilka w towarzy-
stwie pustelnika, że przez to będzie miała powód jeszcze raz go zobaczyć.
W takim usposobieniu wróciła do domu i wyglądała naznaczonej godzi-
ny: mara męża ma odtąd służyć za przewodnika do rzeczywistej uciechy.

4

Doba właśnie upływała od ostatniej rozmowy Ody z pustelnikiem. Słońce dążyło do zachodu, a na dalekiej drodze, wijącej się brzegami Du-
najca, wzbijały się kłęby pyłu pod kopytami konnego orszaku Gromowida
i zbliżały się ku stronie Kościeliska. Gromowid powracał nareszcie. Kijów
wzięty, wyprawa ruska dokonana, Gromowid okazał wszędzie znaną daw-
ną waleczność, nie opuścił żadnej sposobności, aby wynagrodzić ojczyźnie
dług zaciągnięty przez gnuśną nieczynność. Jednak ani wrzawa, ani ruch
wojennego życia, nie zdołały zagasić myśli o anielskiej żonie, osłabić tęsk-
noty za nią. Dlatego skorzystał z pierwszej przerwy bojów i, upoważnio-
ny zezwoleniem króla, puścił się ku domowi, choćby na dni kilka, choć-
by na chwilę. Nie tracił zapewne czasu w podróży. Pędził, ile mu służyły
siły jego konia i własne. Z radością przypadł nad brzeg Dunajca. Wieczór
się zbliżał, a zamek jeszcze daleko. Zostawił czeladź z ciężkim podróżnym
sprzętem, a sam puścił się przodem w jak najlżejszym uzbrojeniu, z krót-
kim tylko mieczem przy boku i z łukiem przez plecy. Mimo to, ani lek-
kość jeźdźca, ani nogi konia nie wystarczały sercu rwiącemu się wciąż na-
przód. Słońce zaszło im na równi z szczył Zakopanego²³. Gromowid przy-
sporył biegu, ale koń wycieńczony ostrogi nawet nie chciał już słuchać;

²³ To oczywisty anachronizm, Zakopane wówczas jeszcze nie istniało.

dobyl jednak ostatnich sil na rozkaz pana, i wkrótce rozparł się śród drogi. Gromowid westchnął ciężko nad koniem, westchnął ciężej, że nie uściska żony tak prędko, jak pragnął, jak miał nadzieję, i biegł dalej pieszo. Zaczynało już zmierzchać, kiedy przechodził samorodną bramą Kościeliska; zdwoił krok po dolinie, ujrzawszy światelka domowe; ale przykra góra, na której stoi zamek, zmusiła go zwolnić pośpiech. Darł się w najbliższym kierunku, świadomy dobrze miejsca. Mniemał tym sposobem skrócić drogę. I w rzeczy samej znalazł się niebawem blisko zamku, ze strony małej furtki. Przez nią wejść umyślił, ale znużenie, wzruszenie wewnętrzne, zmusiły go zatrzymać się na chwilę i wypocząć. Zaledwie, stanąwszy, oparł się o drzewo, kiedy się furtka otworzyła i wyszła z niej postać w bieli. Księżyc właśnie oświecał małą polankę, ku której postać biała posuwała się. Pod blaskiem księżyca, chociaż bijącym w bok postaci, odwrócony od Gromowida, poznał on z podziwieniem Ode, krzyknął z radości, chciał się rzucić naprzeciw niej, ale w tymże mgnieniu oka wypadła z gęstwiny dzika koza, ogromny puchacz uderzył w nią piorunem, ujął w szpony, podniósł w górę i, nie mając, zdaje się, dosyć siły na taki ciężar, upuścił ją ledwie już dyszącą tuż przed nogami Gromowida. Biała postać krzyknęła z przestachu i zgasła w gęstwie jak błyskawica. Jakkolwiek Gromowid pomieszany był tym dziwnym przypadkiem, jednak myśl jego wróciła natychmiast do zniknionej Ody. Widział on, w którą stronę pobiegła, tam więc udał się jak najszybciej, a za chwilę ciemność i cisza nocy zakryły go całkiem.

Podczas pieczara pustelnika zajmujący przedstawiała widok. W pośrodku jej, na wielkim kamieniu, gorzał ogień. Dokoła ścian przegłądały z cienia potworne posągi bożyszcz pogańskich, świeżą krwią ofiary obryzgane. Przed ogniem stał, nie już pustelnik w ubogiej włosienicy, kryjący twarz w kapturze, ale kapłan pogański, mąż urodziwy, średniego wieku, ze znaczącym obliczem, ożywionym w tej chwili przez jakieś groźne i dzikie natchnienie. Biała, obszerna kapłańska szata, spięta bogatym pasem, przydawała powagi okazałemu wzrostowi i silnej budowie całej postawy: głowę ozdabiał kapłański wieniec, a jeszcze bardziej piękny włos długo rozpuszczony. W ręku była czara krwią napełniona, ustami bełkotał coś niewyraźnie, znać pogańskie modlitwy. Pobożna jego żarliwość coraz mocniej rosła, w miarę tego głos podnosił się to w jękach, to w głębokich westchnieniach, którym nierzadko wtórował groźny zgrzyt zębów. Zadyuszany, półomdlały ucichł; w grobowym milczeniu, z natężonym uchem

wylał czarę na ogień: prysnęły żary, krew zaskwierczała, zewnątrz pieczary rozległ się dziki śmiech puchacza, i ciszej, słabiej chrypienie jakby dławionego gardła. Naraz wszystko ucichło; krew skwierczała coraz ciszej; drzewa stosu piszczwały coraz boleśniej, coraz rzadziej; płomień to wzmaczał się, to przygasał. Guślarz poglądał razem to na płomień, to w potworne bożyszczka, które przy tym blasku niejednakowym, to rosły, to malały, zdawały się żyć, ruszać się, aż w końcu wszystko wróciło do stanu zwyczajnego: ofiarny obrzęd skończony.

Guślarz zbadał bogi.

— Dziękuję wam, potężne bogi ojców! — zawołał — ona przyjdzie, może już idzie. Wykonam, com jej przyrzekł, stanie się, jak pragnąłem. Ujrzy męża; ale między nimi boleść, rozpacz, śmierć. Biada ochrzczonym duszom! Co za chwała dla starych bogów! Jaka radość moja! Ona musi być naszą, musi być moją! Cieszcie się, bracia wierni bogom ojców! Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad przybylcami²⁴ cudzego nieba.

Zaledwie domówił tych słów, kiedy przed pieczarą, pomiędzy zarośłami, dał się słyszeć szelest gwałtowny, jakby szybko bieżącego. Guślarz zadrżał; otóż i ona! i wyskoczył z jaskini. Nie omylił się, była to Oda, ale nie taka, jakiej się spodziewał: zadyszana, przerażona, blada, bez głosu prawie, bez siły, w nieładzie włosy, wieniec ledwo zaczepiony trzymał się tyłu głowy.

Strój guślarza, obcy jej dotąd, jeszcze ją bardziej zmieształ. Cofnęła się, pozierając na niego obłąkanym z podziwienia i trwogi wzrokiem.

— Odo, co ci jest? — rzekł guślarz, niemało przerażony. — Tu, przy mnie, nie lękaj się niczego. — Przybliżył się i wziął ją za rękę.

Te słowa, wzrok, pełen dobroci, ściśnienie serdeczne, przywróciły jej przytomność. Rzuciła się na siedzenie, głęboko westchnęła, oglądała się bojaźliwie po stronach.

— Co ci jest, moje dziecko? — powtórzył guślarz.

— Ach! słyszałam go, widziałam go już — zawołała Oda.

— Kogo?

— Mojego męża!

Guślarz zdumiał się na chwilę, ale po chwili rzekł:

— Uspokój się; było to zapewne przywidzenie, strach nocny.

²⁴ *przybylec* — przybysz.

— Zapewne, że przywidzenie, ale tak wyraźne, że słyszałam głos jego; a postać jego całkiem jak na jawie. Co najstraszniejsza, że naraz przemienił się w puchacza ogromnej wielkości, z kozą w zakrwawionych szponach. Nie wiem, co się dalej stało, pobiegłam, gdzie mię oczy niosły, nie wiem, jak tu przybiegłam. Dotychczas nie mogę przyjść do siebie, drżę na wspomnienie.

— Przywidzenie — powtarzał guślarz.

Oda milczała lub narzekała.

Guślarz nie przestawał pokrzepiać, pocieszać; wymowa jego wkrótce skutkowałą.

Oda powoli przychodziła do siebie, odzyskiwała siły, a z nimi zupełną przytomność, rumieniec zaczął na twarzy występować. Obok tego widać było w niej pracę jakiejś myśli, jakieś wahanie się, obawę powiedzenia czegoś, na końcu zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Ojcze, mam prośbę, która cię zdziwi, a może i rozgniewa.

— Odo, rozkazuj mi, nie proś.

— Ojcze, mój przestach nie opuszcza mnie. Ja dziś nie chcę widzieć mojego męża. Odłóżmy gusta na później.

Z niemałym zadowoleniem znalazła w guślarzu mniej oporu, niż się spodziewała. Po krótkiej rozmowie odłożono do dnia jutrzejszego wędrówkę na Smytnię.

— Ale, mój ojcie, nim odejdę, jeszcze cię zapytam o jedno. Ja ciebie dzisiaj zaledwo poznaję. Ten ubiór — wahała się dokończyć.

Guślarz uchwycił wątek jej myśli i tak go dokończył:

— Ten ubiór, Odo, konieczny jest przy spełnianiu guślarskich obrzędów.

— Ale to ubiór pogański, wyklęty przez chrześcijan.

Guślarz zadrżał:

— Ale był święty dla ojców naszych, i dzisiaj jeszcze jest takim dla wiernych narodowym bogom — dodał w uniesieniu mimowolnym.

Oda zabierała się odejść.

Guślarz wziął ją za rękę, zatrzymał z lekka, usiadł obok niej nie bez widocznego wzruszenia i, pilnie patrząc jej w oczy, zaczął w ten sposób:

— Odo, posłuchaj mię chwilę, mam ci wiele powiedzieć, ale zacznę z kolei od zapytania: godziż się to chrześcijance udawać się do gusiel pogańskich? Prawda, że trudno ci znaleźć odpowiedź na to w twoim su-

mieniu? I nie szukaj jej. Nie zasłaniaj sobie oczu, nie trwóż się. Ty jesteś mniej winna, niż ci się zdaje: owe gusła, potępione dzisiaj, to świętość, to wiara twoich przodków. Grzeszysz przed mnichami, przed Niemcami, ale nie przed duchami domowymi. Jesteś niewinna, jak byłaś niewinna, zanim zostałaś chrześcijanką. Zapytaj własnego sumienia, własnych wspomnień z twoich lat dziewiczych. Jesteśże dzisiaj szczęśliwszą, jak byłaś wówczas? Znałaś wówczas te cierpienia, pod którymi dzisiaj upadasz? Powiedz sama. Zapewne, że nie. Bo wprzód, wierna bogom ojczystym, byłaś pod ich opieką. Dzisiaj odstąpili cię oni, bogowie uciech, bogowie szczęścia, a twój nowy Bóg jest Bogiem cierpienia i prowadzi cię po drodze cierpienia.

Zapał guślarza wzrastał, opanował go całego, w oczach błyszczał obłąkaniem i, lubo siedł z ducha złego, nadawał jego słowom siłę przewrotnej wymowy, a głosowi urok pieśni czarnoksięskiej. Zatrzymał się niejako dla odetchnienia, i z gwałtowniejszym jeszcze uniesieniem tak dalej mówił:

— Tak, Odo, przyszła wreszcie pora wszystko ci odkryć. Ja nie jestem chrześcijaninem. Wziąłem tylko płaszcz nowej wiary. Uległem srogoim rozkazom Chrobrego. Mimo chrztu zostałem w duchu tym samym guślarzem, jakim byłem do ochrzczenia się, dochowałem wiary dawnym bogom. Przysiągłem im to, kiedy mię zlewano chrześcijańską wodą; przysiągłem także zemstę ich odstępcom i przywrócenie ich czci dawnej. Całe moje życie aż do dzisiejszej chwili poświęciłem temu, a opieka ich błogosławiła mojej pracy. Spodziewam się, że wkrótce owoce jej będą wszystkim jawne, i stolice biskupów runą tak nisko pod nasze nogi, jak dzisiaj stoją wysoko nad naszymi głowami. Namacano jednak moje prace. Zostałem na celu zaciętych prześladowań. Musiałem zejść na chwilę z oczu. Wtedy to po raz pierwszy zabłąkałem się w te góry; ale i tu nie mogłem znaleźć bezpieczeństwa inaczej jak pod suknią łacińskiego mnicha. Wkrótce bogowie dali mi wyraźny rozkaz służyć im w tych miejscach. Powiem ci, dlaczego. Mąż twój, Gromowid, jest jednym z najzaciętszych przeciwko ojczystym bogom. Niemało on wyrócił kontyn²⁵, niemało wyciął świętych gajów. Zemsta bogów musiała go dosięść prędzej czy później w jego dziele. Kazano mi pod jegoż okiem pusć jego robotę.

²⁵ *kontyna, gontyna* — pogańska świątynia u Słowian, Prusów i Litwinów.

I zepsułem ją. A on o tym nie wie! Jakaż to potęga jego Boga, że nie mógł mi przeszkodzić! Jaka opieka, że dotąd nie ostrzegł Gromowida! Zwyciężyłem go przez moje bogi. Wkrótce w nagrodę zesłali mi nadspodziewane pokrzepienie. Odo, winienem ci to powiedzieć. Prędko po moim przybyciu ujrzałem cię po raz pierwszy wśród gór w towarzystwie twojego męża. Musisz zapewne pamiętać tę chwilę. Było to w najdzikszej ustroni. Widziałem was w pieszczotach, jakich żadne światło bez zmienienia się widzieć by nie mogło. Od tej chwili, Odo, nie mogłem cię zapomnieć, zakochałem się w tobie. Miłość dla ciebie równała się ze czcią dla bogów. Do zemsty za bogi przyłączyła się zawiść miłości. Od tej chwili albo cię śledziłem, albo myślałem o tobie. Odtąd jedynym celem moich trudów w sprawie świętej było powrócić cię dawnemu szczęściu; i w tym jeszcze nie zawiodła mię łaska bogów. Bezbożny król wojną ruską rozdzielił cię z mężem. To nieszczęście pozorne obróciło się tobie w pożytek. Nie znalazłaś pociechy u łacińskiego Boga, udałaś się do ojczystych. Nie wiedziałas, co robisz, ale dobrze robiłaś. Przychylni bogowie prowadzili cię wciąż niewidomą ręką do twojego dobra. Sama wyznać musisz ich potęgę; tylko rozważ. Jeżeli poznałaś w czymkolwiek moc moją, ta od nich idzie. Nie trudź się, nie trwóż się próżnymi strachami, którymi cię napoili łaciniscy kapłani. Sama widzisz, jak słabszymi są od naszych bogów. Wyznaj to raz własnymi ustami i sercem.

Oda milczała, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Guślarz potokiem słów zalał jej duszę; jeżeli nie opanował całego sumienia, to przynajmniej silnie rozżarzył iskry dawnych pogańskich wierzeń, nie całkiem zduszone, zatrzęsał wiarę nową, niedobrze jeszcze zakorzenioną w roli serca ruchomego, przyjmującego łatwo wszelkie mocne wrażenia.

Milczenie Ody było już dobrym znakiem dla guślarza. Postrzegł, że zwyciężył w połowie, dobył więc ostatnich sił, rzucił się na kolana przed Odą, i zawołał rzewnym błaganiem:

— Nie wahaj się dłużej, prześliczna Odo. Twoje serce przyświadcza moim słowom. Idź za nim. Patrzaj, co stracisz? Wiarę obcą, niepojętą, surową, ponurą, nieprzyjaciółkę uciech ziemskich; a zyskasz wiarę jasną, pogodną, otwierającą tobie tutaj, na ziemi, wszystkie rozkosze tego raj, którymi cię łacinnicy²⁶ po śmierci wabią. Wybór prosty. Nie mogę wypo-

wiedzieć, jakim szczęściem nagrodzą bogowie twój do nich powrót. Alboż to cały świat w tych górach pod władzą Gromowida? Alboż to wszelkie szczęście w jego tylko objęciu? Jestem potężniejszy, niż ci się zdaje. Znajdziesz ze mną szczęście, o jakim nie wiesz dotąd, bo nikt cię tak nie kochał, jak ja kocham. Odo, zaklinam cię na moją miłość, na twoje własne szczęście, na bogi wspólne nam kiedyś, odważ się na to dzisiaj, co musisz zrobić jutro, pojutrze, kiedykolwiek; bo serce twoje jest już w mocy ojczystych bogów. Odrzuć, cokolwiek przywiązuje cię jeszcze do twojej wiary, do twojego męża. Powiedz, że przyjmujesz moją miłość. Wahasz się? A więc ci powiem ostatnie słowo. Kiedym po raz ostatni radził się bogów, usłyszałem to z ich ust własnych, że Gromowid już nie żyje, i że mnie przeznaczono zdjąć z twojej głowy ten wianek. I zdejmę go, zdejmę przez bogi moje.

Oda półstruchlała zerwała się z siedzenia; guślarz, groźniejszy jak kiedykolwiek, sięgał już ręką po wieniec; wtem z gęstwy rozległo się ogromnym głosem:

— Kłamiesz, pogański duchu! — świsnęła strzała prosto w piersi guślarza, a tuż za nią wypadł skokiem rysia spadającego na zdobycz uzbrojony rycerz, i schwycił guślarza za gardło.

Oda rzuciła okiem na rycerza, wrzasnęła przeraźliwie, i w mgnieniu oka znikła przed pieczary.

Podtenczas rozpoczęła się uparta walka między przybyłym rycerzem a guślarzem. Ten, jakkolwiek bezbronny i raniony, dobył ostatnich sił i pokazał, że miał ich niemało. Po kilkakroć naga tylko pięścią potrafił rycerza tak silnie, że aż nim zachwiał za każdym potrafceniem, ale wkrótce sam się zwałił przeбитy mieczem.

— Pokonałeś mię, przeklęty! — zawołał chrypiącym głosem konającego. — Biada moim bogom. Słabi są, ale umieram wierny im. Przebacz żonie. Ja tylko występny. Oda słaba, ale niewinna. Przysięgam na bogi.

Słowa te złagodziły wściekłość Gromowida. Odstąpił od guślarza, a myśl o żonie zajęła go jedynie. Obejrzał się dokoła i nie znalazł jej; ale w zaślepieniu walki nie zważał, gdzie się udała. Niepokój groźny schwycił go za serce, obłąkał oczy, odbił się w całej postawie.

Półmartwy guślarz odgadł ten niepokój: nie mógł już przemówić, ale wskazał ruchem ręki na łachman białej sukni, wiszący u bliskiej gałęzi, jako ślad jej ucieczki w stanie bezprzytomnym zapewne.

Gromowid po tym jednym znaku puścił się za zbiegłą w całym pędzie nóg; natrafił jeszcze dwa lub trzy razy na podobne poślaki²⁷, ale wkrótce żadnych nie znalazł. Mimo to przez kilka godzin biegał po bliskich górach na oślep, wołał, nikt się nie odzywał. Myślał, że się schroniła do zamku. Wpadł tam jak widziadło, jak obłąkany; nie witał domowników; wołał tylko o żonę; nikt jej nie widział, nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Rozegnał wszystką służbę na całą noc, w różne strony, i sam nie został bezczynny. Całą noc migały po przyległych lasach i górach kagańce szukających, całą noc rozlegały się żałobne nawoływania: wszystko na próżno. Aż dopiero nad ranem ujrzał Gromowid coś białego w niedostępnej prawie gęstwinie. Zbliżył się, rozpoznał ludzką postać. Krzyknął z radości, przedarł się do niej, przypadł na kolana: w rzeczy samej była to Oda. Leżała oparta o poplątane gałęzie, półnaga, półmartwa, z suknią poszarpaną, a ciałem podrapanym, z ręką na wieńcu spływającym po włosach. Na głos Gromowida zadrżała dreszczem całego ciała, podniosła wpółprzygaste oczy, osłupione trwogą, konwulsyjnym ruchem zerwała wieniec, i puściła go przed nogami męża. Lecz kiedy ująwszy ją w silny uścisk, chciał podnieść, i słowami wszystko przebaczył, i przycisnął z miłością swoje usta do jej ust, uśmiechnęła się, złagodziła wejrzenie i niewyraźnie wyszeptwała:

— Kara Boska.

Były to ostatnie ruchy życia, ostatnie słowa; po czym z wolna zamknęła oczy i już ich więcej nie otwarła.

Z tym okiem zgasło całe szczęście, cała ziemską przyszłość Gromowida. Pochował on żonę w tym samym miejscu, gdzie ją znalazł, przeklął swój zamek na wieczne pustki, a sam osiadł w kaplicy zbudowanej na ukochanym grobie, i wkrótce tam umarł.

Niebo dla nauki miejscowego ludu uwieczniło cały ten wypadek. Natychmiast po skonaniu Gromowida kaplica zapadła się w ziemię, a na jej miejsce wystąpiło jezioro, zwane dzisiaj Smerczyn Staw²⁸. Stamtąd, w pewnych wieczorach każdego roku, wychodzi mgła biała, powiewna, wtacza się na szczyt Smytni²⁹, stacza się z niego, błądzi po dolinie, i znowu wra-

²⁷ *poślak* — ślad, trop zwierzyzny.

²⁸ Zob. przypis 56, s. 58.

²⁹ W czasach Goszczyńskiego nazewnictwo nie było w pełni ustalone, prawdopodobnie szczytem Smytni nazywa on Rzędy Smytniańskie. Góra Żar nad Polaną Smytnią wy-

ca do jeziora. Ma to być duch Ody, nie wiadomo, czy jeszcze pokutujący, czy już anioł.

Pustki zamku³⁰, przemienione w opokę, zachowały do dziś dnia pozór warownej budowy. Pieczara guślarza zapadła, a na jej miejscu siedzi duch jego odziany kształtem wielkiej, kamiennej sowy³¹; nieruchomy od wieków nad prześliczną doliną, musi patrzeć bezwładnie na miejsce bezbożnych swoich czynów, Bóg wie dopóki.

Nie jeden podróżny widzi to wszystko, a nie wie zamkniętej w tym tajemnicy.

daje się mniej prawdopodobna, natomiast należy wykluczyć Smreczyński Wierch, ponieważ poeta pisze, że mgła wtacza się na szczyt, a potem stacza, błądzi po dolinie i wraca nad jezioro, a między Smreczyńskim Wierchem a Smreczyńskim Stawem nie ma doliny.

³⁰ Być może Goszczyński wiąże lokalizację zamku z Raptawicką Turnią.

³¹ Sowa — skałka stercząca na płn. od Pisanej Polany. Nazwa pochodzi od kształtu górnej części tej skałki.

Seweryn Goszczyński

„Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy” Poems and novels from the Tatra Mountains

Summary

Seweryn Goszczyński came across the Tatra Mountains when after the fall of the November uprising — Józef Tetmajer had him staying in Gallitia, it being a safe shelter for wanderers. Gorce, at the base of which Łopuszna was located, as well as trips to the Tatra Mountains fascinated the poet and inspired him many times. He wrote a diary, dreamt about an epic, introduced the Tatra motives into the ballad, and, finally, tried to make a living by means of the stories about the Tatra Mountains and their residents.

Goszczyński introduces Tatras and highlanders into the place so far reserved for other lands and people more distinguished in the history. The thought inspired by the Tatra Mountains in his texts centres around the issues of nation formation, the sense of bond with the homeland, a love dilemma and an obligation towards a land, dreams about a mythic hero and about a heroine soldier. He presents his opinions in works differing as to the literary genre, style and ideas. Multigenres and multitrends in works by one and the same author are typical of many Romantic poets. Poems appear next to a diary, ballad, epic and novel; an allegoric classicism next to sentimental and romantic stylistics, realism next to mysticism.

The book „Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”. *Poems and novels from the Tatra Mountains* contains an introduction and a selection of writings from Tatras by Seweryn Goszczyński, including those which have not been re-issued for almost a century, as, for example, *Straszny Strzelec* or *Oda*. It also involves a large fragment of *Dziennik podróży do Tatrów* (Part three: *Wyprawa w głąb Tatrów*). *Straszny Strzelec* was equipped with footnotes containing information on changes the text underwent as a result of the poet's fear of the censorship whereas *Dziennik podróży do Tatrów*, based on the first edition, re-introduced a few paragraph long fragment of the work by Goszczyński skipped in the edition by Stanisław Sierotwiński published in the series of Biblioteka Narodowa. At the same time, the book was provided with numerous and sometimes large comments concerning the Tatra motives.

Seweryn Goszczyński

„Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy” Poèmes et romans inspirés des Tatras

Résumé

Seweryn Goszczyński a vu les Tatras quand, après la chute de l'insurrection polonaise en 1830, il a été invité par Jozef Tetmajer en Galicie, un lieu de sécurité pour les vagabonds. Łopuszna qui se trouve au pieds des montagnes Gorce et des excursions dans les Tatras fascinaient et inspiraient souvent le poète. Il écrivait son journal, il rêvait d'une épopée, il a incrusté des motifs des Tatras dans des ballades et enfin il é essayé de gagner sa vie avec des nouvelles sur les montagnes et les montagnards.

Goszczyński introduit les Tatras et les montagnards à la littérature à la place réservée auparavant aux peuples et aux pays différents, plus importants pour l'histoire. La pesée de Goszczyński dans les textes inspirés des Tatras se concentre autour les questions de la formation de la nation et de la création de l'identité nationale, autour du dilemme entre l'amour et le devoir envers la patrie, des rêves sur un héros mythique et sur un soldat héroïque. Il a exprimé ses opinions dans des oeuvres très variées du point de vue du genre, du style et de l'idéologie. La présence simultanée de plusieurs genres et courants dans la production d'un auteur est un trait caractéristique pour la création de plusieurs romantiques. Des poèmes côtoient le journal, des ballades, une épopée et un roman ; le classicisme allégorique touche de stylisations sentimentales et romantiques, le réalisme frôle le mysticisme.

Le livre „Mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy”. *Poematy i powieści tatrzańskie* contient une introduction et une sélection d'oeuvres sur les Tatras de Seweryn Goszczyński, y compris des textes non publiés depuis presque cent ans, comme *Straszny Strzelec* ou *Oda*. La publication compte aussi un large fragment du journal *Dziennik podróży do Tatrów* (partie troisième : *Wyprawa w głąb Tatrów*). *Straszny Strzelec* est glosé à l'aide des annotations où on a expliqué des changements que le texte a subis à cause de la peur de l'auteur de la censure. Dans *Dziennik podróży do Tatrów*, préparé à la base de la première édition, on a rétabli un fragment de l'oeuvre de Goszczyński, omis dans la version de Stanisław Sierotwiński dans la série de la Bibliothèque Nationale. Le livre contient également de nombreux commentaires sur la thématique des Tatras.

Spis treści

Wprowadzenie	5
Wstęp (<i>Anna Krysztofiak</i>)	7
Bibliografia (wybór)	34
Zasady wydania	37
 Orzeł biały. Powieść	39
 Dziennik podróży do Tatrów (fragment). Wyprawa w głąb Tatrów	45
 Sobótka	111
Fragmenty zaczętych pieśni <i>Kościeliska</i> , zamieszczone w wydaniu Zygmunta Wasilewskiego	142
Komentarze do <i>Sobótki</i> i <i>Kościeliska</i> , zamieszczone w wydaniu Zygmunta Wasilewskiego	153
 Skarb Ducha. Niebylica	161
 Straszny Strzelec. Powieść z rękopisu muzyka	171
 Oda. Powieść z czasów Bolesława Chrobrego	203
 Summary	237
Résumé	238

W książce i na okładce zamieszczono ilustracje: *Tatry od Poronina, Sikław* [właściwie: Sikława — A.K.], *Staw Smerczyn* [właściwie: Czarny Staw Gąsienicowy — A.K.], *Pięć Stawów, Źródło Czarne-go Dunajca w Kościelisku* (Czarna Turnia „Pisana”), *Wodospad Białki w Tatrach od wschodu w obwodzie sandeckim, Źródło Białego Dunajca w Zakopanem, Wchód na Dolinę Kościelisko*, które pochodzą z: B.Z. Stęczyński: *Tatry w dwudziestu czterech obrazach skreślone piórem i rylcem* (Kraków 1860) oraz M.B. Stęczyński: *Okolice Galicyi* (Lwów 1847). Na okładce widnieją także zdjęcia: *Tatry od Poronina — widok na dawną drogę* oraz *Otoczenie Morskiego Oka — Mięguszwieckie Szczyty, Cubryna, Mnich*, autorstwa Anny Krysztofiak

Redaktorzy: Wiesława Bulandra, Katarzyna Więckowska

Projekt okładki: Paulina Tomaszewska-Ciepły

Redaktor techniczny: Małgorzata Pleśniar

Korektor: Mirosława Żłobińska

Copyright © 2010 by

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISSN 0208-6336

ISBN 978-83-226-1780-9

Wydawca

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice

www.wydawnictwo.us.edu.pl

e-mail: wydawus@us.edu.pl

Wydanie I. Ark. druk. 15,0. Ark. wyd. 14,0. Papier
offset. kl. III, 90 g Cena 17 zł

Łamanie: Pracownia Składu Komputerowego

Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego

Druk i oprawa: SOWA Sp. z o.o.,

ul. Hrubieszowska 6a, 01-209 Warszawa

Cena 17 zł



ISSN 0208-6336
ISBN 978-83-226-1780-9